W NUMERZE: „Krzywda w Trybunalskim Piotrkowie" — reportaż Jolanty Wrońskiej ■ Jerzy Panasewicz o science fiction a Dariusz Dorożyński o strażakach ■ Ostatnie tango w Paryżu ■ Najdłuższy dzień Zbigniewa Brzezińskiego ■ Dwa spojrzenia na historię ■

ŁÓDŹ

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 9 (1262) ROK XXV 4 CZERWCA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Foto.: M. Zajdler

Drugiej Polski nie udało się zbudować. W czasie, gdy miała powstać, głód mieszkaniowy osiągnął nie notowane dotychczas rozmiary. Obecnie, w warunkach kryzysu, stoi przed nami konieczność zaspokojenia wielu elementarnych potrzeb społecznych. Bez względu na ich hierarchię, na pewno należą do nich również mieszkania. W jaki sposób reforma przyczyni się do zwiększenia ich liczby, jakie kroki podejmuje się na wszystkich szczeblach, aby problem ten rozwiązać? O tych — między innymi — sprawach rozmawiałam z ministrem TADEUSZEM OPOLSKIM.

— Jakie są obecnie najsłabsze ogniwa, w sposób drastyczny hamujące możliwości przyśpieszenia tempa rozwoju budownictwa i w jakiej sferze — ekonomicznej, organizacyjnej, technologicznej — przede wszystkim szuka się sposobów ich wyeliminowania?

Jak odbudować budownictwo?

— Na dzień dzisiejszy, ale chyba nie tylko, jest to głęboka nierównowaga w podaży materiałów budowlanych. W najbliższych latach wyznacznikiem możliwości budownictwa w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych jest przede wszystkim podaż materiałów budowlanych, rozumiana kompleksowo. Najsłabsze ogniwo, najmniejsza produkcja jakiejś grupy i rodzaju materiałów przesądza o wielkości budownictwa w ogóle. A więc jest to sprawa ogromnych dysproporcji, jakie na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, a na pewno już w ostatniej pięciolatce, miały miejsce: dość znaczny rozwój zdolności produkcyjnych podstawowych materiałów budowlanych, takich jak cement czy papa (zdolności dziś zresztą nie w pełni wykorzystanych) przy równoczesnym spadku produkcji materiałów tradycyjnych: cegły, dachówki, supremy. Najsłabsze dziś zaopatrzenie mamy w kabłach energetycznych, elementach wyposażenia mieszkań, jak wanny, kuchenki itp. oraz rozmaitych materiałach pochodzenia chemicznego, do których zużywało się wiele surowców importowanych z krajów kapitalistycznych. Owe dysproporcje są podstawową rzeczą, którą należy wyeliminować, w innym bowiem przypadku zawsze brak jakiegoś drobnego elementu będzie wyznaczał rozmiary budownictwa mieszkaniowego.

Podjęto już szereg działań doraźnych, które sprowadzają się, niestety, do przejściowego odwrotu od poziomu już osiągniętego, do stosowania substytutów. Na przykład, kiedyś malowaliśmy emulsją i porządnymi lakierami, teraz trzeba będzie wracać do białkowania i farby kredowej. Brak wykładzin, na których bardzo poważnie wyłożyła się chemia, zastąpimy podłogami drewnianymi, choć w tym akurat przypadku nie jest to cofnięcie się, lecz poprawa standardu. Jest zresztą szereg propozycji, które propagujemy wśród przedsiębiorstw, aby mogły ratować się rozwiązaniami zastępczymi. Ale kabel energetyczny czy wanna nie da się niczym zastąpić.

W ostatnich miesiącach pracowaliśmy w ministerstwie nad stworzeniem kompleksowego programu rozwoju produkcji materiałów budowlanych, odnoszącego się zarówno do przedsiębiorstw dla których my jesteśmy organem założycielskim, jak i do tzw. inicjatyw lokalnych. I wreszcie, podjęliśmy próbę zinwentaryzowania potrzeb na urządzenia i materiały, które produkują przedsiębiorstwa z innych resortów gospodarczych, a bez których nie da się żadnego obiektu oddać. Program taki opracowany do roku 1990 i w kompleksowym programie budownictwa mieszkaniowego będzie jednym z dokumentów uzupełniających.

Drugą sprawą, którą trzeba rozwiązać, bewzględnie źle dzisiaj świadczącą o budownictwie, przynajmniej w obiegowych pojęciach, jest nadmierne zużywanie niektórych rodzajów materiałów. Jednym z ważniejszych elementów, który będzie decydował o powodzeniu polityki państwa w odniesieniu do budownictwa mieszkaniowego, jest właśnie problem ograniczenia materiałochłonności i energochłonności budownictwa. Z doświadczeń zagranicznych wynika, iż poprawa własności izolacyjnych ścian, dachów, itd. powoduje ograniczenie ilości materiałów potrzebnych do realizacji budynku, jak również energii zużytej do ich wytworzenia. Na wyprodukowanie jednego metra sześciennego waty szklanej potrzeba 150 kilowatogodzin, na m sześc. prefabrykatów żelbetowych — ponad 800 kWh, a więc poprzez uruchomienie w dużych rozmiarach produkcji materiałów izolacyjnych uda się utworzyć takie budynki, które będą po prostu lepsze dla lokatorów, a jednocześnie będą zużywały mniej materiału i angażowały mniej środków transportu. Czyli, przy zużyciu tej samej ilości cementu i stali wystarczy ich na większą ilość mieszkań.

Przy okazji warto rozprawić się z dość powszechną tezą: trzeba oszczędzać materiały, trzeba zmierzać poprzez projektowanie, a następnie rzetelne wykonawstwo do jak najmniejszego ich zużycia, ale nieprawdą jest obiegowe przekonanie, że jak oszczędzimy 30 proc. cementu, to oddamy z tego tytułu 30 proc. mieszkań więcej. Cały mój początkowy wywód prowadzi do tego, że aby wzrosła ilość oddanych mieszkań, wszystkie przemysły muszą równo na potrzeby mieszkaniówki pracować. W wielu wypadkach jest to w obecnym stanie zainwestowania niemożliwe.

Foto: S. Czekalski

Smutek dla kogutów

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedy pod koniec ubiegłego roku jajka zniknęły z półek sklepowych i wiele gospodyń nie mogło upiec świątecznego placka, a handlarze z wielkich aglomeracji płacili chłopom po 22 zł za sztukę, ludzie zaczęli się zastanawiać, jak to możliwe, że przed laty nie było wielkich ferm, a mimo to jajek i drobiu mieliśmy pod dostatkiem. No cóż, przed laty żyliśmy bez kartek, schabosz-czak konsumowało się bez ograniczeń, toteż wystarczały te ilości drobiu które uchowały się w chłopskich zagrodach. Dzisiaj, jajko i kurczak mrożony stały się ostatnią rezerwą białka zwierzęcego i popyt na nie wzrósł ogromnie. Cena kury na wolnym rynku nie spada poniżej 500 zł. Począwszy od stycznia 1982 r., na targowiskach pojawiły się samochody drobiarzy, którzy zaczęli wyprzedawać na gwałt swoje kury i brojlery.

Co się stało? Otóż brojlery i nioski hodowlane nie obędą się bez odpowiednich pasz, których w Polsce nie można dotąd wyprodukować bez importu takich surowców, jak ziarno kukurydzy i komponenty białkowe. Zgodnie z wnioskiem Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej miano zakupić 5,5 mln ton zbóż i pasz, w tym niezbędne ilości kukurydzy dla drobiu. Nic z tego nie wyszło, ponieważ zabrakło środków dewizowych. W tej sytuacji Ministerstwo Rolnictwa, pismem z dnia 18 listopada 1981 roku, nakazało natychmiastowe wstrzymanie wylęgów piskląt. Jednocześnie trwały pertraktacje o zakup w USA około 2 mln ton kukurydzy, lecz przerwały je nałożone na Polskę sankcje gospodarcze.

Związek Hodowców i Producentów Drobiu zapowiedział, że w pierwszym kwartale dostawy mięsa spadną o 30 tys ton, a jaj o pół miliarda sztuk w ciągu roku. Jeszcześmy tego nie odczuli, bo jemy z zapasów, ale niebawem dotknie nas to, gdyż praktycznie co drugi kilogram zjadanego mięsa stanowi drób. Na ten temat powstały różne opinie. Że zamiast kupować 30 tys. ton mięsa wołowego i wieprzowego za granicą, należało kupić za część tych pieniędzy pasze dla drobiu. Że świnia ważniejsza od kury, a powinno być odwrotnie. Że w magazynach GS gromadzą się zapasy pasz dla trzody, terminy gwarancji mijają, mieszanki się psują, a można by dać kurom. Tymczasem rzecz polega na tym, że wołowinę i wieprzowinę trzeba było kupić, ponieważ w czwartym kwartale 1981 roku skup zamarł niemal całkowicie, chłopi nie dostarczali świń i nie dostawali mieszanek, toteż powstawały zapasy.

Inna sprawa, że producenci drobiu mają rację domagając się pasz, albowiem z tej samej ilości paszy w

JERZY WILMAŃSKI

Maliny

Twoje krajobrazy —
miejski skwerek podwórko i brama
klomb z napisem „Nie deptać" żywopłot alejka

Twoje horyzonty —
wsparte o płaskie dachy śródmiejskich kamienic
Twoje perspektywy —
ginęły w sinej mgiełce spalinowej dali

A te wszystkie malwy sady kalenice
jaskółka pod strzechami dukty koleiny
wyczytałeś z książek
wypatrzyłeś z kartonów w muzealnych tekach

I tylko malin omszały amarant
słodki duszący zapach
wlecze się za tobą

Choć masz dokoła asfalt beton i trotuar
wchodzisz w malin zasieki
w które cię wpuszczono

marzec 1981

Dalsze wiersze z nowego, przygotowanego do druku tomu poezji pt. „We mgle, we mgle..." zawierającego utwory z lat 1979—1982, publikujemy na str. 8.

Przegląd prasy

CO WIEMY O LUDZIACH

którzy odegrali decydującą rolę w naszej najnowszej historii? Bardzo mało albo prawie nic. Opowiadano mi kiedyś taką anegdotę o Bolesławie Bierucie. W trudnych latach pięćdziesiątych, zwanych też latami błędów i wypaczeń, trzej młodzi ludzie w szkole domalowali Bolesławowi Bierutowi brodę na portrecie. Rozpoczęto śledztwo. Sprawę potraktowano poważnie, jako prowokację polityczną, ciągano na przesłuchania nie tylko dzieci, ale i rodziców. Ktoś jednak poszedł po rozum do głowy i całą sprawę opisał w liście do... Bolesława Bieruta. Ten zaprosił do siebie trójkę młodych „przestępców", poczęstował filiżanką kakao oraz ciastkami i w trakcie tego poczęstunku, nachylając się ku młodym i pokazując siedzącego obok Józefa Cyrankiewicza powiedział: — mnie włosy dorysowaliście, jemu trzeba było on przecież nie ma ani jednego Bolesław Bierut w pamięci wielu Polaków zapisał się jako dobry człowiek, który rządził w złych czasach, ale nie chciał wyrządzać zła. Mówi się o nim, że uratował wielu przed politycznymi procesami. U nas takich procesów nie było, jakie bywały gdzie indziej, choć i u nas nie tylko parę osób trzeba było rehabilitować. Ale co więcej wiemy o Bolesławie Bierucie? Ukazało się parę przyczynkarskich publikacji. Dopiero całkiem nie tak dawno postawiono mu pomnik w Lublinie. Być może gdzieś powstaje monografia o tym człowieku, który w dziejach najnowszych Polski odegrał wcale niebagatelną rolę.

A co wiemy o innym człowieku, który w naszych najnowszych dziejach odegrał jeszcze większą rolę? O Władysławie Gomułce. Co wiemy, poza kilkoma anegdotami, artykułami i wieściach o sfałszowanym pamiętniku? A przecież wiedza ta nie jest potrzebna nam dla zaspokajania żądzy sensacji czy plotek. Potrzebna jest dla zrozumienia naszej najnowszej przeszłości, bo w tej przeszłości ludzie ci pozostawili decydujący ślad, wywarli piętno na tej przeszłości, byli tymi, którzy brali udział w jej kształtowaniu. Wielu radzieckich dowódców z czasów II wojny światowej: Georgij Żukow, Konstanty Rokossowski, Iwan Bagramian, a także mężowie stanu, jak Winston Churchill, Dwight D. Eisenhower, Charles A. de Gaulle pozostawili po sobie obfite pamiętniki, w których nie tylko opisują wydarzenia, w jakich brali udział, ale też stosunek do nich, osobisty komentarz. Jest to bogaty materiał pozwalający nam lepiej poznać naszą nie tak odległą historię. Ale wielu polityków odchodzi nie pozostawiając po sobie nic, żadnego zapisu, poza powszechnie znanymi faktami, przemówieniami, oświadczeniami, fotografiami i... anegdotami. Zubaża to nasze poznanie przeszłości, bo ci politycy są również ludźmi, czującymi, myślącymi, przeżywającymi, popełniającymi błędy.

Mówi się, że Władysław Gomułka nie lubił dziennikarzy. Po odejściu w 1970 roku nie chciał z nikim rozmawiać, zresztą i w czasach sprawowania władzy bardzo rzadko udzielał wywiadów. Wiele osób jednak go zna, stykało się z nim, współpracowało. Dziś, kiedy człowiek ten jest ciężko chory, czujemy, że zanika ostatnia szansa poznania jego myśli i odczuć, jako kogoś, czyja myśl, działalność położyły podwaliny pod koncepcję Polski Ludowej, niezależnie od tego, jak ta koncepcja była realizowana, czy też dlaczego była odrzucona. W tej sytuacji redakcja krakowskiego „ZDANIA" piórem Macieja Szumowskiego zanotowała opowieści ludzi, którzy znali Władysława Gomułkę, pracowali z nim. Ich opowieści — opublikowane w majowym numerze „ZDANIA" — są anonimowe i mają charakter rozmowy z jednym człowiekiem. Tak postanowiła redakcja i rozmówcy, rozmowy miały bowiem charakter prywatny, swobodny i ujawnienie nazwisk rozmówców musiałoby ten charakter rozmów zmienić na bardziej oficjalny, a chodziło przecież o utrwalenie jak największej ilości opinii, relacji, wspomnień w ich naturalnym kształcie.

„Ten człowiek miał charakter przywódcy politycznego — mówi ktoś, kto dobrze znał Władysława Gomułkę. — *Miał dostatecznie szerokie horyzonty. Dość dużą przenikliwość i dalekowzroczność. A jednocześnie niezbędną siłę woli i upór. Ogólnie rzecz biorąc miał dużą wiedzę, tylko bardzo niesystematyczną, była to wiedza samouka. Z zaletami — to znaczy z umiejętnością pracy, którą daje samouctwo — i z wadami, to znaczy z nadmiernym zaufaniem do siebie i zbyt małym wyczuciem zawodności ludzkiej wiedzy."*

Ale był to człowiek, który miał wielkie poczucie realizmu. *„Przez długi czas* — cytuję dalszy ciąg relacji ze „ZDANIA" — *nie zawsze, ale przez długi czas — on rozumiał sytuację. Patrzył na nią realistycznie. Rozumiał słabość partii w społeczeństwie. Liczył się z tą słabością. Wyciągał z tego wnioski bardzo pozytywne, to znaczy liczył się z sytuacją społeczeństwa i z tym, że nie wolno naciągać struny. Dobrze zwłaszcza rozumiał, jak sądzę, kwestię chłopską, a także problem religii i jej znaczenie. Miał wyczucie narodowe."*

Na pytanie: co jest absolutnie niepodważalne w dorobku Władysława Gomułki? — jeden z rozmówców powiada:

„...przede wszystkim koncepcja Polski Ludowej taka, jaka była na początku. To znaczy połączenie uniwersalizmu socjalistycznego z uszanowaniem tradycji polskiej. A więc to, co w skrócie nazywamy „polską drogą do socjalizmu". Wrażliwość na polską specyfikę, polskie odrębności, rozumienie roli Kościoła na przykład.

Była to koncepcja dość ortodoksyjna, ale równocześnie wyczulona na polską specyfikę.

...nie do podważenia jest zręczne, korzystne rozwiązanie kryzysu 1956/57 roku. Pomimo cofnięcia w późniejszym czasie reform demokratycznych trzeba jasno powiedzieć, że Polska po 1956 roku była rzeczywiście innym krajem niż przed...

...za takie niepodważalne osiągnięcie uważam politykę zagraniczną Gomułki. Była to po prostu uporczywa walka o uznanie międzynarodowego nowego kształtu terytorialnego Polski... Gomułka w tych sprawach miał ogromne poczucie i wyczucie historii. To pewne."

Trzeba pamiętać, że Władysław Gomułka został jako polityk ukształtowany w czasach podziemnego działania KPP, że jego najintensywniejsza działalność przypada na lata II wojny światowej oraz pierwszych lat po wojnie. Po 1948 roku — proszony zresztą osobiście przez Józefa Stalina — nie chciał wejść do władz PZPR. Ten czas, te przeżycia pozostawiły w nim, w jego psychice, sposobie myślenia, trwały ślad. Był zwolennikiem partii scentralizowanej, zdyscyplinowanej, która siłą bierze władzę i musi ją siłą utrzymywać. Ten pogląd zaważył na ocenie wydarzeń węgierskich w 1956 roku i czechosłowackich w 1968 roku *„...nigdy nie przyjął do wiadomości tego, że odszedł, bo stracił zaufanie społeczeństwa polskiego. (...) uważa, że obaliła go grupa opozycyjna w kraju, sprzymierzona..."* Wydarzenia z 1980 roku utwierdziły go w takim przekonaniu. A przecież był to ten sam człowiek, który dobrze zrozumiał sens wydarzeń poznańskich z 1956 roku, który właściwie pojął ich źródła i potrafił powiedzieć o tym prawdę na VIII plenarnym posiedzeniu KC PZPR w październiku 1956 roku. Ten sam człowiek, który nie pojął jak wielkie ma zaufanie społeczeństwa — innego niż w 1945 roku — w październiku 1956 roku, którym już nie da się rządzić metodami sprzed lat, który oderwał się od życia, od rzeczywistości. Umiał bezkompromisowo walczyć z poglądami swoich przeciwników, a jednocześnie pozwolił otoczyć się pochlebcami, ludźmi bez wyobraźni, bez poglądów. Był to ten sam człowiek, który znakomicie rozumiał znaczenie sojuszu Polski ze Związkiem Radzieckim jako nie tylko fundametu bezpieczeństwa Polski, ale i jej rozwoju, który potrafił osiągnąć swe największe zwycięstwo — uznanie granic zachodnich Polski przez świat, a jednocześnie nie rozumiał polskiej inteligencji, bał się jej wręcz, nie rozumiał rodzącej się tęsknoty za dostatkiem, jaki niesie cywilizacja, który zaczął coraz mniej mieć kontaktów z ludźmi, a coraz więcej z papierami.

Potrafił Nikicie S. Chruszczowowi — gdy ten próbował go „agitować" za zreformowaniem rolnictwa w Polsce — wytknąć wszystkie błędy i niedostatki rolnictwa radzieckiego wraz z wadliwym systemem płac w sowchozach, co zresztą na zawsze zakończyło dyskusje o rolnictwie polskim, ale jednocześnie potrafił sam usiąść i opracować system płac dla robotników w polskich PGR, bo uważał, że tylko on to potrafi dobrze zrobić, jako że... kiedyś był robotnikiem rolnym, nie rozumiejąc, że to ani jego rola, ani zadanie, ani umiejętności. Ale mało tego, opracował również system wynagrodzenia pracowników instytutów naukowych, ale ..... *to na szczęście nie zostało wprowadzone w życie".*

Sam pisywał swoje przemówienia. Pamiętamy je. W ostatnim okresie zabierał głos nader często i z każdej, najmniejszej nawet okazji, co było już niebywale męczące i deprecjonowało jego słowa. *„Pisał ołówkiem zwykłym i posługiwał się gumką przy tym. (...) Miał dobry styl. Prosty. Umiał pisać. (...) Oczywiście, korzystał również z tekstów różnych osób. (...) miał do takich tekstów samodzielny stosunek (...) Umiał bardzo precyzyjnie powiedzieć: co chce by znalazło się w tekście (...) Czasami oczekiwał po prostu propozycji, to znaczy, nie wiedział co chce powiedzieć"*

Nie znosił kardynała Stefana Wyszyńskiego i vice versa, byli to bowiem dwaj ludzie o podobnym poczuciu odpowiedzialności, mimo tego, że stali ideowo i światopoglądowo na dwóch krańcach, to byli do siebie bardzo podobni. Ale Władysław Gomułka, choć umiał walczyć z przeciwnikami był wobec nich, jako ludzi bardzo tolerancyjny, niechętnie ich eliminował ze współpracy.

Był bardzo staroświecki w sposobie życia. W ogóle był człowiekiem bardzo skromnym. (...) Bardzo umiarkowanie jadł, bardzo rzadko pił. (...) Papierosy palił w szklanych lufkach i dzielił na połowę. (...) On się po prostu lepiej czuł w warunkach skromnych." Pochodził z podkarpacia, gdzie bieda była codziennością, dlatego nie rozumiał tych, którzy chcieli się dorabiać, ale ich nie potępiał. To przecież jeszcze za jego czasów kierownictwo partyjne Śląska przeniosło się do willi. Nie winił Edwarda Gierka, sam zasugerował jego następstwo po sobie, ale winił ekspertów, którzy wiedli Gierka na gospodarcze manowce. „Solidarność" od samego początku uważał za kontrrewolucję. Był przeciwny wszelkim reformom.

Mimo błędów jakie popełnił wspomnienia o nim są sprawiedliwe. Jest w nich pewna doza sympatii. Kiedy mylą się przywódcy, cierpi naród. Ale przywódcy też są ludźmi i takimi powinni pozostać w narodowej pamięci. Dlatego potrzebna nam jest wiedza o ludziach, którzy odegrali bądź odgrywają ważne role w naszej przeszłości, w naszej historii.

LUCJAN BOGUSZ

JAK PRZEBIEGAŁ DESANT NA FALKLANDACH — MALWINACH?

„Była to operacja zatrważająco długa" — tak określił desant brytyjski na Falklandach-Malwinach specjalny wysłannik BBC, Brian Hanrahan, który z pokładu okrętu flagowego siły interwencyjnej obserwował lądowanie.

„Desant był przeprowadzony raczej ukradkiem, a nie siłą. Okręty zarzuciły kotwicę w głównym kanale między Malwinami, a przed wzrokiem załogi garnizonu argentyńskiego kryła je tylko ciemna, bezksiężycowa noc. W ciągu następnych godzin z okrętów zeszli żołnierze, czepiając się siatek przerzuconych wzdłuż okrętów w kierunku łodzi desantowych, które kursowały między jednostkami floty a brzegiem. Była to operacja zatrważająco długa: trwała około czterech godzin i odbywała się w całkowitym milczeniu — milczeli ludzie i milczało radio.(...)

Intensywna strzelanina zaczęła się wtedy, gdy garnizon argentyński stawił opór lądującym komandosom. Czerwone rakiety przeszywały mroki nocy, ale gdy przywrócono bezpieczeństwo w sektorze, okręty wycofały się do cieśniny. Załogi chciały stworzyć wrażenie, że cała operacja jest tylko nowym atakiem komandosów, ale garnizon argentyński dość długo utrzymał się na swoich pozycjach aby móc dostrzec ruchy okrętów i efekt zaskoczenia chybił.(...)

Atak powietrzny zaczął się, gdy tylko się rozwidniło i trwał cały dzień. Najpierw nadleciały małe myśliwce bombardujące Pucara, lecące na niskim pułapie. Jeden z nich wtargnął nad zatokę i bezskutecznie próbował zrzucić bomby. Przez kilka chwil w powietrzu nieustannie krzyżowały się pociski, trwał także ostrzał z okrętów. Widziałem, jak jeden z myśliwców uciekał za wzgórze ścigany przez pocisk. Kapitan zobaczył na niebie błyskawice i na ziemię spadły szczątki samolotu.

Ataki powietrzne przeciwko flocie następowały po sobie falami. Samoloty musiały najpierw zetknąć się z Harjerami, następnie przekroczyć zaporę ogniową fregat i niszczycieli. Jednakże kilka samolotów dotarło tam, gdzie był zakotwiczony nasz okręt. Dwa samoloty Mirage przeleciały z ogromną szybkością nad zatoką. Nie widzieliśmy ich, ale zobaczyliśmy czerwoną smugę pocisków przeciwlotniczych, lecących w kierunku tych maszyn.(...)

Największe walki nie toczyły się w zatoce, gdzie staliśmy, ale w cieśninie. Można było zobaczyć dym, unoszący się nad wzgórzami. Zbyt wielki panował zamęt, aby można było śledzić wszystko, co się działo. Przez chwile atakowały myśliwce bombardujące Skyhawk. 10 lub 12 spośród nich nurkowało na zakotwiczone w cieśninie okręty, które odpowiadały strzałami.(...)

Do akcji włączyły się baterie przeciwlotnicze na brzegu. Nad zatoką tworzyła się stopniowo bariera ochronna, dzięki czemu nie byliśmy już tak eksponowani. Śmigłowce latały przez cały dzień poza zasięgiem radaru, dostarczając na ląd sprzęt potrzebny dla utworzenia przyczółka".

AGENCJA FRANCE PRESSE

ŚWIĘTO LUDOWE

„W ramach realizacji wspólnych wytycznych Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium NK ZSL rozwiązane zostały ustawowo sprawy gospodarki ziemią, które zapewniają równorzędność wszystkich sektorów naszego rolnictwa i trwałość indywidualnego gospodarstwa rolnego. Zgodnie z oczekiwaniami rolników zapewniona została opłacalność produkcji. Następuje stopniowo przestawianie przemysłu do potrzeb rolnictwa. Kończą się prace nad projektem nowej ustawy o ubezpieczeniu społecznym rolników. Wdrażana jest reforma gospodarcza w rolnictwie i gospodarce żywnościowej. Pragniemy, aby wieś sama, w demokratycznej dyskusji zadecydowała o przyszłym kształcie swych struktur samorządowych...".

(Z przemówienia prezesa NK ZSL, wicepremiera Romana Malinowskiego)

POSIEDZENIE PLENARNE SEJMU

Sejm PRL w ubiegłym tygodniu rozpatrywał informację rządu o sytuacji gospodarczej kraju oraz o głównych założeniach planu centralnego, a także projekt budżetu państwa na rok bieżący.

Sejm uchwalił m. in. ustawę „O szczególnych uprawnieniach kombatantów".

W dyskusji nad „Kartą Kombatanta" (jak w kuluarach nazwali posłowie nową ustawę), przyznającą szczególne uprawnienia sześciuset tysiącom obywateli zrzeszonych w ZBoWiD, Związku Inwalidów Wojennych i Związku Ociemniałych Żołnierzy, zabrał głos poseł Edmund Osmańczyk. Zaproponował, nawiązując do wystąpień wicepremiera Rakowskiego, sejmowej deklaracji uchwalonej trzeciego maja i doświadczeń powstałych w efekcie powołania Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej d.s. Porozumień Społecznych, powołanie **„poselskiego komitetu na rzecz ugody społecznej i porozumienia narodowego"**. Komitet składałby się z posłów reprezentujących własne poglądy, a także opinie środowisk przez siebie reprezentowanych. Na jego forum można by znajdować formuły ugody społecznej, wypracowywać jej warunki.

E. Osmańczyk, uznając, że stan wojenny w poważnym stopniu spełnił swą rolę ochładzając emocje i rozgorączkowanie, stwierdził, że chwila obecna stanowi szansę na podjęcie prac nad **„pierwszym małym dobrem"** — ugodą społeczną. Efektem byłoby następnie **„wielkie dobro"** — porozumienie narodowe. Poseł poinformował także izbę o opracowaniu przez Podkomisję d.s. Obywatelstwa projektów 2 nowych ustaw — o obywatelstwie polskim i o paszportach.

Omawiając zawsze żywo go obchodzące problemy łączności z zagranicą i Polonią, Osmańczyk krytykował działania administracji w dziedzinie wydawania paszportów.

ZMIANY W SKŁADZIE RADY PAŃSTWA I RADY MINISTRÓW

W związku z ustąpieniem z Rady Państwa Jana Szczepańskiego i Władysława Kruczka oraz z wnioskiem koła poselskiego PAX o odwołanie z jej składu Ryszarda Reiffa, Sejm odwołał wymienione osoby i powołał w skład Rady Państwa Stanisława Kanię (17 głosów przeciwnych i 42 wstrzymujące się), Alfonsa Klafkowskiego (1 głos wstrzymujący się) i Kazimierza Morawskiego (6 głosów przeciwnych i 60 wstrzymujących się).

Na wniosek premiera, Izba odwołała Jerzego Kuberskiego ze *stanowiska ministra — kierownika Urzędu d.s.* Wyznań i powołała na tę funkcję Adama Łopatkę.

KRYZYS — TAKŻE W DZIEDZINIE JĘZYKA

Jednym z tematów, rozpatrywanych przez Komitet Społeczno-Polityczny Rady Ministrów w ub. tygodniu był program działań na rzecz poprawy czystości i kultury języka polskiego. Komitet wyraził zaniepokojenie stanem współczesnego, obiegowego języka polskiego. Za czynniki szczególnie szkodliwie oddziałujące na język potoczny uznano wzrost biurokracji (!) rozpowszechniającej sugestywny żargon, rozchwianie obyczajowości, rodzące „ekspresję wulgarną", rozwój nauki, powodujący niepowstrzymany napływ nowych pojęć i terminów.

Przyjęto „Program działań" integrujący wysiłki szkolnictwa wszystkich szczebli, instytucji i stowarzyszeń kulturalnych, środków masowej komunikacji itd.

O wysokiej randze, jaką nadaje się temu problemowi świadczy postulat Komitetu, aby nad realizacją „Programu" czuwały odpowiednie komisje sejmowe, a także troska o zapewnienie funduszy na realizację postanowień programu. Postawienie spraw delikatnej natury na szczeblu komisji rządowej budzi w pierwszej chwili zdziwienie, ale już po chwili żywą aprobatę...

ILE ZARABIAMY?

Jak wynika z materiałów GUS — przeciętna ubiegłoroczna płaca miesięczna wyniosła — dla pracowników gospodarki uspołecznionej — 7306 zł. Charakterystyczny jest wzrost płac w ostatnim kwartale ub. roku — w tym okresie miesięczna płaca była o tysiąc złotych wyższa od średniej rocznej i wynosiła 8337 zł.

Najlepiej zarabiali rolnicy sektora uspołecznionego — 8202 zł (z rekompensatami za chleb), o sto zł mniej zarabiali przeciętnie budowlani, a najmniej pracownicy kultury i sztuki, ochrony zdrowia i opieki społecznej oraz kultury fizycznej, turystyki i wypoczynku — poniżej 6 tys. zł. Niewiele lepiej nauczyciele — 6058 zł miesięcznie.

POWRÓT „ORIENT-EXPRESSU"

W ubiegły wtorek ze stacji Victoria w Londynie wyruszył do Wenecji via Paryż i Tunel Simploński najbardziej luksusowy pociąg świata.

Owiany legendą, opiewany przez Agathę Christie i Grahama Greena, „bohater" filmu Alfreda Hitchcocka, „Orient-Express" przestał kursować 20 lat temu (Docierał wówczas do Stambułu). Przyczyną był spadek ilości pasażerów, zniechęconych zbyt wysokimi cenami biletów. Teraz bilety nie tańsze — 250 funtów (ok. 465 dolarów) w jedną stronę. Luksus — podobno — jeszcze większy. Tym razem pasażerów nie brakuje, miejsca zarezerwowane na wiele tygodni naprzód. 14 tysięcy amatorów kolejowego komfortu czeka w kolejce, bo pociąg zabiera tylko 190 pasażerów.

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki,** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny), **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-439 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo doskrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty roczna: 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762.
Zam. 921. F-2

Jak odbudować budownictwo?

Rozmowa z ministrem Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych Tadeuszem Opolskim

Dokończenie ze strony 1

— Modne ostatnio staje się hasło mówiące o rozwoju produkcji lokalnej. Czy jednak nie jest to możliwość przeceniana? Po to, aby wykorzystać miejscowe możliwości, potrzebne są odpowiednie inwestycje, a ponadto uzyskane w ten sposób materiały mogą być zużyte przy budownictwie indywidualnym, w mniejszym chyba stopniu na potrzeby budownictwa wielorodzinnego.

— Nie dzieliłbym w ten sposób. Oczywiście, produkcja na miejscu jest łatwiej dostępna, wobec tego w pierwszej kolejności będzie szła na potrzeby tych, którzy chcą sami angażować się w budowę. Chodzi tu przede wszystkim o dwie rzeczy. Pierwsze, aby wykorzystać ten potencjał, który już jest — a jak powiedziałem, wykorzystujemy go średnio w 70 proc., a są gałęzie, gdzie z trudem osiągamy 50 proc. Nie budujmy więc nowego. Drugie — chcemy odejść od gigantomanii, to znaczy budowania wielkich zakładów, a następnie ogromnego uzależniania się od środków transportu. Liczymy natomiast na małe formy produkcji — zakłady prywatne, rzemieślnicze, niewielkie spółdzielnie, często powiązane z małymi spółdzielniami inwestorskimi. Jeżeli kilkudziesięciu ludzi chce wybudować domki i sami podejmują produkcję cegły czy innych materiałów, możemy im pomóc.

Oferujemy pomoc techniczną. Odbyły się we wszystkich województwach spotkania, na które nasi przedstawiciele pojechali z propozycjami rozwiązań technicznych w zaprojektowaniu takiego małego zakładu, a także ze zbiorem przepisów tworzących warunki ekonomiczne sprzyjające takim inicjatywom. Wystąpiliśmy również z ofertą zapewnienia prostych maszyn i urządzeń do produkcji drobnych materiałów budowlanych. Drobnych nie w masie, lecz w poszczególnych jednostkach, w masie bowiem jest to szansa, aby w stosunkowo krótkim, trzyletnim zaledwie okresie dojść do 30 proc. zaspokojenia w ten sposób potrzeb na podstawowe materiały budowlane. I to jest właśnie nowa funkcja resortu: tworzenie warunków, propagowanie ich, korygowanie na bieżąco wszystkiego, co przeszkadza w osiąganiu podstawowego celu. Natomiast nie zamierzamy już niczego nakazywać, niczym zarządzać.

— Budownictwo mieszkaniowe jest dla wojewodów, którym obecnie podporządkowano tę sprawę, pewną nowością. Czy wobec tego nie zachodzą obawy, że — zwłaszcza w okresie przejściowym — napotkają oni zbyt wielkie, grożące dalszym spadkiem tempa budownictwa, trudności, a z drugiej strony, czy nie będą dążyć, w ramach „snów o potędze" województwa, do tworzenia własnych przedsiębiorstw typu instalacyjnego, inżynieryjnego, itp., nie zawsze potrzebnych.

— Krytyka dotychczasowego sposobu zarządzania była powszechna. Ja osobiście, zapewne nie tylko ja, uważam, że znacznie łatwiej i prościej jest — z poszanowaniem wszystkich pryncypiów reformy — oddziaływać na przedsiębiorstwa, jeżeli jest się blisko nich. Łatwiej także określać niezbędne środki preferencyjne dla zabezpieczenia celów, rozmaitych w różnych województwach. W jednym będzie to budowa szpitala czy innego obiektu użyteczności publicznej, wszędzie problem budownictwa mieszkaniowego, ale i ten można podzielić. W niektórych województwach rozwój mieszkaniówki warunkować będzie uzbrojenie terenów, budowa oczyszczalni ścieków czy stacji uzdatniania wody, wobec tego należy preferować przedsiębiorstwa właśnie takimi sprawami się zajmujące. Błąd dotychczasowy polegał na tym, że wychodziła jedna centralna dyspozycja i jak zabierano się do tematu to był on powszechnie obowiązujący, chociaż dla konkretnego regionu (zamykanie się w umownej granicy województwa jest sprawą błędną) nie był korzystny. Jestem więc gorącym zwolennikiem decentralizacji. Proces ten jest już praktycznie zakończony w 48 województwach.

Nie jest prawdą, że jakiekolwiek województwo nie było zainteresowane oddziaływaniem na rozwój budownictwa. Tylko metody, zwłaszcza w ostatnim okresie, były podobne: naciskanie na szczebel centralny: „daj". Teraz trzeba będzie większość spraw załatwić we własnym zakresie, ponieważ nie ma już tego, do kogo można by tylko i wyłącznie wyciągać rękę. Zresztą Łódź jest tu klasycznym przykładem, że można bardzo wiele problemów rozwiązać samemu.

Proces decentralizacji łączy się ściśle z integracją potencjału budowlanego. Powszechnie znane były paradoksy, że w jednej wsi obiekt inwentarski budowało przedsiębiorstwo budownictwa rolniczego, natomiast, aby wybudować szkołę, trzeba było sprowadzać inny zakład z odległej o kilkadziesiąt kilometrów miejscowości. Celem reformy jest, poprzez integrację potencjału, doprowadzenie do skasowania dawnych resortowych działek. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, o którym pani wspomniała. Jak zapobiec temu, żeby w miejsce centralnych, nie powstało 49 wojewódzkich partykularyzmów? Dzisiaj nikt nie może dać takiej gwarancji. Powinna ją stworzyć sama reforma i jej mechanizmy. Tworzenie firm koniunkturalnych, które dziś mają co robić, ale nie wiadomo, co będzie za dwa lata, jest z góry skazane na porażkę. Jednak przypadki tego rodzaju, próby zamykania się w swoich granicach, likwidacja tego, co powołało się niepotrzebnie, może się w kraju zdarzać. Trzeba po prostu czasu, aby proces reformy dojrzał w świadomości tych, którzy mają o jego przebiegu decydować i koordynować — myślę tu o władzach centralnych, wojewódzkich, ale także o samych przedsiębiorstwach. W ich interesie, choć nie zawsze jeszcze to czują, musi leżeć rozwijanie działalności pod kątem uzyskania maksymalnych efektów — w tym także zysku — na takim terenie, który jest dla nich najbardziej opłacalny. Nie da się załatwić tej sprawy odgórnymi nakazami, musi się w ramach reformy wyregulować sama, w sposób naturalny.

Czy grozi nam wielkie niebezpieczeństwo w okresie przejściowym? Twierdzę, że nie większe, niż do tej pory, bo przecież system nakazowy w wielu wypadkach nie sprawdzał się. Wydawaliśmy na przykład polecenie, żeby przedsiębiorstwo z Białegostoku budowało w Katowicach. Budziło to duże opory, w rezultacie nie uzyskało się zakładanych efektów w Katowicach i znacznie więcej straciło się w Białymstoku. Nie ma więc wątpliwości, że centralne sterowanie nie sprawdziło się, zwłaszcza w budownictwie. Natomiast trzeba przeżyć trudności okresu przejściowego. Nie jest zgodny ze stanem faktycznym pogląd, że reforma już wchodzi w życie szerokim frontem. Nadal szesnaście grup materiałów jest rozdzielanych. W pierwszym półroczu odbywa się to jeszcze tradycyjnie, kanałami resortowymi. Od 1 lipca gestię w tym zakresie przejmują wojewódowie. Jest to kolejny krok do przodu w reformie: jeszcze dzielenie, ale już przybliżanie tego, który dzieli, do odbiorcy materiałów, już nie z Warszawy będzie się decydować o tym, czy pójdą one na szpital, szkołę czy blok mieszkalny.

— Proces wdrażania reformy dopiero się rozpoczął. Czy, mimo tak krótkiego czasu, można pokusić się o próbę oceny jej skutków, a zwłaszcza o stwierdzenie, czy trudności etapu przejściowego nie spowodują sytuacji, że budować będziemy jeszcze mniej, niż by to wynikało z możliwości produkcyjnych i zaopatrzenia materiałowego?

— Praktyka czterech miesięcy raczej na to nie wskazuje. Zrobiliśmy ogromny wysiłek, aby odpowiednio przygotować kadrę w tych przedsiębiorstwach, dla których byliśmy zwierzchnikami. Odbyła się seria szkoleń, wydrukowaliśmy sporo wydawnictw. Teraz odbywa się druga tura szkoleń, tym razem już w ramach nowych funkcji ministerstwa nie dla wybranych przedsiębiorstw, ale dla wszystkich. Poziom wiedzy jest oczywiście zróżnicowany, ale w mojej ocenie — dobry. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to samochwalczo, ale uważam, że znacznie wyższy w tych zakładach, które dawniej podlegały Ministerstwu Budownictwa, niższy natomiast w podległych innym resortom. We wszystkich województwach odbyły się spotkania z pełnomocnikami ministerstwa, potraktowane nie tylko jako forma przekazania wiedzy o reformie, czy odpowiedzi na nurtujące przedstawicieli przemysłu problemy, ale także służące do zebrania poglądów i opinii. Wiele z nich posłużyło do korekt i udoskonalenia przepisów. Ten proces trwa nadal i musi jeszcze potrwać.

Tymczasem jesteśmy narodem niecierpliwym i chcielibyśmy, aby po czterech miesiącach, a więc niemal z dnia na dzień, rezultaty reformy były widoczne. Jest to niemożliwe, tym bardziej, że trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jeden aspekt: piekielnie trudno odpowiedzieć gdzie — pozytywnie lub negatywnie — oddziaływuje reforma, a gdzie kryzys. Przecież wdrażamy ją w najtrudniejszych, jakie można było wymyślić, warunkach. Tymczasem często słychać już teraz opinie, że reforma się nie sprawdza, bo motywacji do pracy nie ma, wydajność nie wzrasta, itd. A przecież nie jest to wynik działania reformy, ale tragicznej sytuacji w zaopatrzeniu materiałowym. Twierdzę, że dopiero po pierwszym pełnym roku będziemy mieli możliwości oceny i ewentualnych korekt.

Dopiero gdy każdy robotnik zorientuje się, że im większy zysk zakładu, tym więcej wpłynie do jego portmonetki — będzie to koronny argument przemawiający za reformą. A zysk będzie tym większy, im większa produkcja. Oczywiście istnieje pewna granica, poza którą dalsze zwiększanie produkcji powoduje konieczność obniżenia zysku, ale w przypadku budownictwa jest to sprawa tak odległej perspektywy, że nie ma co na razie zajmować się tym problemem.

Rząd założył w planie, który jest tym razem planem-prognozą a nie planem-dyrektywą, wybudowanie w tym roku 170—200 tysięcy mieszkań. Kolejne prace nad zapewnieniem materiałów i środków produkcji doprowadziły do tego, że już nie określamy tej wielkości przedziałem, ale mówimy o 200 tysiącach mieszkań. To było w marcu, z kolei w kwietniu z województw wpłynęły plany dające w sumie 219 tys. mieszkań. A więc ciągle panuje pewien optymizm budowlany, przekonanie, że zrobi się jeszcze więcej, niż to, co, szczerze mówiąc, nie jest jeszcze zbilansowane ze środkami. Dziś mamy bowiem tylko papierowe porozumienia z resortami, a nie środki na 200 tys. mieszkań.

— Pojawiły się już w naszej rozmowie elementy określające nową funkcję resortu, pozbawionego czy też uwolnionego od konieczności nakazowego sterowania przedsiębiorstwami, ale przecież nie ograniczają się one tylko do popularyzacji zasad reformy.

— Oczywiście, byłoby to zbyt duże uproszczenie. Nie narzucając niczego, nie chcemy przecież pozostać na tym poziomie techniki i technologii, jaki mamy obecnie. Dla przykładu: mamy świadomość, że wielka płyta ma określone niedomogi. Trwają prace nad ich wyeliminowaniem, a jednocześnie wykorzystaniem fabryk domów. Chodzi o to, aby nie dopuścić do ich gwałtownej likwidacji, co byłoby wylewaniem dziecka z kąpielą. Proponujemy na przykład wykorzystanie zakładów prefabrykacji do produkcji drobnych elementów dla budownictwa jednorodzinnego, komunalnego, ewentualnie uruchomienie w fabryce domów, o której wiadomo, że w ciągu najbliższych kilku lat nie będzie mogła wykorzystać 100 procent potencjału, produkcji gazobetonu. Szereg takich tematów jest opracowywanych przez zaplecze naukowo-badawcze po to, aby nie marnować istniejącego potencjału i poprzez niezbyt kosztowne zmiany dostosować go do takiej produkcji, jaka w najbliższym okresie będzie potrzebna. Są to propozycje bez uniformizacji, bez konieczności stosowania ich od Bałtyku do Karpat.

Tu dochodzimy do tego, jak resort widzi swoją rolę, zresztą nie tylko widzi, ale stara się realizować. Z tym, że na razie jest to rola docelowa i nie zaryzykowałbym twierdzenia, że w 1983 czy 1984 roku będziemy już całkowicie ministerstwem funkcjonalnym, spełniającym dla całego działu budownictwa funkcję organu regulującego, normującego wszystkich od prywatnego rzemieślnika po duży zakład państwowy.

W pewnym uproszczeniu istnieją trzy ścieżki, którymi resort musi pójść. Pierwsza, to jest kształtowanie polityki technicznej na zasadzie oferty najlepszych rozwiązań. Założyliśmy już pewien model, jaki chcemy w ten sposób osiągnąć — doprowadzenie do modernizacji wielkiej płyty, takiej, aby oczyścić ją z wszystkich braków. Twierdzę, że do roku 1990 jeszcze 70 proc. obiektów będzie realizowane w technologii wielkopłytowej, ale nie będzie to ta sama wielka płyta.

Drugi dział, to tworzenie warunków ekonomicznych dla zapewnienia realizacji celów preferowanych. Wyraża się w tym ochrona interesów państwa, a ściślej interesów społecznych, dążenie do tego, aby najbardziej potrzebne zadania miały szansę realizacji w pierwszej kolejności. Trzeci blok, to tworzenie warunków dla ludzi. W budownictwie pracuje około miliona ludzi i ktoś musi dbać o zapewnienie im możliwości prawidłowej pracy. W tym bloku jest szkolenie, sprawy bhp i socjalne, szereg innych, które już regulujemy, bądź będziemy regulować poprzez proponowanie kierunków nie obligujących a inspirujących do podjęcia określonej działalności w tym zakresie.

— Jaka powinna być docelowa rola państwa i jego funkcje sprawowane m. in. poprzez resort w stosunku do budownictwa mieszkaniowego, jakie są główne założenia programu kompleksowej polityki państwa w stosunku do budownictwa — tego programu, którego już czwarta wersja jest aktualnie opracowana.

— Nasze ministerstwo włącza się do tego programu i wzbogaca go trzema dokumentami, o których już mówiłem: programem rozwoju produkcji materiałów, programem oszczędności materiałów i energii oraz programem zastosowania substytutów w miejsce deficytowych czy importowanych materiałów. Będę więc mówił już nie o własnej działce, lecz trochę za kolegów. Program przewiduje przede wszystkim zasadniczą zmianę proporcji w budownictwie mieszkaniowym. W roku 1990 ma być pół na pół — około 50 proc. budownictwa wielorodzinnego i tyleż jednorodzinnego. A teraz przejdźmy do liczb. Program zakłada osiągnięcie w roku 1985 około 300 tys. mieszkań, w tym 180 tys. w budownictwie wielorodzinnym i 120 tys. w indywidualnym. W kolejnej pięciolatce chcemy dojść do 400 tys. mieszkań rocznie przy zachowaniu założonych proporcji 1:1. Na to nacelowany jest nasz program rozwoju produkcji materiałów budowlanych, stwarzający szansę, aby wielkości budownictwa, zakładane w granicznych latach 85—90, osiągnąć.

— Programów, w tym i bardzo dobrych, było już kilka. Żadnego, jak dotąd, nie udało się zrealizować. Kiedy z pełną odpowiedzialnością będzie można stwierdzić, że tym razem nie stanie się podobnie, jakie warunki muszą zostać spełnione, aby ten kolejny program stał się rzeczywistością?

— Przed nami jeszcze wiele dylematów, które wymagają decyzji centralnych. Dla przykładu: jeżeli uwzględnić program oszczędzania cementu, to posiadane aktualnie zdolności produkcyjne wystarczą nam do 1990 roku. Do rozstrzygnięcia będzie jednak pytanie, czy wydatkować więcej węgla na cele produkcji cementu, czy też raczej wydać 12,9 miliarda złotych na modernizację cementowni. Dziś nie można dać na to odpowiedzi, ale nasz program nie jest utopijny, bo zakłada w szeregu podobnych kwestii, jakie już występują, lub mogą pojawić się w przyszłości, możliwość alternatywnego rozwiązania. W jaki sposób zostaną rozstrzygnięte takie dylematy — przesądzi w przyszłości o realności zamierzenia.

Jeżeli kompleksowy program ze wszystkimi załącznikami, po szerokiej konsultacji, zostanie przyjęty przez rząd, od tego momentu musi obowiązywać żelazna konsekwencja jego realizacji. Inaczej, będzie podobnie, jak z poprzednimi. Ten, albo stanie się realny już w momencie jego zatwierdzenia, albo nic z tego nie wyjdzie. Nie ma tam żadnych nierealnych założeń, gospodarkę narodową stać na takie ukierunkowanie środków, nawet w obecnej trudnej sytuacji, aby ten cel osiągnąć. Nie można jednak dziś dać gwarancji, że po drodze nie znajdzie się inny, ważniejszy cel, który ten program zwichruje. Mogę jedynie wyrazić przekonanie, że tym razem przypadek taki nie będzie miał miejsca. Powtarzam, to nie jest program-utopia. Mówi on, co trzeba zapewnić, aby planowaną wielkość budownictwa mieszkaniowego osiągnąć. Musi to być święte dla wszystkich, którzy na ten finalny produkt się składają. Jeżeli zostanie to znowu na grzbiecie jednego działu gospodarki narodowej, to znaczy tylko na budownictwie, to oczywiście może być generalna plajta.

Rozmawiała:
TERESA JERZYKOWSKA

Foto.: M. Zajdler

Dwa spojrzenia na historię

Obserwuje się obecnie duże zainteresowanie historią. Szukamy w przeszłości wzorów dla siebie, analogicznych sytuacji, które pozwoliłyby nam zrozumieć współczesność, szukamy wreszcie przeszłych źródeł czasu teraźniejszego. Zadajemy sobie przy tym pytanie: czym jest historia w życiu społeczeństwa? Aby Czytelnikom pomóc w znalezieniu takiej odpowiedzi publikujemy dwa wywiady na temat historii:
— fragmenty rozmowy publicysty „Le Monde Dimanche", Didiera Eribona z Mosesem Finley'em — historykiem starożytności,
— fragmenty rozmowy Andrzeja Magdonia przeprowadzonej dla krakowskiego „Zdania" (nr 1) z Marią Turlejską — historykiem najnowszych dziejów Polski.
Ponieważ Czytelnikowi polskiemu Moses Finley jest mało znany, publikujemy także kilka informacji o nim. (Tytuł wywiadu z M. Finley'em pochodzi od redakcji „Odgłosów", śródtytuły według oryginału, jak też tytuł wywiadu z M. Turlejską).
Moses I. Finley, który musiał opuścić USA w okresie maccarthyzmu, wykłada od 1955 roku na Uniwersytecie

Zmieniać świat a nie przeszłość

— Tytuły dwóch spośród pańskich książek — „Demokracja nowoczesna i demokracja antyczna" oraz „Niewolnictwo antyczne i nowoczesna ideologia" — świadczą dobitnie o konfrontacji teraźniejszości z przeszłością. Skąd bierze się tak natarczywe stawianie tego problemu?

— Cała praca historyka jest dialogiem w teraźniejszości i z teraźniejszością. Wszystkie nasze nawyki myślowe, nasze skojarzenia, idee, nasze wartości są uformowane w teraźniejszości i roszczeniem jest — niebezpiecznym roszczeniem — uważać, że możemy uniknąć teraźniejszości, mieć za punkt wyjścia „tabula rasa", badać przeszłość z absolutnym obiektywizmem, czytać autorów greckich i łacińskich z nastawieniem umysłowym i psychicznym, ze świadomością, które nie byłyby ukształtowane przez książki, jakie czytaliśmy i jakie zostały napisane od starożytności...

Możemy jedynie odrzucić to roszczenie, uświadomić sobie w pełni nasze własne wartości i wierzenia, a następnie prowadzić świadomy dialog z przeszłością. Nie mówię tego dla uproszczenia sprawy: nie chodzi o to, by na każdej stronie historyk recytował swoją ideologię jak litanię, lub wyciągał wnioski dla czytelników w prymitywnej formie dydaktycznej. Dwie z moich książek mają tytuły rzeczywiście podkreślające konfrontację, ale były ku temu szczególne powody. W pierwszej („Demokracja nowoczesna i demokracja antyczna") pragnąłem wykorzystać doświadczenia demokracji ateńskiej jako broń przeciwko dominującej ideologii współczesnej — elitarnej teorii demokracji. Dlatego musiałem zakwestionować to, co uważałem za powszechnie przyjęte wyobrażenie o demokracji ateńskiej.(...)

— W niewielkiej książeczce wydanej w Wielkiej Brytanii, „Nadużywanie historii", można znaleźć znacznie bardziej generalne problemy od tych, które pan wymienił.

— Tak. Odrzucać lub deformować fakty, formułować kontrprawdy, to nie jest nadużywanie historii lecz nadużywanie zawodu historyka, i nie ma to nic wspólnego z historią, lecz z badaniem propagandy. Mnie natomiast interesowało coś znacznie bardziej fałszywego, jak na przykład znane slogany „nic nowego pod słońcem", lub „natura ludzka jest niezmienna" (można wykazać fałszywość tych sloganów), które prowadzą do ponownego opisywania przeszłości na obraz i podobieństwo teraźniejszości, do mechanicznego wyciągania wniosków z historii, do krytykowania teraźniejszości poprzez wypracowanie błędnych modeli idealnych pewnych okresów przeszłości. „Przeszłość" w tym kontekście nie jest oczywiście ograniczona do starożytności grecko-rzymskiej.(...)

PRZEZ PRZYPADEK

— Krytykuje pan często przesadna specjalizację. Czy to pańska droga intelektualna doprowadziła pana do takiej postawy?

— Do historii starożytnej doszedłem przez przypadek. Kiedy studiowałem na Uniwersytecie Columbia, postanowiłem nagle porzucić studia prawnicze i zająć się historią. Chciałem się specjalizować w Renesansie. Zacząłem chodzić na wykłady z historii Odrodzenia, Średniowiecza i historii starożytnej. Profesorowie od dwóch pierwszych wykładów byli bardzo nudni, podczas gdy historyk starożytności był pasjonatem. I w ten sposób, w ciągu kilku tygodni, zszedłem na historię starożytną, do której zupełnie nie byłem przygotowany, nie znając ani słowa po grecku czy łacinie. Nigdy jednak nie żałowałem tej decyzji..(...) Moja wrogość do wąskiej specjalizacji, charakteryzującej znaczną część nauczania i badań uniwersyteckich, jest bardzo dawna i wynika prawdopodobnie z moich własnych doświadczeń studenta i profesora.

— Jeszcze sprzed pana przyjazdu do Wielkiej Brytanii?

— Kiedy zacząłem uprawiać historię na początku lat trzydziestych, studiowałem dość intensywnie matematykę, literaturę angielską i francuską, psychologię i konstytucję USA.(...)

Oczywiście, moje badania i prace były poświęcone wyłącznie historii greckiej lub rzymskiej, nawet jeśli przy różnych okazjach robiłem wycieczki w inne dziedziny, zwłaszcza przy recenzji książek. Jednak mój brak specjalizacji (mógłbym powiedzieć nawet antyspecjalizacja) jest widoczny we wszystkich moich pracach. Czy muszę dodawać, że właśnie w tym kraju kryje się moja siła jako historyka?

WESPÓŁ Z INNYMI NAUKAMI

— Ponieważ wykorzystuje pan obficie inne nauki humanistyczne w swojej pracy?

— Jest rzeczą paradoksalną, że historia jest, być może, jedyną działalnością intelektualną, która nie ma wyraźnie określonego przedmiotu badań. Być może dlatego Arystoteles nie nadał historii rangi „episteme" (dziś powiedzielibyśmy prawdopodobnie „dyscypliny") w sławnym rozdziale „Poetyki", gdzie wyłącza on historię, ponieważ nie może nam ona powiedzieć nic innego ponad to, co robił Alcybiades, bądź czego doświadczył. W konsekwencji historyk musi nieustannie podpierać się innymi naukami humanistycznymi — socjologią, ekonomią, naukami politycznymi, antropologią czy prawem, ale też w niektórych przypadkach — psychologią, filozofią, lingwistyką, historią sztuki, krytyką literacką... Jest rzeczą nie do przyjęcia, by ktoś zajął się historią matematyki, nie mając pojęcia o matematyce. Jest tymczasem regułą, że historycy piszą o gospodarce starożytnej, nie wiedząc nic o ekonomii. Jest to dla mnie niezrozumiałe.(...)

Zwykła wiara w zdrowy rozsądek, jako wystarczającego przewodnika, pociąga za sobą dwa błędy: przede wszystkim koncepcje i pojęcia używane przez historyka są zwykłymi kawałkami wiedzy nieprofesjonalnej, zdobytej w szkole lub przez chaotyczne lektury. Po wtóre, autorów antycznych bierze się dosłownie; nie zadaje się im nigdy pytań przy zastosowaniu innych pojęć, jak tylko tych, które stosowali sami. Wszystko to, mutatis mutandis, stosuje się do badań politycznych, religijnych, do badania zachowań społecznych i do produkcji artystycznej.

— Można już teraz lepiej zrozumieć, dlaczego nastaje pan tak bardzo na to, co powinno być oczywistością, mianowicie — że praca historyka nie polega tylko na odkrywaniu faktów.

— Historyk przekonany, że jego zawód polega wyłącznie na odkrywaniu faktów, może równie dobrze zbierać motyle, znaczki pocztowe, bądź pudełka od zapałek. Są to bowiem zajęcia prywatne dostarczające przyjemności osobistej (czego wcale nie krytykuję), lecz które nie spełniają żadnej funkcji społecznej.

Każdy historyk stawia przecież fakty jedne w stosunku do drugich. Nawet najbardziej pozytywistyczni historycy, którzy zaprzeczają, jakoby interesowało ich coś ponad odkrywanie faktów, nie robią tylko tego i nie mogą się tym zadowolić. Trzeba skończyć z iluzją, że historyk wychodzi z faktów (lub, co jest bliskie temu błędowi, od źródeł). Bronię sprawy świadomości i lepszej kontroli przez historyka uogólnień, relacji i wzajemnych związków, którymi posługuje się on nieustannie. Jednym słowem, działalności samokrytycznej. Cóż w ostatecznym rachunku sprawia, że jedna praca historyczna jest lepsza od drugiej (odsuwając na bok aspekty czysto techniczne, takie jak mniej lub bardziej kompletne czy też szczegółowe dane i to, co odnosi się do „sztuki", tzn. do komunikatywności autora)? Jedynym kryterium, jakie znam, jest świadomość, że wyjaśnia on lepiej, tzn. ustala bardziej zwarte, bardziej kompletne, a zatem bardziej przekonywające związki.

KAŻDEMU JEGO PRZESZŁOŚĆ

— W pańskim tekście o „Konstytucji przodków" analizuje pan różne użytki, jakie społeczeństwo robi z przeszłości. „Odwołanie się do przeszłości — pisze pan — jest faktem społecznym, lecz nie musi być koniecznie związane z konserwatyzmem". Co sprawia, że społeczeństwo porzuca swoją tradycyjną przeszłość na rzecz innej?

— W dwudziestym wieku zawód historyka sprawia wrażenie nieustannego wzburzenia. W mojej młodości byliśmy wszyscy w USA adeptami „nowej historii" szkoły Jamesa Harvey'a Robinsona, antyideologicznej, antyobskurancckiej, psychogenetycznej. Dzisiaj mamy „nową historię ekonomiczną", poważną i ogromnie zmatematyzowaną, dlatego też nazywa się ją niekiedy kliometryczną (od muzy Klio co można przetłumaczyć jako „zmatematyzowana Klio" — przyp. red.). Ze wszystkich stron pojawia się rewizjonizm — w interpretacji dwóch wojen światowych, Nowego Ładu amerykańskiego, Risorgimento (włoskie odrodzenie narodowego w XIX wieku — przyp. red.), Rewolucji Francuskiej, Bismarcka... Wielką część tego rewizjonizmu, tego wzburzenia stanowi po prostu rozwój badań historycznych w uniwersytetach. Jest to godne pochwały, lecz ma niewielki lub żaden wpływ na świat zewnętrzny. Jest rzeczą niepojętą, by rozważania o latach poprzedzających wojnę domową w Anglii mogły mieć najmniejszy nawet wpływ na powszechnie przyjęty wizerunek Karola I czy Cromwella.

Bywały jednak sytuacje, zarówno w przeszłości jak i w naszych dniach, kiedy rewizjonizm rodził się nie wewnątrz profesji historyka, lecz poza nią, ponieważ określony okres przeszłości wydawał się użyteczny do celów politycznych. Rewizja historii Nowego Ładu, zwłaszcza zaś roli Ameryki w drugiej wojnie światowej, jest tego doskonałą ilustracją. Lub też na odwrót, może dochodzić do sprzeciwów politycznych wobec tego, co można nazwać konwencjonalnym rewizjonizmem historycznym, jak w przypadku oporu wobec nowych interpretacji Risorgimento we Włoszech. Jest jeszcze inny rodzaj zmiany spojrzenia, narzucony historykom z zewnątrz, którego typowym przykładem jest obecny boom badań nad historią kobiet, czy — w USA — nad historią Murzynów. Niemniej jednak sprawa zorientowania się, kiedy i dlaczego ten aspekt polityczny prowadzi skutecznie do stałych zmian w odwoływaniu się do przeszłości w społeczeństwie, pozostaje na ogół, według tego co wiem, bez odpowiedzi.

— Jaka jest więc rola społeczna historyków? Czy mają oni, powiedzmy, władzę?

Trzeba wziąć pod uwagę dwa problemy z tym związane. Przede wszystkim mandarynów, którzy ciągle jeszcze dominują w zawodzie historyka. Przez mandarynat rozumiem nie tylko autorytet profesora wobec swoich młodszych kolegów i studentów, ale również upór, z jakim uważa się, że rzeczywistą funkcją historyka jest prowadzenie badań wyłącznie dla dobra kolegów, dla postępu w nauce, że bardziej popularny sposób komunikowania wyników pracy jest niegodny, zastrzeżony dla dziennikarzy, lecz nie dla prawdziwego historyka.

Istnieją, niestety, ściśle określone granice możliwości postępu. Istnieje przepaść nie do pokonania między — z jednej strony — niewielką mniejszością wytrawnych czytelników, a z drugiej „szeroką publicznością" czytającą, co oznacza istnienie historii dla tej ostatniej i można ją obserwować poprzez tysiące popularnych magazynów historycznych, sprzedawanych każdego miesiąca we Francji i we Włoszech, lub poprzez programy historyczne w telewizji Wielkiej Brytanii — romantycznej i od podstaw reakcyjnej historii królów i wojen. Są oczywiście artykuły i audycje telewizyjne wyjątkowe, ale jest to kropla w morzu powszedniości. Ta przepaść jest nieunikniona w świecie, w którym żyjemy i nie mam żadnych złudzeń, jeśli idzie o realną moc historyków wprowadzenia znaczących zmian. W 1965 roku napisałem w krótkim artykule: „Musimy zmienić świat, a nie przeszłość".

Dylematy historyka

ZDANIE: — We wstępie do książki „Zapis pierwszej dekady" pisze Pani, że nie można zaniechać pisania historii współczesnej, bo wtedy miejsce historii zajmuje sterowana mitologia lub ustna tradycja — obie zniekształcające rzeczywistość, zależnie od bieżących interesów ich autorów. Niestety — z historią powojenną Polski tak się właśnie dzieje. Dlaczego?

MARIA TURLEJSKA: — A jaką rolę pełnił w ostatnich trzydziestu paru latach historyk, który chciał zabierać głos w sprawach najnowszej historii? Jego rola sprowadzała się najczęściej do uzasadnienia tez propagandy. Miał pełnić funkcję nadwornego dziejopisa. Nie, nawet nie kronikarza, bo kronikarz uwzględnia w miarę możności wszystkie wydarzenia. Natomiast tutaj historyk świadomie eliminował ze swojego pola widzenia cały szereg faktów, które mu do tezy nie pasowały.

Z.: — Były też obowiązkowe fakty i interpretacje. W krytycznej recenzji z Pani książki, jaka ukazała się w 1973 r. w „Nowych Drogach", większość zarzutów właściwie dotyczy tego czego Pani nie napisała, a powinna była napisać.

M.T.: — No tak, ale w gruncie rzeczy chodziło właśnie o to, co napisałam. Taki jeden przykład: ostatni rozdział „Zapisu pierwszej dekady" zatytułowany „Odprężenie w świecie" zaczynam od śmierci Stalina. To zostało skrytykowane, jakby ten fakt nie wywarł wielkiego wpływu na odprężenie w latach 1953—56.

Z.: — Recenzent zarzuca Pani, że w książce Stalin został obarczony całą winą za napięcia zimnej wojny.

M.T.: — Bo recenzent, czy też jego mocodawcy, obawiali się, że moja teza dotknie sojuszników. Mściła się „wstydliwa choroba" dotycząca stosunków polsko-radzieckich. Na przykład jeden z historyków polskich po wojnie nie wyodrębniał w ogóle rozbiorów Polski, jako ważnej cezury w naszych dziejach. Poprzestawał na podkreślaniu takich dat, które mówiły o przejściu z feudalizmu do kapitalizmu. Po wojnie w historiografii naszej generalnie położono nacisk na zjawiska gospodarcze. Na przykład — jeżeli chodzi o pierwsze lata powojenne — to jest mowa głównie o reformie rolnej, upaństwowieniu przemysłu, o planach rozwoju gospodarczego. Natomiast sprawy polityczne odchodziły na daleki plan.

Zawsze były też na pierwszy plan wysuwane sukcesy, pozytywne przemiany, a nie brano pod uwagę ogromnych kosztów tych przemian. (...)

Z.: — Ukazują się teraz wywiady z politykami, którzy zeszli ze sceny: np. z Ochabem, Kłosiewiczem, Osóbką-Morawskim i innymi. Czy te wywiady są dokumentami dla historyka dziejów najnowszych?

M.T.: — Ja bym powiedziała, że większość z tych rozmów, które zostały ostatnio opublikowane, mówi więcej o samym człowieku, niż o wydarzeniach. Wywiad pokazuje, co polityk o sobie myśli, jak widzi dzisiaj motywy swoich działań, jak chce być widziany.

Foto: Archiwum

Cambridge. Autor znacznej liczby dzieł, jest on jednym z najbardziej znanych specjalistów od historii antycznej i w znacznej mierze przyczynił się do odnowienia tej dyscypliny. Pod tytułem „Mythe, memoire, histoire" (Mit, pamięć, historia) wyszedł ostatnio (w Wydawnictwie Flammarion), zbiór ośmiu artykułów nie publikowanych po francusku, w których analizuje stosunek społeczeństwa do swojej historii, próbuje określić pracę historyka, jego metody... i trudności ze zdobyciem akceptacji w tej szczególnej domenie, jaką jest historia starożytna dla nowatorskiego podejścia.

Z.: — Czy publikacje, które się ostatnio ukazały na temat wypadków poznańskich, roku 1970, Radomia, mają dużą wartość źródłową dla historyka?

M.T.: — To są przede wszystkim relacje naocznych świadków. Natomiast jeżeli chodzi o materiały dokumentujące zachowanie władzy, to tego właściwie nie ma. Brak ciągle dokumentów, które by ujawniały mechanizmy podejmowania decyzji.

Z.: — Czy historyk może się np. zapoznać z raportem tzw. Komisji Szydlaka, która badała przebieg wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu?

M.T.: — Nie wiem, ja nie próbowałam i myślę, że nie każdemu było to udostępniane.

Z.: — Jakie są u nas zasady udostępniania tego rodzaju materiałów archiwalnych?

M.T.: — Przede wszystkim jest duże rozproszenie materiałów (...).

Ale też przed nadmiernymi nadziejami, że archiwa nam wszystko wyjaśnią, powinna nas bronić świadomość, że najważniejsze wydarzenia nie były często protokółowane i nie ma z nich żadnego śladu na papierze. Tak na przykład dramatyczna sytuacja: Gomułka potępiony za odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, za stosunek do kolektywizacji, do Biura Informacyjnego, do metod walki z Tito, zostaje zaproszony do Moskwy, tuż przed Zjazdem Zjednoczeniowym. Tam przez całą noc Stalin, Beria, Mołotow namawiają go, żeby wszedł jednak do kierownictwa PZPR. Byłby podporządkowany Bierutowi, nowej linii, właściwie ubezwłasnowolniony. I on się na to nie zgadza, bo wie, że nie miałby już nic do powiedzenia w tym nowym układzie. Takich rozmów nie protokołowano.

Ale jest dość źródeł dostępnych a nie wykorzystanych. Dopiero parę lat temu „odkryłam" Dziennik Ustaw. Tam jest cała masa dekretów i ustaw, które wyjaśniają sprawy karne, mechanizm zaprowadzania dyscypliny pracy, ograniczanie wolności w stosunku do chłopów, regulowanie życia gospodarczego przez ustalanie różnego rodzaju cen i podatków. To jest olbrzymi materiał, właściwie dotąd nie wykorzystany. Pokazuje on dokładnie działanie władzy w pierwszych latach po wojnie.

Z.: — Jak Pani sądzi, czy wydarzenia po Sierpniu 1980 roku są dobrze udokumentowane dla przyszłych historyków?

M.T.: — Myślę, że od strony ruchu strajkowego, organizowania się — to tak. Jest na ten temat sporo materiałów.

Z.: — Czy myślała Pani kiedyś o napisaniu historii posierpniowych wydarzeń?

M.T.: — Nauczyłam się, że jednak historyk musi wiedzieć, co wynika z wydarzeń. Trzeba wiedzieć ku czemu proces społeczny prowadzi. Relacja w trakcie wydarzeń jest obciążona nieznajomością prawdziwych motywów, postaw i dążeń. Dopiero, kiedy wiemy, co z tego wynikło, mamy więcej danych, by próbować *odpowiedzieć na pytanie*, jak było i dlaczego tak się stało. Możemy w tej chwili tylko wierzyć, że to wszystko dobrze się skończy. Dopóki jest wiara, jest i emocja. W tej emocji racje nie mają jeszcze za sobą poparcia faktów. Nie możemy wiedzieć, które z ekstremów są niebezpieczniejsze. Sierpień to jest piękny temat, ale na to trzeba co najmniej 10 lat dystansu.

Z.: — Czy do wszystkich wydarzeń można to odnieść?

M.T.: — Nie. O niektórych można pisać dopiero po 50 latach. Myślę, że potrzebna jest nie tylko znajomość faktów, ale też mechanizmów, które rządzą procesami historycznymi.

Z.: — Co wobec tego, Pani zdaniem, ma do zrobienia komisja KC powołana do wyjaśnienia mechanizmów polskich kryzysów powojennych? Czy mają wzbogacić faktografię, czy lepiej wyjaśnić i zinterpretować fakty już znane?

M.T.: — Zależy, jak do tego podejdą. Moim zdaniem, jest bardzo dużo do uzupełnienia, jeżeli chodzi o fakty, no i oczywiście potrzeba interpretacji.

Wydaje mi się, że nasze kryzysy zawsze ujawniają tylko to, co się gromadziło wcześniej. Myślę, że trzeba by zbadać okresy między kryzysami, sięgnąć do przyczyn, a nie do przebiegu samego kryzysu. Władza usiłowała zdobyć legitymizację. W momencie, kiedy się kształtowała, nie miała za sobą większości społeczeństwa liczącego na inne, bardziej pluralistyczne układy, w których byłyby reprezentowane różne nurty: komunistyczny, socjalistyczny, ludowy, chrześcijański. Partia walczyła o monopol i umacniała ten monopol. W ciągu 4 lat udało się jej po wojnie ten monopol osiągnąć przez eliminację innych kierunków, również i tych, z którymi współdziałała. I tu powstało źródło kryzysu, który ujawnia się, kiedy partia traci zaufanie. Ta utrata zaufania ujawnia się na przykład w związku z kolejnymi niepowodzeniami gospodarczymi.

Z.: — Słyszałem, że Władysław Gomułka udzielił Pani obszernych wywiadów. Jest to tym ciekawsze, że w ogóle z zasady odmawia wszelkich rozmów.

M.T.: — Nie jest żadną tajemnicą, że się z nim spotykałam, częściej przed Sierpniem, i miałam okazję poznać jego racje, sposób myślenia, oceny — zarówno dotyczące historii, wspomnień z młodości, jak i bieżących wydarzeń. Mnie interesowała bardziej historia, ale on częściej mówił o rzeczach, które się działy aktualnie, bo jego to najbardziej interesowało. Bardzo żywo śledził aktualne wydarzenia.

Nie spisywałam tych rozmów, ale bardzo żywo pamiętam i myślę, że jeżeli kiedyś będę pisać na ten temat, to one mi bardzo pomogą. Pozwoliły mi zrozumieć jego mentalność, sposób myślenia, odwagę, prostolinijność, ale z drugiej strony i pewne doktrynerstwo.

Z.: — To ciekawe, że Władysław Gomułka tak żywo się interesuje bieżącymi wydarzeniami. Przecież prawie nic się nie wie o ludziach, którzy zeszli ze sceny politycznej. Wydaje się, że oni żyją już tylko sprawami prywatnymi.

M.T.: — W okresie naszych rozmów Gomułka bardzo dużo czytał, dużo wiedział i był bardzo zaniepokojony rozwojem wypadków. Uważał, że Gierek zmarnował wszystko, co było wcześniej skumulowane, zagospodarowane, bardzo krytycznie odnosił się do jego posunięć po 1971 r.

Z.: — Po ukazaniu się „Zapisu pierwszej dekady" w 1972 roku nie opublikowała Pani nic?

M.T.: — Objęta byłam przez jakiś czas zakazem publikacji i zajęta pracą urzędniczą w archiwum, gdzie zostałam przeniesiona po opublikowaniu tej książki. Zostałam odsunięta od pracy w uczelni. Prawdę mówiąc, zniechęciło mnie to wszystko do pisania. Zdałam sobie sprawę, jakie atrybuty musi płacić historyk zajmujący się dziejami najnowszymi, jeśli chce być publikowany. Moja przygoda była także przestrogą dla innych.

Ostatnio podjęłam pracę jako wykładowca na Uniwersytecie we Wrocławiu. Mam też umowę z Wydawnictwem Literackim na książkę o roku 1956. Kiedy podpisywałam tę umowę, nikt się jeszcze do tego nie zabierał. Dzisiaj piszą wszyscy.

Nazbierałam trochę materiałów do tej książki, ale muszę powiedzieć, że chwila dzisiejsza nie sprzyja pracy i koncentracji. (...).

Listopad, 1981.

■

Krzywda w Trybunalskim Piotrkowie

Złośliwcy mówią, że w Piotrkowie najgłośniej słychać pogubernialną czkawkę. Bo to, panie dzieju, pałac guberni nadawał miastu ton, jego wieliczestwo gubernator zajeżdżał landem i stał garnizon kozacki. Był wielki świat, toalety z Petersburga i solidne zadowolenie zamożnych mieszczan. A teraz została Krzywda i... wojewoda na pociechę.

Naprawdę było tak: reprezentacyjna ulica, przy której pysznił się pałac gubernialny (dziś siedziba władz wojewódzkich) oraz szereg wystawnych kamienic konkurujących ponoć nawet z łódzką secesją, była oczkiem w głowie piotrkowian. Otóż w to wychuchane cudo padł grom. W pierwszych dniach, niemal w pierwszych godzinach września 1939 roku, ciężkie bombardowanie zmasakrowało samo serce miasta. Tę wyrwę nie zaleczoną, uznali piotrkowianie za swą największą krzywdę. I tak już zostało. Jest deptak na Krzywdzie. Są tacy, co twierdzą, że Krzywda to symbol miasta.. i coś w tym jest.

JOLANTA WROŃSKA

ENTUZJAŚCI I PRZEŚMIEWCY

Miłośnicy miasta i regionu twierdzą, że Piotrków ma nie tylko znakomitą przeszłość, lecz i kipiącą teraźniejszość. Mnóstwo imprez kulturalnych, konkursy orkiestr, poezji, koncerty w bibliotece wojewódzkiej i inne, świadczy o żywotności środowiska twórców i działaczy kultury. Trwa praca nad monografią Piotrkowa, prowadzona pod kierunkiem prof. Bohdana Baranowskiego z Łodzi. Przy wojewodzie działa rada naukowa, dowodzona przez prof. Krzemińskiego. Toczą się dyskusje nad rewaloryzacją pięknej Starówki, nad stworzeniem tu pulsującego na cały region centrum kultury. Ma przecież Piotrków atuty nie byle jakie. Zamek królewski, odbudowany dzięki niespożytej energii działaczy kultury z nieocenionym Tadeuszem Nowakowskim, przewodniczącym WRN na czele, muzeum na Wierzejach, muzeum w Polichnie — ta triada może stać się bezcennym dla miasta ośrodkiem aktywności społecznej. Marzenia miłośników Piotrkowa (niestety zablokowane ciężką sytuacją mieszkaniową) zakładają, by odrestaurowana Starówka wraz z muzeami przyciągnęła najszersze rzesze obywateli miasta. Dla sztuki, zainteresowań artystycznych, dla młodzieży znalazłoby się tu wiele miejsca.

Marzenie swoją drogą, a możliwości, zwłaszcza ekonomiczne, swoją, ale tak jest przecież wszędzie. Zawsze tam, gdzie trzeba wybrać między mieszkaniami a piękną, acz sypiącą się kamieniczką, wygrywa — co zrozumiałe — to pierwsze. Ale przecież dobrze, że miasto ma swe wielkie ambicje, nawet swe snobizmy. Można byłoby drwić z projektów odbudowy rozebranego w 1868 roku ratusza (ongiś siedziby Trybunału, dziś — emblemat wielkiej nagrody „Złota Wieża Trybunalska"), bo to ani planów, ani zachowanych rycin nie ma, a kosztuje miliardy. Można by. Nie wolno jednak przeoczyć, jak kolosalne znaczenie ma fakt, że w ogóle chce się komuś robić coś dla miasta. Ileż mamy takich świeżej daty województw, które traktowane są jak miejsce zesłania, jak dowód niełaski u tzw. czynników. Małoż to myślenia typu — przeczekać i odbić się do centrali? A losy miasta, regionu są ostatnią z trosk jego gospodarzy? Więc ma Piotrków swych ludzi, rzetelnych, zakochanych w historii i energicznych. I bardzo dobrze. Właśnie ci ludzie stanowią o przyszłości. Nawet jeśli tylko drobna cząstka ich zamierzeń będzie zrealizowana, to przecież zyskuje się coś więcej. Mozolnie budowany fundament, na którym kolejni i kolejni entuzjaści, wariaci i marzyciele, będą, cegła po cegle, tworzyć prawdziwą, żywo oddziałującą stolicę regionu. Taką, która skupi nie tylko siły intelektualne województwa, ale przyciągnie każdego szeregowego obywatela, bo znajdzie tu pole dla swych pasji i możliwość działania we wszystkich dziedzinach.

Jest i drugi punkt widzenia. Prześmiewcy, acz nie bez odrobiny życzliwości, wytykają mieszczański sposób myślenia tzw. ogółu. Taki zadowolony z siebie, gnuśny bezruch. Kąśliwie głoszą, że piotrkowian rusza tylko Wielka Akcja, jakieś dożynki ogólnopolskie, jakieś mistrzostwa świata śmigłowców albo coś w tym guście. W antraktach panuje cisza. Był ongiś wspaniały klub młodzieżowy; „Piwnica u Bony", dziś niszczeje, zupełnie nie wykorzystany. A że drzwi stoją otworem, więc szemrana ferajna ma melinę pod gotyckim sklepieniem. Klub umarł nie dlatego, że ktoś mu zaszkodził, tylko dlatego, że młodzieży zwyczajnie się odechciało. Żal patrzeć na taki wspaniały lokal, o którym inni mogą tylko marzyć. Miał być na Starówce klub MPiK. Lokalizacja znakomita, idealne miejsce na spotkania z literaturą, z ludźmi, z urokiem starych murów. Miał być. Jest zabity deskami afront dla władz magistrackich. Tak to właśnie jest z Piotrkowem — twierdzą krytycy — coś się zacznie i nie skończy, coś się rozgrzebie i zostawi i okupuje się spokój sumienia, że jakże: są inicjatywy, pomysły, akcje i... nic z tego nie wychodzi. Za symbol niemocy uznali malkontenci wieżę ciśnień górującą nad miastem. Jakaż bezradność kazała rajcom miejskim wystawić wieżę na sprzedaż, o czym można się przekonać z anonsów w stołecznej prasie. Temu, kto odważy się kupić wieżę i w dodatku zrobić z niej sensowny użytek, winno się ofiarować „Złotą Wieżę Trybunalską". Za odwagę i poczucie humoru.

Okres intensywnej industrializacji przyniósł miastu napływ ludzi do przemysłu. Ludzi, przeważnie wywodzących się ze wsi, którzy już na progu miejskiego życia zostawiali za plecami swój rodowód. Skwapliwie przejmowali styl gubernialny, z całym dobrodziejstwem inwentarza wchłaniali klimat nie wnosząc świeżego wiatru. Dlatego właśnie wszelkie pomysły rozruszania mieszczańskiej martwoty rozmywają się w bierności odbiorców. Kultura istnieje w życiu zbiorowym o tyle tylko, o ile ma odbiorców. Może sobie istnieć środowisko twórców, działaczy i kogo tam jeszcze, lecz jeśli nie wesprą ich wysiłków zwykli ludzie z fabryk, będzie to tylko bezsilne miotanie się w próżni. Póki co jest więc na pociechę Krzywda — piotrkowska Wall Street, gdzie można, nawet należy się pokazać, gdzie nieważne, co potrafisz, ważne ktoś zacz. Nawet nekrologi muszą mieć detaliczne wyszczególnienie stanu posiadania (niedawno grzebano jakiegoś... byłego właściciela ziemskiego... Plotka głosi, że owa włość ziemska to była działka przepita przez dziadka-hulakę).

Wszystkie te śmiesznostki są na pewno ważną przeszkodą dla tych, którym marzy się wielkie dzieło wychowywania społeczeństwa. No i co z tego? Za jednym zamachem można co najwyżej wyrwać ząb. Nawyki obcowania z kulturą, potrzebę piękna i aktywności kształtuje się powoli i z oporami. I tak dobrze, że istnieje zaczyn, że jest zalążek mogący, przy starannej pielęgnacji, owocować. W końcu, na rozsądnych świat stoi, ale „wariatami idzie do przodu".

DO ŚRODKA CZY NA ZEWNĄTRZ?

Ranga wojewódzka zobowiązuje... zależy tylko do czego. Jednym śnią się wielkie działania rozsławiające imię Piotrkowa w kraju, innym marzy się praca organiczna na własnym podwórku, w myśl zasady — niech tam gdzie indziej stawiają Manhattan, a my tu swoje wiemy i robimy.

Oba spojrzenia mają swoje ciemne strony. W pierwszym wypadku przynosi to poronione pomysły, wykosztowujące kiesę wojewódzką, nie dające, poza chwilowym, żadnego długotrwałego pożytku. Tak było ze stadionem dożynkowym, ożywającym tylko przy okazji wielkich circenses. Swoją drogą, czyż nie jest to właśnie dylemat — chleba czy igrzysk? Chleba — załatwienia ciężkiego problemu mieszkaniowego, poprawienia warunków życia codziennego dla mieszkańców czy też bombiastych imprez, dających błogie poczucie wielkości kilku ważnym osobom.

Daje znać o sobie spór kompetencyjny między miastem a województwem. O ważność, o pierwszeństwo projektów, o to wreszcie, czy szarpać się na opinię u „centrali", że — proszę, widać nas, czy może raczej skupić się na budowaniu zwartego regionu, samorządnego i samodzielnego w myśleniu. Do środka czy na zewnątrz? To, wbrew pozorom, nie jest wybór między otwartością a zasklepianiem się. Można być otwartym na kontakty z krajem, z całym nawet światem, przy zachowaniu własnego, niepowtarzalnego oblicza, a przede wszystkim z mocną świadomością własnej wartości.

TORT

Historię ma Piotrków bogatą. Jak w torcie nakładają się kolejne warstwy, tak tu świetność miesza się z szarą monotonią. O znakomitych dziejach wiedzą wszyscy. Był Trybunał Królewski i walne zjazdy szlachty i duchowieństwa. Rosły piękne kościoły i puchły kiesy mieszczan. Potem była szarzyzna pod zaborem, aż wreszcie, z woli cara, Piotrków stał się siedzibą guberni w Priwislanskim Kraju. Znowu tłuścieli mieszkańcy, a miastu przybyło wystawnych budowli. W ludowej ojczyźnie przyszło pogodzić się z miejscem „w Polsce powiatowej". Wreszcie nadszedł wielki dzień. Piotrków został wyznaczony siedzibą województwa i centrum regionu. Jak wszędzie, w nowych województwach, tak i tu powiało wielkimi ambicjami. Piotrków i tak znalazł się w grupie tych uprzywilejowanych miast, w których splendor ów nie spadł jak grom z jasnego nieba na nie przygotowany grunt. Przeciwnie, grunt był, tradycje wielkiej administracji były, było też naturalne ciążenie regionu ku piotrkowskiemu ośrodkowi. Ale właśnie wtedy ujawniły się wszystkie dobre i złe strony starej tradycji. Okresy świetności przydawały miastu znaczenia w kraju, a mieszkańców utwierdzały w dumie. Czasy, gdy stawał się Piotrków zapomnianą prowincją, przynosiły narastającą klaustrofobię. Objawiało się to z jednej strony poczuciem niższości, zazdrości wobec ważniejszych ośrodków, chęci doścignięcia ich. Z drugiej — kotłowała się urażona ambicja ludzi świadomych swej historii, którzy musieli cierpieć wyrastający im pod bokiem nuworyszowski i wrzaskliwy kolos Łodzi. Jest w modzie być w opozycji do tzw. centrali, wzgardliwie drwić z nowojorskich zapędów Łodzi czy Warszawy. Klaustrofobia musi znaleźć ujście. Powstał więc cudaczny przekładaniec — głęboko skrywane poczucie niedopieszczenia, solidnie obudowane murem patriotyzmu lokalnego... Albośmy to jacy tacy...

PARVA CZY CRACOVIA?

Zyskał sobie Piotrków zasłużoną opinię Parva Cracovia dla swej urody i ważności w historii.

Próba ogarnięcia problemu pt. „Piotrków Trybunalski" nasuwa nieodparte wrażenie, że jest to miotanie się między dwiema skrajnościami. Między dumą, że... Cracovia, a kacem, że.. parva. Tymczasem prawda, jak to ona, leży w środku. Ani nierozsądne ambicje dogonienia wielkich centrów, ani klaustrofobia małomiasteczkowa. Zagadnienie jest zresztą znacznie szersze, nie dotyczy tylko Piotrkowa, lecz wszystkich — tej wielkości — centrów regionalnych. Wydaje się, iż najbardziej celowym, dającym najszersze możliwości, byłby model federacji regionów. Z punktu widzenia władz centralnych, tych gospodarczych i tych politycznych, łatwiej, wygodniej jest zarządzać możliwie zunifikowanymi jednostkami administracyjnymi. Toteż, jak na razie, przeważa kierunek z góry na dół. Z góry płyną zalecenia i preferowany model „centralny" rozumowania. Z dołu — mniej lub bardziej śmiałe próby dostosowania odgórnego modelu dla potrzeb i specyfiki regionu. Gdzieś w połowie zderzają się koncepcja centralna z lokalną, takie są też i skutki, półowiczne i niedokończone. Po co? Czyż nie lepiej byłoby odwrócić myślenie — od regionów do skali ogólnokrajowej. Nie administracyjne jednostki zarządzane zza biurka w Warszawie, lecz samorodne centra skupiające wokół siebie naturalne regiony. To nieprawda, że kraj jest prowincją tuż za rogatkami stolicy, jest dokładnie na odwrót. Regiony są glebą i pożywką, na której może wyrastać globalna koncepcja polityczna i ekonomiczna. Trzeba więc dać pożyć średnim centrom najbliższym specyfice i klimatowi swego otoczenia. Jasne jest, że pewne mechanizmy ogólne będą, bo muszą działać, ale akcent na własne możliwości, własne myślenie daje gwarancję, że teoria będzie się twardo trzymać życia. Z dalekiej, stołecznej perspektywy, los średniego miasta wydaje się być nieważny w odniesieniu do generalnych problemów. Dla ludzi tu żyjących jest to wieczny problem wieży kościoła, którą — i owszem — widać z daleka, ale też dowołać się trudno. Może być więc życie w stosunkowo niedużym mieście wojewódzkim krzywdą czy szansą?

Może trzeba poczekać, dać się wymutować lokalizmowi z globalizmem i niech taki Piotrków pokaże, co potrafi.

Niech znajdzie swoją drogę między parvą a Cracovią.

■

Lekarz i społecznik

Na zdjęciu: dr Stefan Chmiel, prezes Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli.

Dr med. STEFAN CHMIEL jest znanym i cenionym społecznikiem i działaczem kultury. Przez dwie kadencje był radnym WRN w Łodzi. Jest autorem prac naukowych m. in. „Opieka zdrowotna w Zduńskiej Woli od końca XVIII wieku do 1945 roku". Jego artykuł o rozwoju lecznictwa w woj. sieradzkim zamieszczony został w monografii „Szkice z dziejów Sieradzkiego" (PWN Łódź, 1977). Od powstania Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli jest jego prezesem, wykazując się na tym stanowisku inicjatywami, które w życiu kulturalnym miasta mają ważne znaczenie. Dał się poznać jako aktywny uczestnik Sejmików Towarzystw Regionalnych woj. sieradzkiego, przyczyniający się do integracji miast i gmin regionu.

— *Czy działalność społeczna pomaga panu w pracy lekarskiej?*

— Społecznik to duże słowo. Miałbym sporo zastrzeżeń do przyjęcia takiego zaszczytnego określenia. Wielu bowiem ludzi nazywa się działaczami społecznymi, wielu jest nawet z tego powodu odznaczanych, mimo że niewiele mają wspólnego ze społecznym działaniem. Sądzę, że określeniem społecznikostwo winno się oznaczać działanie społeczne wynikające z pobudek wewnętrznych, dokonywane poza czasem pracy opłacanej przez instytucję. Działalność społeczna w godzinach pracy może być uznawana jedynie warunkowo, o ile stanowi dodatkowe obciążenie — psychiczne bądź fizyczne. Wówczas część splendoru winna być przyznawana współpracownikom takiego działacza społecznego, którzy za niego wykonują obowiązki w zakładzie pracy. Za lekarza przyjmują pacjentów inni lekarze, za nauczycieli podejmują lekcje inni nauczyciele, a za tkacza — pracę muszą wykonać inni tkacze.

Jak pan wie, spotkania naszego Towarzystwa odbywają się zawsze od lat poza godzinami pracy zawodowej. Jeżeli to weźmiemy pod uwagę, to w tej części mogę się za społecznika uznać.

Odnośnie kwestii, czy działalność społeczna przeszkadza mi w pracy lekarskiej, odpowiem, że mi wręcz pomaga. Pracując przez wiele lat zawodowo w Zduńskiej Woli, w tym także — zgodźmy się na to — społecznie, miałem możność poznać to miasto, środowisko, ludzi. Takie poznanie wzbogaca argumentację w dyskusjach. A z moimi pacjentami przedyskutowałem nieraz przeszłość, teraźniejszość i przyszłość miasta.

— *Pańska praca doktorska dotyczyła dziejów opieki zdrowotnej w Zduńskiej Woli od XVIII wieku do 1945 r. Proszę o przypomnienie w kilku zdaniach dziejów tej opieki.*

— Trudno będzie streścić w kilku zdaniach to, co mnie kosztowało pięć lat upartej pracy. Ale spróbuję. Do końca XVIII wieku wśród ludności Zduńskiej Woli dominowała medycyna ludowa, a opiekę leczniczą spełniali niewykwalifikowani cyrulicy i felczerzy. Pierwszy w pełni wykształcony lekarz osiadł tu w 1882 r., a w rok później powstała pierwsza apteka. Lecznictwo opierało się przez wiele lat na tzw. lekarzu miejskim i nielicznych lekarzach prywatnych. Istotny rozwój lecznictwa w Zduńskiej Woli notuje się od 1923 roku, kiedy to pojawił się sektor samorządowy — pracownicy — Kasa Chorych, później zaś — Ubezpieczalnia Społeczna. Wiele z doświadczeń tej organizacji można byłoby przenieść do niezbyt idealnego modelu dzisiejszej służby zdrowia.

Budowa własnego szpitala — mimo licznych inicjatyw mieszkańców — była hamowana przez gubernatora kaliskiego oraz inne ośrodki pobliskiej władzy administracyjnej. Powstał on dopiero w 1915 r. początkowo jako szpital zakaźny.

— *Co sądzi pan, jako zasłużony działacz kultury, o ruchu regionalnym w naszym województwie?*

— Region sieradzki, stanowiący część Wielkopolski, to piękny i bogaty w tradycję kultury ludowej fragment kraju. Ludzie zatrudnieni w kulturze, a także działacze społeczni, robią wiele, aby utrwalać twórczość ludową. Dużym przeżyciem było dla mnie spotkanie we wsi Męka z kobietą tworzącą pająki ze słomy i papieru. A wydawało mi się, że spotykana dość powszechnie twórczość ludowa w latach mojego dzieciństwa w Opoczyńskiem, może być dziś dostępna jedynie w muzeum.

Potrzeba chwili jest zabezpieczenie przed ostateczną dewastacją dworków, parków przydworskich, niszczejących młynów wodnych, (ostatnio rozbiera się taki młyn w Rembieszowie), starodrzewów oraz dzikiej zwierzyny. Nadzwyczaj rzadko zdarzają się koła myśliwskie o dostatecznej etyce — a może ich w ogóle nie ma? Jeśli nie będzie już za późno, następną społeczną akcją — po załatwieniu NFOZ — powinna być akcja ratowania ginącej kultury materialnej, niekłamanego świadka przeszłości.

Cieszyć może nas działalność Klubu Pracy Twórczej przy WDK w Sieradzu, niektórych towarzystw przyjaciół miast — Wielunia, Złoczewa, Łasku, Sieradza, Warty, Zduńskiej Woli. Nie sposób wymienić liczne kluby działające dla kultury w gminach, zakładach pracy, szkołach. Przykładem niech będzie Zespół Pieśni i Tańca „Dobroń", którego występy dla wrażliwych na ten rodzaj twórczości ludowej stanowią prawdziwą ucztę.

— *Od połowy maja 1975 r. czyli od założenia Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli jest pan jego prezesem. Jaki jest wkład tego stowarzyszenia w rozwój miasta?*

— W statucie postanowiliśmy, że działalność naszego towarzystwa ma wzbogacać kulturę miasta, eksponować twórców z nim związanych, inspirować badania naukowe dotyczące jego tradycji i współczesności. Udało nam się zorganizować „Dni Zduńskiej Woli", zaczątek muzeum, wydać nieco druków okolicznościowych. Oczywiście rezygnuję z wyliczania statystycznego naszych dokonań. Poza tym nie wyolbrzymiałbym roli podobnych towarzystw jako czynnika miastotwórczego. Wiadomo, że decydującym czynnikiem w tym względzie jest przemysł i jego ludzie.

Jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli popieram każdy odruch mieszkańców upominających się o poprawę warunków życia w mieście. Ale wydaje mi się, że decydenci, którzy rozstrzygają o rozwoju miasta, rezydują gdzie indziej, w każdym bądź razie obecnie nie w Zduńskiej Woli.

Uważam jednocześnie, że jeśli ktoś rzeczywiście chce dobra miasta, winien własne władze wspierać, a nie rozbijać. Władza musi mieć poczucie, że mieszkańcy stoją zdecydowanie za nią. Inaczej miasto straci swoją pozycję, tak jak traciło już nieraz w przeszłości.

W dziejach Zduńskiej Woli rzadkie były okresy sytości. Tu stale brakowało pracy i chleba. Na dodatek miasto zawsze miało nieszczęście posiadać jakiegoś „protektora" hamującego jego rozwojowe ambicje. Z moich badań wcześniejszych i ostatnich obserwacji wynika, że w jego historii istniały dwa okresy pośpiesznego, zgodnego z charakterem miasta — rozwoju. W latach 1890—1910, kiedy to napływający kapitał poszukiwał pośpiesznie taniej siły roboczej i znalazł ją w Zduńskiej Woli. Miasto liczyło wówczas blisko 30.000 mieszkańców.

Następny skok rozwojowy to lata 1956—1975, a więc lata samodzielnej gospodarki miejskiej — *Zduńska Wola była miastem wydzielonym w woj. łódzkim.* Od tego okresu miasto jakby zostało zatrzymane w rozbiegu.

Ludzie odpowiedzialni za ekonomikę naszego województwa stali na stanowisku, że priorytet inwestycyjny, budownictwo mieszkaniowe, zaopatrzenie ma dotyczyć przede wszystkim centrum administracyjnego województwa. A reszta na później. Ta reszta ma poczucie krzywdy. Zjawiają się więc ostatnio tendencje odśrodkowe, mogące zaważyć na przyszłości województwa.

— *Czego oczekuje pan jako lekarz i społecznik w najbliższych miesiącach tego roku?*

— Niezależnie od zawodów i społecznych zainteresowań wszyscy w Polsce mamy podobne oczekiwania. Chodzi nam o wzajemne zrozumienie i spokojną pracę, która jedynie może nas wyprowadzić z dna ekonomicznego. Jeżeli zostanie to podparte mądrością, której przecież w naszym narodzie nie brakuje, nasze oczekiwania się spełnią.

Chciałbym w tym miejscu określić, jak rozumiem rolę działacza kultury w obecnych realiach. Sądzę, że rola tego działacza winna wzrastać. Prawda, że dziś w naszym życiu dominują problemy ekonomiczne i inaczej być nie może. Ale działacz kultury nie może zgubić z pola widzenia takich spraw jak kształtowanie postaw i przemian w świadomości obywateli. Przez kształtowanie postaw rozumiem określenie swojego stosunku do spraw najważniejszych jak: byt, racja stanu, patriotyzm, stosunek do pracy, poczucie obowiązkowości itp.

W dzisiejszej rzeczywistości jesteśmy świadkami często ostrych podziałów, przeważnie o zabarwieniu emocjonalnym, bez poważniejszych podstaw politycznych. Dotyczą one tak pokoju lekarskiego jak nauczycielskiego, grona przyjaciół spotykającego się od wielu lat, a nierzadko rodzin. Zjawia się niezdrowa atmosfera agresji i jątrzenia z jednej, a pesymizmu i depresji z drugiej strony. Działacz kultury winien w te zjawiska skutecznie ingerować. Wreszcie, uogólniając rolę działacza kultury, marzę, by poczuł się on współodpowiedzialny za to, aby racjonalne myślenie stało się naszą właściwością.

— *I na zakończenie: jakie jest pańskie hobby?*

— Lubię książki, szczególnie historyczne, a spośród nich — o starożytnym Egipcie. Okazuje się, że pierwszy zanotowany strajk robotników miał miejsce właśnie w Egipcie prawie 1200 lat p.n.e. jako protest przeciwko korupcji i braku odpowiedzialności urzędników faraona Ramzesa III. Jako miłośnik nauki o przeszłości uważam, że w naszym kraju, przez który przetaczały się wojny i agresje ze wszystkich możliwych stron świata, kultywowanie historii narodowej jest jednym z czynników pozwalających zachować tożsamość.

Inne hobby — to znaczki pocztowe, przy których odpoczywam, oraz nalewki, przy których z kolei nieraz muszę sporo się napracować. Ale to ostatnie hobby chyba już niedługo się skończy ze względów zasadniczych.

Rozmawiał: F. R.

Dokończenie ze strony 1

ciągu dwóch miesięcy można wyprodukować dwukrotnie więcej mięsa drobiowego niż wieprzowiny przez pół roku. Zaprzecza temu w sposób okrężny Ewa Fiala na łamach „Trybuny Ludu", twierdząc, iż przy zaostrzeniu reżimów technologicznych, zastosowaniu optymalnych parametrów reprodukcji i produkcji oraz eliminując najsłabszych producentów można, przy braku 100 tys. ton paszy, wyprodukować tyle samo jaj i kurcząt, co mając tę ilość paszy. Wychodzi na to, że hodowcy żądają za dużo paszy, są rozrzutni, a jeśli nawet przy nadwyżkach wyhodują kurczęta, to sprzedadzą na wolnym rynku.

Gdyby nawet żądali za dużo paszy, to przecież tych kurczaków i jaj sami nie zjedzą, więc nic nie zginie, nic się nie zmarnuje. Większe straty powstają wówczas, gdy producent -optymista doprowadził do wylęgów i musi teraz gazować terlały budowlane i nadal buduje, z nadzieją, że zmieni się na lepsze, trzeba bowiem spłacić kredyty, a pieniądze można zyskać tylko z hodowli. Stoją również fermy PGR, RSP i SKR, które mają być samodzielne, samorządne i samofinasujące się.

I teraz niektórzy śmieją się, że krytykowałem kiedyś fakty wieloletniej, niedołężnej budowy pegeerowskiej fermy na 20 tys. niosek w Rszewie (a to brak mocy przerobowych, a to fetorek dla lepszych gości, co mieli tam domki), pustej fermy kurzej RSP we Wróblewie czy sławetnych kurników w woj. piotrkowskim, z blachy aluminiowej (japońska licencja), gdzie kury mogły siedzieć tylko latem, bo zimą co zjadły, to szło na ogrzanie kurnika, a przyrostu żadnego. I co, mówią dziś zgryźliwi, kurniki stały i będą stać! Pewnie, tyle że w skali kraju są tu zamrożone miliardy, które nie dają żywności.

Paradoks polega na tym, że winy nie ponoszą ani producenci drobiu, ani Rząd, ani „Solidarność", ani Związek Hodowców Drobiu. Nie można mi. Cieszy fakt, że ludzie zaczynają kupować pisklęta, natomiast budzi wątpliwości to, czym je będą żywić. Biorąc pod uwagę ceny wolnorynkowe zboża, chleb znowu stał się najtańszą paszą. Nie jest zbrodnią karmić odpadkami chleba pieć kurek. Ale pisklęta chleba nie mogą jeść...

Nie ulega wątpliwości, że część drobiarzy najbardziej nieporadnych i najbardziej zadłużonych nie wytrzyma trudności i skapituluje. Ale najsilniejsi wytrwają i przeczekają, choćby nawet mieli zmienić profil produkcji. I to już się dzieje. W pustych kurnikach pojawiają się świnie lub bukaty. Na to jednak mogą sobie pozwolić ci, co posiadają odpowiedni areał ziemi. Inni przerzucają się na pieczarki, a jeszcze inni zdejmują eternit, szklą dachy lub zakrywają folią i prowadzą uprawę warzyw i kwiatów. Stosunkowo tania i opłacalna staje się w kurnikach hodowla królików. Niektórzy zabierają się do hodowli cennych zwierząt futerkowych. A króliki, norki i nutrie to produkcja eksportowa, dewizowa.

Smutek dla kogutów

pisklęta z przeznaczeniem na karmę dla lisów i norek. Nie wystarczy zlikwidować słabszych producentów i oprzeć się na drobnotowarowej gospodarce chłopskiej, gdyż w 1970 roku fermy dały 70 mln jaj, zaś gospodarka chłopska aż 238 mln, ale w 1981 roku wieś dostarczyła 830 mln jaj, natomiast duże fermy 2.628 mln. A w ostatnim kwartale 1981 r. wieś dała tylko 12 mln jaj i niebawem pewnie zatrzyma wszystkie. To samo dotyczy drobiu. Przyczyna jest prosta. Chłopi nie mają kartek, ceny na wolnym rynku i w sklepach są już zbieżne, wysokie, toteż rodzina chłopska zje każdego koguta i każde jajko, jakie uzyska w zagrodzie.

Za produkcją jaj i brojlerów w fermach przemawiają dwa argumenty: brojler rośnie bardzo szybko, a hodowlana nioska daje dwa razy więcej jajek niż chłopska kura, dokarmiana drogim zbożem. Faktem jest, iż chłopi patrzyli z podejrzliwością i zawiścią na drobiarzy, zwanych pogardliwie kurzelakami, gdyż ci od początku lat siedemdziesiątych cieszyli się znacznym poparciem państwa. Prywatni hodowcy zajmowali się produkcją jaj, a państwowi hodowlą brojlerów. Prywatni otrzymywali kredyty na 10 lat, które po kilku zaledwie latach umarzano, gdy drobiarz wywiązywał się z umów kontraktacyjnych. Nie musiał uprawiać ziemi. „Poldrob" zabierał jaja, a przywoził na fermę pisklęta i pasze. Wielu się dorobiło, ale wielu dopiero niedawno zaczęło rozkręcać interes. Byli wśród nich nawet ludzie z wyższym wykształceniem, z zawodów pozarolniczych. I naraz wszystko się zawaliło. Nie z winy producentów. Państwo nie dostarcza pasz, więc państwo musi umorzyć kredyty. Chłopi twierdzą, że zapłaci państwo czyli my wszyscy, a w zamian nie dostaniemy ani kurczaków, ani jajek.

Okazuje się, że sprawa nie wygląda tak prosto, jakby się wydawało. Setki wybudowanych za ciężkie miliony kurników stoją puste. Setki potencjalnych hodowców zaciągnęło kredyty, zgromadziło ma- też winić „Poldrobu", jako przetwórcy oraz dostawcy pasz i piskląt, gdyż ten również znalazł się w trudnej sytuacji. „Poldrob" miał kiedyś zgrzyty z hodowcami, teraz idą ręka w rękę, bo „Poldrob" stał się przedsiębiorstwem samofinansującym, a tu nie ma roboty, rzeźnie stają i nie wiadomo, co zrobić z setkami pracowników. Jedyny mankament w pośrednictwie „Poldrobu" polega na tym, że droga jajka od producenta do sklepu przedłuża się ponad dwa tygodnie. Jajka są nieświeże, leżą w chłodniach, czasem w zbyt niskich temperaturach i nie nadają się do spożycia.

Winni są ci, co wymyślili złe parametry i sposoby produkcji, co kazali tworzyć olbrzymie fermy brojlerów bez zaplecza paszowego oraz wielkie fabryki jaj. Od drobniejszych producentów także nie wymagano uprawy ziemi i produkcji pasz, bo te kupowało się beztrosko za dolary. Jedliśmy jajka i kurczaki z rożna za dolary, narosło tyle długów, że teraz nie można kupić nawet minimalnych ilości kukurydzy.

Ewa Fiała pisze w „TL" o rozrzutności hodowców drobiu: marntrawstwo tkwi zupełnie w czym innym. Przywożoną statkami kukurydzę i wszystkie komponenty rozwozi się po kraju do wytwórni pasz „Bacutilu". Tam się to miesza i znowu wozi po całym kraju. Przy licznych załadunkach, rozładunkach i długim transporcie traci się nawet do 20 proc. pasz, a więc na 100 ton paszy prawie 20 ton idzie na rozkurz... A jakie są koszty transportu! Ale to nie wszystko. „Bacutil" jest państwem w państwie i rządzi się własnymi prawami. Nie zawiera umów z „Poldrobem", dostarcza pasze jakie chce, ile chce i kiedy chce, toteż kury często głodują albo zdychają. Co trochę zmienia się recepturę, ilość i jakość składników, kury nie wytrzymują takich eksperymentów, ale na alarm bije się dopiero wtedy, gdy padnie kilkaset sztuk drobiu. Traci producent, traci społeczeństwo.

Co nas czeka w tej sytuacji? Ano, musimy ratować się sa-

Dobrze to, czy źle? Byłoby źle, gdyby drobiarze przyzwyczaili się do nowej produkcji i nie chcieli później wrócić do drobiu. Ale myślę, że oni przetrwają najtrudniejszy okres i wrócą, wystarczy tylko dokonać readaptacji kurników.

Ani załamywanie rąk, ani szukanie bez przerwy błędów w przeszłości, ani straszenie apokalipsą nic nam nie da. Sankcje gospodarcze nie będą wieczne. Ale kiedy się skończą, nie będziemy jeszcze bogatsi i musimy myśleć o samowystarczalności. Trzeba zacząć od kukurydzy, która jest tańsza od zboża, bo daje o wiele większe plony. Można było wziąć się za to dziesięć lat temu, ale wtedy wierzono w dobrobyt na kredyt. Dziś naukowcy powinni już pracować nad odmianą kukurydzy, która zniesie wiosenne chłody, zdąży dojrzeć na ziarno i da odpowiednio wysokie plony. Wydaje mi się, że z komponentów trzeba kupować na pewno soję. Ale mączkę rybną i pozostałe składniki chemiczne możemy mieć własne. Komponenty białkowe można z powodzeniem uzupełniać odpadami serowarskimi mlekopanem, serwatką, która wciąż się jeszcze marnuje, lub maślanką. Jeżeli hodowca drobiu przestanie być wygodny, jeśli zacznie uprawiać nieużytki, siać zboża, kukurydzę, zielonki, inne gatunki pasz i będzie mógł kupić pewne komponenty, to może być samowystarczalny. Ale musi mieć w pobliżu mieszalnię pasz. Dlatego też mieszalnie powinny znajdować się częściowo w rękach „Poldrobu", a resztą mogą się zająć gminne spółdzielnie, związki hodowców drobiu oraz sami hodowcy, jeśli tylko mają po temu warunki.

Przez pewien czas drobiarze będą walczyć o byt, klienci nie będą mieć pod dostatkiem kurczaków i jajek, ale jeśli zostaną spełnione warunki, o jakich wspomniałem wyżej, jest szansa zmiany na lepsze. Trzeba zacisnąć pasa i wziąć się do roboty.

RYSZARD BINKOWSKI

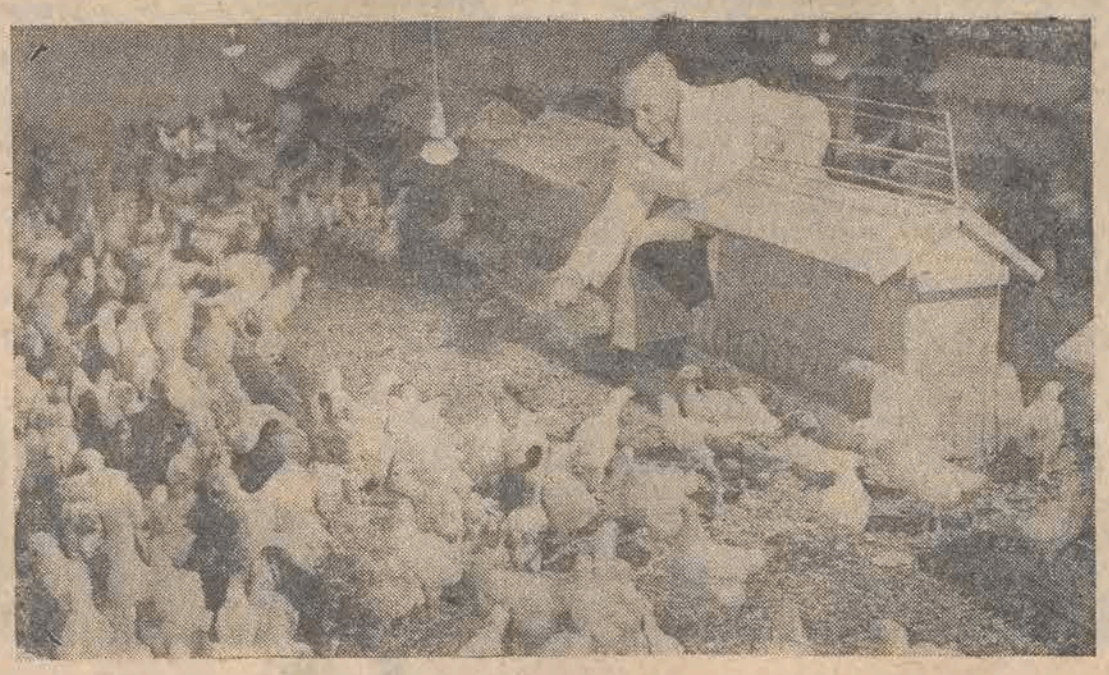

Ucieczki do nikąd

JERZY KWIECIŃSKI

Wśród wielu niedomówień, które dochowały się do naszego czasu co najmniej od nastania Polski Ludowej, jedno zwłaszcza teraz wymagałoby wyraźnego dopowiedzenia. Jest to sprawa, która bierze swój początek od Wielkiej Emigracji, uformowanej, jak wiadomo, po klęsce powstania listopadowego.

Była owa emigracja dla narodu żyjącego pod trzema zaborami wysokim autorytetem polityczno-moralnym, głosem narodowego sumienia, ważną, choć nie jedyną, inspiracją niepodległościowej myśli. To, jak się zdaje — bezsporna prawda. Ale — dla jak szerokich kręgów społecznych i do kiedy? Słowem, jak długo ze strony tych, którzy nie zamierzali lub nie mieli możności emigrować, czyli ze strony ogromnej większości narodu, trwała aprobata dla samego faktu przebywania na emigracji, a zwłaszcza dla emigracyjnej działalności politycznej, jako dla czynnika decydującego o przyszłości narodu? Do kiedy stanowiła ona u Polaków nad Wisłą i Wartą postawę dominującą, a status emigranta wydawał się opinii krajowej czymś godniejszym podziwu i zazdrości niż codzienne bytowanie i powszednie prace tu na miejscu (jeżeli taki pogląd kiedykolwiek przeważał?).

Z dostępnych laikowi popularnych opracowań historycznych, przedstawiających dzieje narodu pod zaborami, jak i z utworów literackich naszych najwybitniejszych pisarzy, cieszących się największą poczytnością i najwyższym uznaniem, można sobie przecież odtworzyć stan umysłów społeczeństwa i jego poglądy — a przynajmniej jednostek światłych i warstw oświeconych — na zakres i hierarchię najgłówniejszych powinności obywatelskich i patriotycznych. Wiarygodnym źródłem dla poznania tej problematyki jest więc twórczość Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej, Marii Konopnickiej, współczesne (nie zaś historyczne) powieści i nowele Henryka Sienkiewicza, szereg utworów Stefana Żeromskiego i tylu, tylu innych twórców o różnych poglądach politycznych i filozoficznych aż po... „Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej, które powstały już wprawdzie w Polsce niepodległej, ale ich akcja kończy się na wybuchu pierwszej wojny światowej, a w pierwszych partiach dzieła współczesna jest „Lalce". I nie ma tu nic do rzeczy tj. do prawdziwości obrazu życia polskiego i dla charakterystyki postaw społeczeństwa, że większa część naszej wielkiej literatury powstawała pod zaborami, i to po klęsce powstania styczniowego.

Jest znamienne, że niemal wszyscy „pozytywni" bohaterowie powieści, będący wyrazicielami poglądów naszych pisarzy (poglądów wypowiadanych przez nich także publicystycznie) za swoją podstawową powinność obywatelską, dobrze służącą narodowi, uważają przede wszystkim udział w społeczno-gospodarczym i oświatowo-kulturalnym życiu „kraju", rozumiejąc przez to określenie ogół ziem historycznie, a przede wszystkim, etnicznie polskich, bez względu na ich stopień autonomii w obrębie obcej państwowości. Również pojęcie „ojczyzny", choć bardziej odświętne i ponadczasowe, a także hasło „pomyślności ojczyzny" odnosi się w swoim konkretnym, aktualnym znaczeniu do polskiej ziemi, na której żyją Polacy.

To co z literatury, a także z filmowej i telewizyjnej adaptacji niektórych dzieł jest szeroko znane, warte jest tu jednak przypomnienia, że mianowicie na obywatelskie i zarazem patriotyczne powinności składało się przede wszystkim — najdosłowniejsze trwanie na ziemi przodków i obrona pozycji polskości, zagrożonej pod względem gospodarczym, kulturalnym i niekiedy — po prostu — narodowym, rozwijanie rodzimej (nie zawsze „czysto" polskiej, lecz przede wszystkim „krajowej") przedsiębiorczości we wszystkich dziedzinach ulepszanie gospodarki rolnej, rozwój rzemiosła, przemysłu i handlu, rozbudowa szkół i szpitali, zakładanie towarzystw oświatowych, kulturalno-artystycznych, sportowych, pogłębianie różnych form polskiego życia religijnego. A była to działalność o zasięgu coraz powszechniejszym, ogarniająca coraz szersze klasy i warstwy społeczne — na miarę możliwości, bądź dyktowanych przez zaborcze władze, bądź u zaborców wyjednywanych.

I nie oznaczało to, rzecz jasna, wyrzeczenia się myśli o niepodległości, która pozostawała celem nadrzędnym, niejako „strategicznym" lecz było wyrazem patriotycznej troski o to, by nierozważnymi czynami, nie rokującymi szans powodzenia, nie narazić na szwank umacnianych stopiowo i uparcie pozycji polskości. Zrozumiałe też, że były wtedy jak i zawsze bywają jednostki i grupy, którym dobro ogółu przesłaniały osobiste, małostkowe interesy...

Przyjmując tę „poprawkę", sięgnijmy do pierwszych lat po utracie niepodległego bytu, znanych raczej z przekazów historycznych niż literackich i uprzytomnijmy sobie, że jedni z pierwszych, dawni żołnierze napoleońscy zgłosili akces w Królestwie Polskim (pozostającym pod berłem cara) do różnego rodzaju legalnych prac i działań publicznych. Weźmy pod uwagę, że nawet znana z działalności sejmowej „opozycja kaliska" braci Niemojowskich, oceniając realistycznie możliwości patriotycznego działania, ograniczała się głównie do walki o respektowanie przez władcę gwarancji dla „monarchii konstytucyjnej" w Królestwie, w przeświadczeniu, że w ten sposób jak najlepiej przysługują się „krajowi". Podobnie też, jako działalność, umacniającą rozwój Królestwa traktowali, z aprobatą znacznej części społeczeństwa — tak kontrowersyjny Drucki-Lubecki, Staszic i inni. A książę Adam Czartoryski i jego działalność jako ministra spraw zagranicznych cara Aleksandra I; czyż można mu odmówić intencji patriotycznych? Podobnie w Wielkopolsce Chłapowski, Raczyński, Mielżyński, Cegielski, Marcinkowski. Czy tylko ci z nich oddali usługi narodowi, którzy wzięli udział w powstaniu listopadowym i walkach „Wiosny Ludów"?

Postawa służenia krajowi przez rzetelne wypełnianie obowiązków pracy zawodowej i — w miarę istniejących możliwości — uczestnictwo w życiu publicznym (nawet jeśli nie przeplatało się z konspiracyjną działalnością niepodległościową) uznane zostały za obowiązującą normę moralną i obywatelską, zwłaszcza w okresie znanym nam z literatury najwybitniejszych pisarzy. Co godne odnotowania, zarówno warszawski kupiec Stanisław Wokulski, jak i współczesny mu administrator majątków w Kaliskiem Bogumił Niechcic, tak przecież różni sytuacją życiową i osobowością, niechętnie i jakby z zakłopotaniem słuchają napomknień otoczenia o ich młodzieńczym udziale w powstaniu styczniowym. Czyżby się odżegnywali od myśli o niepodległości Polski? W każdym razie Marii Dąbrowskiej nie mógł już krępować (tak jak Prusa) wzgląd na cenzurę. To raczej chęć pokazania prawdy o procesach zachodzących w ówczesnej polskiej świadomości i o kryteriach stosowanych wówczas w ocenie patriotycznej „użyteczności" ludzi skłoniła pisarzy do eksponowania cech i postaw nakierowanych na codzienną służbę narodowi przez pracę, o co w żadnych warunkach politycznych nie jest u nas łatwo.

Na tle tych i im podobnych bohaterów powieściowych, jakże wyobcowani z życia narodu przedstawiają się nam ci wszyscy, którzy pędzą życie za granicą, zamiast oddać swoje siły i talenty rodakom, zamieszkałym na ojczystej ziemi. Podobnie ci, co mieszkając w kraju stronią od pożytecznych zajęć i spraw publicznych. Tworzą oni zresztą całą galerię postaci w naszym komediopisarstwie, nierzadko mocno zgryźliwym.

Przykłady — pozytywne i negatywne — można by mnożyć w nieskończoność, a wszystkie one ujawniają pogląd polskich autorów, podzielany przez patriotyczną i oświeconą opinię polską, że nie ma dla narodu okoliczności politycznych, które by zwalniały jednostkę od obowiązku najaktywniejszego uczestnictwa w dostępnych w danym momencie formach zbiorowego życia.

A więc chyba za mało się (czy może wcale) o tym myśli i innym nie uprzytamnia, że co najmniej od połowy ubiegłego roku emigracja, jako sposób bycia i działalności, straciła w oczach społeczeństwa polskiego swój pierwotny nimb (jeśli go miała w takim stopniu, w jakim odmalowywał to system edukacyjno-wychowawczy międzywojennego dwudziestolecia, którego duchowy spadek niemała część społeczeństwa do dziś przechowuje). Nawet szukanie przez utalentowane jednostki poza krajem możliwości „rozwinięcia skrzydeł" traktowane było z uczuciem żalu i zawodu i (nie zawsze chyba słusznie) jakby pretensji do tych, co się w świecie wybili, że ich osiągnięcia, jak choćby Marii Skłodowskiej-Curie, Conrada-Korzeniowskiego czy Ralfa Modrzejewskiego służą „obcym" a nie „swoim", żyjącym tu w Warszawie, Krakowie, Poznaniu. I sami nasi genialni naukowcy, odkrywcy, konstruktorzy, artyści, którzy zasłynęli za granicą, mniej czy bardziej skrycie ten żal podzielali.

Wyjątek w opinii stanowiła emigracja zarobkowa, owe budzące współczucie tułaczki „za chlebem", znajdujące zrozumienie jako konieczność pracy u innych, m. in. po to, żeby najbliżsi, pozostali w kraju, mieli dosłownie co włożyć do garnka i czym okryć grzbiet. Któż jednak znajdowałby aprobatę wśród ziomków, kto by emigrował tylko dla podniesienia swego „standardu życia", żeby „mieć na wszystko", innymi słowy — żeby uciec od wspólnych kłopotów i nie dzielić z ogółem narodu trudów życia?

Można by więc zapytać, na jakie tradycje historyczne, na jakiż to testament przodków, na jakie racje moralne mogą powołać się dzisiaj ci, którzy emigrują lub przyjmują postawę powstrzymywania się od powinności wobec ogółu współobywateli? Czym może usprawiedliwić swoją formalną lub faktyczną emigrację inteligent, fachowiec, twórca? Jakimi argumentami?

Czy tym, że „pod władzą zaborców" to było zupełnie coś innego i że trwanie na tej ziemi nie ma dziś sensu, bo nikt jej dziś nie zagraża"? Oczywiście, nikt rozumny nie dopatruje się takiego zagrożenia, więc tym bardziej nie rozumie przyczyn ucieczki.

Czy tym, że „lepsza nawet obca władza, niż własna, która służy innym koncepcjom ustrojowym, niż by się chciało"? W takim razie, ci co tak myślą, powinni swoją myśl do końca dopowiedzieć: „ponieważ nie taka to Polska, jakiej chcemy i niech bez naszego udziału ginie!".

Kto tak myśli, temu nie wypada stawać na baczność, gdy grają: „Jeszcze nie zginęła". Bo gra się tylko dla tych, którzy zawsze, w każdych okolicznościach gotowi są zrezygnować choćby z cząstki swoich osobistych i nieosobistych dążeń dla pojednania z innymi.

Jeśli jeszcze nie dzisiaj, to chyba z czasem będzie ich większość, dostatecznie liczna i zdecydowana. W przeciwnym razie nie miałby kto śpiewać, że „nie zginęła" i nie byłoby komu, bo i takie przypadki zna historia, nawet z epoki przednuklearnej...

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Darmozjad czyli gdzie pracuję?

Nie trzeba studiować przez dziesięć lat na filologii polskiej, by bez trudu rozszyfrować, co znaczy wyraz „darmozjad". Jego synonimów mamy w naszym języku wiele; jedne mniej, drugie bardziej pejoratywne. Przyznam się, że byłem (i jestem) nimi obdarzany nader często i przy różnych okazjach. Zresztą nie tylko ja — w wypadkach szczególnego rozgoryczenia społeczeństwa opinia darmozjadów rozciąga się niejednokrotnie na cały obszar ludzi kultury i twórców sztuki. Tych ostatnich dotyczy to zazwyczaj przede wszystkim.

Wielokrotnie, o stosunku do człowieka, o sposobie jego traktowania przez innych decyduje kwestia zatrudnienia (nie mówiąc już o gradacji zajmowanych stanowisk). Nie tak znów daleko odeszły w przeszłość czasy, gdy miarą wartości człowieka pracy była wielkość produkcji, a każdy pracujący w innym systemie stawał się automatycznie ciężarem dla narodu, choćby wytwarzał wartości artystyczne równie nieprzemijające. Na szczęście dzisiaj można mówić o większej tolerancji dla ludzi wolnego zawodu. Ale i teraz spogląda się na nich krzywo.

Pytanie o miejsce pracy jest dziś pytaniem podstawowym i zadaje się je na równi z innymi — powiedziałbym — pierwszego rzutu: nazwisko, imię, wiek, imiona rodziców, zamieszkały... ilekroć mam podać miejsce mego zatrudnienia, tylekroć znajduję się w kłopocie mierzony badawczym spojrzeniem urzędniczki. A przecież nie można tego wyjaśnić jednym słowem. Gdy przy lada której kontroli dokumentów milicjant kartkuje mój dowód szukając pieczątki świadczącej o zatrudnieniu muszę odpowiedzieć, że nigdzie nie pracuję. Wówczas on — nim opisowo całą sprawę objaśnię — patrzy na mnie podejrzliwie, choć i w jego dowodzie osobistym brak na tej samej stronie małego stempelka.

Zdarzyło mi się w styczniu bieżącego roku, kiedy to jeszcze po dwudziestej trzeciej obowiązywała godzina milicyjna, nie doczekać się na ostatni wieczorny tramwaj. Ruszyłem tedy do domu jak najkrótszą drogą, ale niestety nieubłagana dwudziesta trzecia dopadła mnie niecałe trzy przystanki od mojego bloku. Zostałem zatrzymany przez milicyjny patrol. Po nocy spędzonej w niezbyt ekskluzywnym areszcie Komendy Dzielnicowej, przyszło mi stanąć przed Kolegium do Spraw Wykroczeń. I tutaj też, nim zaczęto mówić o właściwej sprawie, musiałem parę drobiazgów wytłumaczyć.

— Miejsce pracy — zapytano.

— Jestem wolnego zawodu. Literat, członek ZAKR.

— Czego? — spytał przewodniczący składu kolegialnego. A protokolująca dodała. — Niech pan powie, jak to się pisze.

Wyjaśniłem.

— Ile obwiniony zarabia? — kolejny kłopot sprawił mi przewodniczący.

— To trudno dokładnie określić... — odpowiadam.

— Tak w przybliżeniu, przeciętnie na miesiąc. — przerywa mi jeden z ławników.

— Proszę bardzo. W ciągu ostatnich trzech miesięcy zarobiłem tysiąc osiemset złotych. — odrzekłem zgodnie z prawdą.

— To czym obwiniony się zajmuje? — szczerze zainteresował się przewodniczący składu, gdy padła ta suma.

— Jestem autorem tekstów piosenek i widowisk muzycznych.

— No tak — wtrącił się oskarżyciel, kapitan milicji — na to teraz nie ma zapotrzebowania

— Czy to znaczy, że teraz obwiniony napisze jakąś piosenkę o kolegium? — błysnęły oczy przewodniczącemu.

— Nie wiem — odparłem — to zależy w dużej mierze od oskarżyciela.

Zapłaciłem dwa tysiące złotych grzywny plus sto złotych kosztów postępowania — czyli trzysta złotych ponad mój dochód z poprzednich trzech miesięcy.. Żadnej piosenki na ten temat do tej pory nie napisałem, ale przecież nie składałem przed kolegium wiążącej obietnicy.

Wróćmy jednak do zasadniczego tematu. Przed tygodniem rozszyfrowując wymieniony tutaj skrót ZAKR nieco się zagalopowałem podając nazwę pełniejszą niż jest ona obecnie w rzeczywistości. Pomyłka wzięła się stąd, że nazwa tego stowarzyszenia twórczego przechodziła w przeszłości liczne przeobrażenia nim wreszcie uzyskała swój obecny kształt: Związek Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR. To ostatnie „R" we funkcjonującym od kilkunastu bodaj lat skrócie ma również swoje uzasadnienie. Otóż, Związek ten zrzesza osoby uprawiające twórczość o charakterze rozrywkowym, ZAKR, którego siedzibą władz jest Warszawa, zrzesza twórców w dwóch sekcjach: kompozytorskiej i literackiej Już to zderzenie muzyki ze sztuką słowa świadczy, że wśród członków Związku, a jest ich — o ile dobrze pamiętam — około pięciuset, rzadko który nie popełnił choć jednej piosenki, ba, poważna większość tym właśnie przede wszystkim się trudni.

Działalność Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR — który posiada również swoje terenowe oddziały w kilku większych miastach Polski — opiera się na pracy społecznej ogółu członków. Aby zostać członkiem stowarzyszenia, jak mówi statut ZAKR-u, trzeba być obywatelem polskim, posiadać pełnię praw obywatelskich i uprawiać profesjonalnie twórczość o charakterze rozrywkowym. A że dostać się do Związku wcale nie jest łatwo, niech potwierdza fakt, że złożone przeze mnie papiery odesłano mi z opinią negatywną nawet wtedy, gdy miałem już w swym dorobku co najmniej trzy przeboje, a pisanie tekstów stanowiło podstawę mojego utrzymania od ładnych paru lat. Zresztą i później przedłużono mi staż kandydacki (w myśl poprzednio obowiązujących przepisów pierwszy dwuletni okres przynależności miał charakter wstępny) mimo, że wyraźnie przybyło mi popularnych tytułów, zdobyłem kilka nagród na festiwalach i w ogólnopolskich konkursach na piosenkę, szereg utworów wydano mi drukiem i na płytach, jeszcze więcej nagrano.. Ale może to przypadek. Tak czy inaczej Komisja Kwalifikacyjna jako podstawowe kryterium oceny przyjmuje poziom artystyczny utworów kandydata i jego dorobek twórczy. Wyższe wykształcenie nie jest wymagane, choć chyba mile widziane. Warto wreszcie powiedzieć, że Związek Autorów i Kompozytorów ZAKR został już dość dawno wpisany do rejestru stowarzyszeń i związków pod nr 598. Ma więc te same prawa, co inne szanowane związki twórcze np. Związek Literatów Polskich, Związek Kompozytorów Polskich, Związek Artystów Sceny Polskiej, Związek Polskich Artystów Plastyków itd. Poza tym w momencie wprowadzenia w kraju stanu wojennego ZAKR również musiał zawiesić swoją działalność. Wznowił ją dopiero przed miesiącem.

Dlaczego aż tak dużo miejsca poświęciłem sprawie działalności ZAKR-u? Po pierwsze dlatego, że gdy padają skórty ZLP czy ZASP większość społeczeństwa natychmiast orientuje się, o jakie środowisko twórcze chodzi. Zaś w przypadku tego Związku ludzie są wyraźnie niedoinformowani, nie tylko jeśli chodzi o to, kogo zrzesza, ale także pod względem zakresu działania ZAKR-u. Przed paroma laty przy okazji jednej z imprez o zasięgu ogólnopolskim zorganizowano sympozjum dotyczące stanu polskiej rozrywki muzycznej, na które zaproszono dziennikarzy, krytyków muzycznych, a także kilku animatorów naszego życia estradowego. Po odczytaniu przez jednego z kolegów referatu wstępnego rozpoczęła się dyskusja. Gdy temat zszedł na jakość współczesnych polskich przebojów, zaczęto winić za to twórców piosenek, do których — — jak twierdzono — głos krytyki i tak nie dociera „Bo oni — motywował jeden z dyskutantów — idą do kasy w ZAKR, gdzie dostają wypłatę, i biorą po pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie". „Więcej, więcej" — dodał inny. Pośpieszyłem wówczas, podobnie jak i teraz, z wyjaśnieniem, że o pensji kompozytora czy autora tekstów nie ma co mówić, bo takowa przynajmniej za samą twórczość nie istnieje (pisałem o tym niedawno). Natomiast jeśli otrzymują pieniądze, to na pewno nie w kasie ZAKR-u, bo po prostu... takiej kasy nie ma. Jedyne pieniądze, jakie aktualnie wypłaca ZAKR swoim członkom, są rekompensatami skrupulatnie wyliczonymi na podstawie dochodów i popartymi pisemnym oświadczeniem każdego członka, iż nie pobiera on rekompensaty gdzie indziej. Zresztą kwoty rekompensat są — o ile mi wiadomo — zwracane Związkowi przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Blisko połowa członków ZAKR-u pobiera owe rekompensaty właśnie w Warszawie przy ul. Hipotecznej 2 (swoją drogą o pomstę do nieba woła sytuacja lokalowa Związku: siedzibą Zarządu Głównego jest niewielki pokoik na poddaszu Domu „Pod Królami", dzierżawiony od Stowarzyszenia Autorów ZAIKS). I to drugi powód, dlaczego tak dużo miejsca poświęcam ZAKR-owi w tym materiale. Poza osobami piszącymi, ale równocześnie zatrudnionymi na etatach, Związek Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR zrzesza także „wolnych strzelców", którzy pozostając członkami ZAKR-u uprawiają działalność na polu twórczości rozrywkowej niejako na własną rękę choć pod szyldem Związku. To właśnie ci z pozoru niepracujący, do których i ja się zaliczam.

Regularne opłacanie składek członkowskich jest potwierdzeniem przynależności do ZAKR-u. Tym bardziej, że Związek z tych składek utrzymać musi ośmiu pracowników biura, dla których ponoć pieniędzy na wypłaty starczy zaledwie do końca bieżącego roku. A co dalej? Trudno powiedzieć — sytuacja jest naprawdę trudna.

Trudna jest nie tylko sytuacja finansowa ZAKR-u i jego członków. Podstawowa trudność — wracam tutaj do początkowych rozważań — polega na znalezieniu nam, twórcom rozrywki, odpowiedniego miejsca w społeczeństwie. Specyfika zawodu sprawia, że w kraju, w którym przyzwyczajono się do tolerowania pisarzy, malarzy czy aktorów, ciągle uważani jesteśmy za ów „margines sztuki". A przecież zakres oddziaływania i liczba odbiorców naszych utworów są ogromne i bynajmniej nie wpędzają nas w kompleksy. Wręcz przeciwnie — skoro w okresie powszechnego kryzysu nie brak zainteresowania piosenką, a ludziom nie brak funduszy na coraz droższe przecież bilety na koncerty. Stąd też, odnoszę wrażenie, że dotychczasowy, nie pozbawiony rezerwy stosunek ludzi z zewnątrz do naszego środowiska wynika z niedostatecznej znajomości jego problemów. Nie będzie to wylewanie łez, ani rozczulanie się nad sobą, ale uważani jesteśmy za darmozjadów żerujących na społeczeństwie, gdyż wszyscy przekonani są o wyjątkowej łatwości naszej pracy i braku z naszej strony jakiejkolwiek dyscypliny wykonywania zajęć zawodowych. Reszty dokonują plotki, które usiłowałem zdementować przed dwoma tygodniami.

Rozpocząłem pisanie tego cyklu, aby czytelnikom przynajmniej częściowo wyjaśnić najistotniejsze sprawy owiane dotąd nimbem fałszywej tajemniczości, przyczyniającej się niejednokrotnie do dyskredytowania naszego rozrywkowo-kompozytorsko-autorskiego grona w powszechnej opinii. Spróbuję to — choć może nieco pogodniej — kontynuować i za tydzień.

JERZY WILMAŃSKI

Notatka o harakiri

Popełniamy harakiri przyjaciele
sztylet w trzewia woda w mózgi
ołowiana brudna czcionka
wpada w gardło

Więc krztusimy się plujemy
oczy łzawią

Popełniamy harakiri przyjaciele

Coś zrozumieć coś przemyśleć
warto było
A tu sztylet nam dziurawi pusty brzuch

Popełniamy harakiri przyjaciele
nadwiślańskie płowowłose samuraje

Nasze gejsze mają twarze pomarszczone
Nasze dłonie od oklasków opuchnięte
Żyć nam przyszło w potarganych dekoracjach
więc i umrzeć nie możemy
bardziej pięknie

marzec 1981

Trójkąt Bermudzki

Między nocą a świtem
który się zapala
jasną wyspą nad horyzontem

Między lądem a oceanem
we mgle
słyszysz uparte cykady radarów
Zielone linie biegną przez ekrany
zapala się i gaśnie sygnał SOS
Ktoś znika na zawsze
cicho i bez wieści

Czas się przesunął w czasie
czas z czasem
pomieszał zmysły szyki i marszruty

Oto Trójkąt Bermudzki
wielka niewiadoma
z której nie ma odlotu

Między słowem a czynem
Między wiarą a nadzieją
mgły sinieją wieczorem
rankiem barwią się krwawo

Powiedziano już wszystko
co było do powiedzenia

Oto Trójkąt Bermudzki
otchłań zatracenia

maj 1982

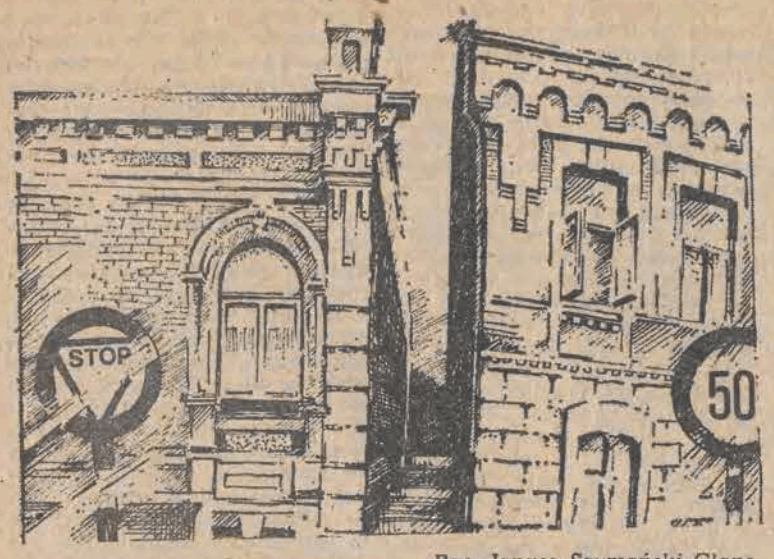

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dokąd wracać

Już nie masz dokąd wracać
— ani do ramiączek dziewczęcych staników
kołysanych dzisiaj przez wichry kosmosu
do swego onieśmielenia które dawno kiedyś
gdy czyste były
krople łez i potu
— ani do mroku domu
— ani w ciemność nocy
— ani w świt ołowiany
deszczowego dnia

Już nie masz dokąd wracać
— to najgorsza z przygód
jaka cię mogła spotkać
bo minąć nie mogła

Biegłeś jej naprzeciw
w koszuli rozpiętej
zawadiacko i młodo

Jak w zwolnionym filmie
w raptownym zbliżeniu
uderzyła cię w piersi
z głuchym chrzęstem kości

Nie masz dokąd wracać
bo tam się nie wraca
bo już przeszło-minęło
Ścieżka obok toru
podwórko przy słońce
to wszystko co było
zatrzaśnięte dzisiaj
na czterdzieści spustów
pogubionych lat

kwiecień 1982

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Ostatnie tango w Paryżu

Sprawy cyganerii artystycznej nie trafiają na karty tzw. młodej prozy nazbyt często. Co nie znaczy, że nie ma wśród nas bohemy. Wprawdzie peleryny prawie zniknęły, absynt już nie ten (nie uświadczysz go nawet na kartki), brodę nosi co drugi młodzian, a „gladiolus tavernalis" (czyli „Cafenhauspflanze") był rośliną tak długo i zaciekle tępioną, iż ostały się tylko pojedyncze egzemplarze. A przecież w dziejach naszej literatury cyganeria miewała piękne chwile. Szczególna obyczajowość cyganów wynikała nie tyle ze światopoglądu, co z przekonania o własnej odmienności czy zgoła wyższości wobec zwykłych zjadaczy chleba. Niestosowanie się do przyjętych przez większość norm obyczajowych uchodziło za święty obowiązek. Tkwiła w tym prowokacja wobec wszystkiego, co spetryfikowane, uładzone, niezmienne, realne i przyziemne. Prawdziwy cygan-artysta wiódł bujne życie na modłę Villona, albo stylizował się na „smutnego szatana", a gdy zabrakło rzeczywistych podniet — uniezwykłał sytuacje banalne. Mit o niezwykłości artysty był tak potężny, iż z łatwością przykrywał wszelkie snobizmy, pozycja zaś outsidera miała w sobie coś z nobilitacji. Ongiś przeciwstawiano cyganerię filistrom, kołtunom i mydłkom. A przeciwko komu bądź czemu, ją dziś uprawiać?

O tym możemy się trochę dowiedzieć z powieści Doroty Chróścielewskiej, znanej dotąd jako poetka i historyk literatury. Ponieważ jest to powieść prawie środowiskowa — nie od rzeczy będzie posłużenie się terminem „penetracja". Otóż autorka penetruje postawy młodych adeptów sztuki i nauki wnikliwie i z pasją, miejscami iście demaskatorską. Oskarża ich wręcz o „rozmienianie się na chałturki, na rozmaite artykuliki o bardzo prowincjonalnej sztuce, z bardzo prowincjonalnego miasteczka na szpaltach bardzo prowincjonalnego pisemka bez polotu" (s. 15). Rzeczywiście, obrzydliwa jest ta prowincja z powieści Chróścielewskiej. Cóż tedy można tak brzydkiej prowincjonalności przeciwstawić? Odpowiedź nie jest trudna: wyłącznie Paryż, miasto-symbol, miasto-Parnas, miasto-Olimp.

Do Paryża więc mknie bohaterka i zarazem narratorka powieści: 30-letnia, obiecująca poetka i nieźle zapowiadająca się badaczka twórczości artystów przełomu wieku. Nieźle również zapowiadała się jako Żona, lecz ta ostatnia zapowiedź ciągle jakoś nie może się ziścić, jej stosunek do męża balansuje od miłosnych uniesień do nienawistnej obcości. To jakaś „Hassliebe", wcale nierzadka również w środowiskach artystycznych. Mąż — poczciwina i chłop z kościami — ukształtowany został trochę według przedwojennego stereotypu kabaretowego (pamiętamy te wykonywane przez wampy piosenki z refrenem zaczynającym się od słów: „Mój dobry mąż..."). Przekładając to na język dzisiejszy rzec trzeba, że jest po prostu fajtłapą: we wszystkim uległy, forsy robić nie potrafi, na dodatek pewnie jeszcze wierny. I jak tu z takim nie nudzić się? I jak tu dziwić się, że bohaterka „Tych wielkich artystów mojego pokolenia" od razu po wylądowaniu w Paryżu rzuca się w odmęty ramion przystojnego (a także mądrego i — last not least — bogatego) Włocha. W końcu coś jej się od życia należy. Jest przecież kobietą, ba, kobietonem nawet, a różnica — jak sama sobie dowodzi — między Anną Kareniną a Anną k jest w gruncie rzeczy minimalna. Aż wkracza do akcji sympatyczna mama i strofuje swą niedokiełznaną córeczkę: — nie bądź taką ibsenistką! Gdzież tam, proszę mamy! Toż to raczej modliszkowata postać rodem ze Strindberga, którego ostatnio Zygmunt Kałużyński w recenzji z „Wierzycieli" nazwał drugim najwybitniejszym po św. Hieronimie mizogynem w literaturze świata. Twierdzi się powszechnie, iż Strindberg miał swoje powody, aby kobiet nienawidzić, aby uważać, iż są samolubne i bezwzględne, stanowiąc przewrotną siłę biologiczną, lecz ani mąż, ani kochanek naszej Lady do sztuki przełomu wieków powodów do nienawiści nie mają. Jak jakie łagodne baranki idą w wilcze szpony poetessy i dobrze im tak! Gdzie ci mężczyźni?! Swoją drogą drapieżna i zachłanna na mężczyzn jest ta młoda proza kobieca, choć wcale nie odpłaca pięknym za nadobne i nie przedstawia walki płci, ani „seksualnego wampiryzmu" swych pokonanych przeciwników (w zależności od poglądów czytać można: partnerów). Zresztą August Strindberg, choć obłędny, dziś jest już wyraźnie zwietrzały, a nawet śmieszny, skoro bohatera jego zniszczyć może słodycz kobiecej odpowiedzi: „Dlaczego nie?" na pytanie: „A więc mogłabyś kochać dwóch naraz?" W powieści, którą PT Publiczności rekomenduję równoczesna miłość do dwóch mężczyzn nie tylko nie uchodzi za zdrożność czy występek, ale odnieść wręcz można wrażenie wyraźnego niedosytu. O tempora, o mores! (Chciałbym zakrzyknąć jako przedstawiciel pognębionych mężczyzn).

Wdałem się w „życie prywatne" i osobiste uwikłania bohaterki powieści nie tylko dlatego, że są interesujące same w sobie, lecz również i z tego powodu, iż istota cyganerii zasadza się w niemałym przecież stopniu na sprzeciwie wobec obyczajowego konwenansu. Bohaterka powieści jest raczej cyganką umiarkowaną, a już w żadnym razie kontestatorką. Rażą ją mieszczańskie przyzwyczajenia Rodziny, ale wcale nie wprawia w zachwyt czwarte małżeństwo przyjaciółki. W Paryżu zachowuje się jak czołowa przedstawicielka woman-liberation, a po kryjomu tęskni do ciepełka domowego ogniska. Miasto ją nuży, wieś nie pociąga. Cóż więc, u licha? Ano, stresy, zahamowania, nerwice. Próby samopoznania, niemożność samookreślenia. Ignoramus et ignorabimus. Eskapizm.

Chroni się więc w sferze *sacrum*. Tak naprawdę bowiem całe jej obcowanie ze sztuką nosi cechy ucieczki, oderwania od rzeczywistości, stanowi próbę wzniesienia się „ponad". Jednocześnie nie potrafi uwierzyć w absolut, nie jest w stanie poświęcić się Sztuce bez reszty — tak choćby, jak to czynili artyści będący przedmiotem jej zainteresowań: Edward Munch, Richard Dehmel, Stanisław Przybyszewski, Gustaw Viegeland. W miejscu absolutu stara się umieścić i r o n i ę, mniej lub bardziej subtelną drwinę, śmiech, nawet jeśli będzie to śmiech przez łzy. Stara się być bezlitosna dla wszystkich i dla wszystkiego — pokazać małość spraw, ludzi, odkurzyć banał, wyśmiać naśladownictwo i owczy pęd, skompromitować stereotypy. I w tym też celu chętnie posługuje się nimi, nawet za cenę utraty dystansu. Bo nie zawsze od razu widać, kiedy Mała przemawia z przymrużeniem oka, a kiedy powiada serio. Może się więc zdarzyć, iż wzruszeniu jednego Czytelnika odpowie wzruszenie ramion drugiego, może zdarzyć się również, że sytuacja przedstawiona w „Tych wielkich artystach mojego pokolenia" przypomni komuś popularny ongiś wierszyk Boya:

„Sztuka różne ma sposoby,
By dać szczęście swoim synom;
Więc stworzyła żeńskie snoby
Na pożytek kabotynom.

Mieszczaneczka żyła sobie
Pielęgnując białe sadło,
Naraz na nią jak w chorobie
Objawienie sztuki padło..."

Autor „Słówek" żartował, oględnie mówiąc, z demonizmu, w jakim ukazywano rolę kobiety w erotyce i w sztuce fine-de-siecle'u. Podobnym tropem podąża i Chróścielewska, choć nie zawsze ten śmiech rozbrzmiewa z jednaką siłą, nie szczędzi jednak swej bohaterce i jej partnerom uszczypliwości, szydzi z pozornej ekstrawagancji i pozorowanych konfliktów, z praktycznej przewagi sztuki „stosowanej" nad sztuką „czystą". Przy tym zgrabnie naszkicowane portrety są na tyle wyraziste, że kto zechce, może się w nich odnaleźć (o ile mi wiadomo, w pewnym środowisku czyniono już w tym zakresie dość udane próby).

Przedstawiona przez Dorotę Chróścielewską cyganeria artystyczna jest — co tu kryć — trochę nijaka, przytłoczona niemożnością dorównania Wielkim Poprzednikom, porażona własną niemocą twórczą, ustawicznie rozmieniająca się na drobne. Sytuuje się na marginesie tego wszystkiego, co istotne. I wcześniej czy później ulega uludzie małej stabilizacji. Nawet miraże wielkiego świata okazują się ślepym zaułkiem. Bo kiedy przebrzmi już ostatnie tango w Paryżu, orkiestra zagra tusz, a zagubiona, choć rezolutna Mała pożegna swój wielki świat i powróci. Powróci do rzeczywistości trudniejszej niż sztuka. W końcu i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu, co niechybnie potwierdzi Andrzej P., wydawca, najbardziej pozytywna postać powieści.

D. CHRÓŚCIELEWSKA, Ci wielcy artyści mojego pokolenia. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982, s. 152, nakład 39.650 + 350 egz., cena zł 40,—

Twórcy i oglądacze

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Kubizm trzeba zrozumieć, ekspresjonizm — odczuć, nadrealizmu należy się nauczyć. Na inne „izmy" też można znaleźć takie krótkie recepty. Proste? No właśnie! A społeczeństwo — tak w masie — rośnie „ślepe" i na uroki współczesnej plastyki jakby zgoła niewrażliwe. Próg nowoczesności okazuje się tu nie do pokonania. Wystawy świecą pustkami. Chyba, że jakieś „uznane" nazwisko. Ono przyciąga. Tak jak i przeszłość już zamknięta i takoż uznana.

Można by nad tym przejść do porządku dziennego, gdyby nie fakt, iż wrażliwość na doznania ze świata płynące rozwija się w człowieku właśnie dzięki obcowaniu ze sztuką.

Problem cały zdaje się tkwić w słowie: obcowanie.

Dotychczasowy, i co tu dużo mówić nadal obowiązujący jedynie z niewielkimi wyjątkami, model upowszechniania wiedzy o sztuce, choćby najbogaciej wspierany materiałem poglądowym, nie zdał i nie zdaje egzaminu. Jego jedyną bodaj „zasługą" jest podział społeczeństwa na tych, co muszą zadowolić się oglądaniem (bo niezdolni) i tych, którzy dostąpili łaski tworzenia. Próby przełamania takiego schematu upowszechniania plastyki, będącego w zasadzie ugruntowywaniem podziału na twórców i oglądaczy, datują się jeszcze na lata sześćdziesiąte, atoli siłę przebicia do dziś mają niewielką.

Sądzę więc, że warto wspierać tych, którzy z prawie maniackim uporem lansują tezę, iż skoro nie sprawdza się, nie daje rezultatów upowszechnianie wiedzy o sztuce, należy podjąć próbę propagowania aktywnych twórczych działań. Więc nie biernego, a czynnego obcowania z plastyką.

W 1978 roku wydana została przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne niewielka książeczka *Stanisława Czajki* pt. *„Zaproszenie do malowania"*. Pomyślana jako kontynuacja *„Malarstwa — sztuki milionów"*, jest swego rodzaju podręcznikiem mówiącym jak zabrać się do malowania, a właściwie — jak pokonać barierę niewiary we własne twórcze możliwości. Wspominam o tej książce dlatego, że niedawno miałam okazję rozmawiać w Warszawie z jej autorem. Pretekstem była wystawa jego obrazów. Ale ponieważ ich twórca powiedział mi: — *Nie, mam złudzeń, że ja tworzę jakieś ważne sprawy, po prostu — jakoś tam uczestniczę w ruchu malarskim. Co pięć lat robię wystawę, nikt się tym nie interesuje, nikt nie kupuje. Można powiedzieć, że jest to moje prywatne hobby* — zostawmy tę wystawę na razie na boku, jako, że tematem „wiodącym" są propagatorskie poglądy jej autora.

Wywodzą się one z długoletniej — od 1956 roku Stanisław Czajka pracuje w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Warszawie, ma też za sobą dziesięcioletni okres działalności w ognisku plastycznym — praktyki pedagogicznej. Zaś podstawą tych poglądów jest twierdzenie, iż furtką, którą można wejść w kontakt ze współczesną plastyką, jest samodzielne uprawianie twórczości. „— *W końcu wszyscy wielcy z początków sztuki nowoczesnej dochodzili do swych doświadczeń osobistą pracą, byli w gruncie rzeczy samoukami. Cała ta sztuka była głównie amatorska. Każdy więc może próbować to robić.*" Nie jest to twierdzenie bezpodstawne.

STC w „Zaproszeniu do malowania" pisze: *„zgromadzone tu ćwiczenia"* — książka składa się głównie z ilustracji do malarskich ćwiczeń — *„są wynikiem dość systematycznej, dwuletniej pracy z kilkunastoosobową grupą młodzieży. Liczyli po 16—17 lat, byli autentycznie zainteresowani tym co robią i dalecy od zwątpień i rozterek, które pojawiają się później. Czy byli zdolni? Na pewno tak. Świadczą o tym ich prace. Ale nie popadajmy w popłoch. Tak uzdolniony jest co drugi chłopak i co druga dziewczyna. Nie wystarczyłoby zapewne tego talentu, aby zostać Michałem Aniołem, ale na pewno każdy ma go dość, aby być sobą, czyli kimś bardzo ważnym."* I o to właśnie chodzi. O wzbogacenie siebie poprzez wzbogacone postrzeganie świata.

Owo postrzeganie świata, czyli ciągłe odwoływanie się do natury, jest w metodzie pracy Stanisława Czajki bardzo ważne. Bowiem, jego zdaniem — „rozważania o tym co i jak malować, jaki system ćwiczeń obrać, aby dojść do jakiejś wymiernej sprawności, w przypadku pominięcia natury łatwo sprowadziłby nas na manowce niepewności, rozterek i wątpliwości. Każdemu uczącemu się i to nie tylko w sferze artystycznej, potrzebna jest ta odrobina sukcesów w postaci widocznych postępów. Konkretność natury i ćwiczeń związanych z naturą, taką szansę każdemu daje." Celem zaś tej metody jest chęć przekonania każdego, kto — oczywiście — choć trochę tego pragnie — że i jego stać na podjęcie takiej próby. Bo — znów sięgam do notatek z rozmowy — „ludzi paraliżuje lęk przed ośmieszeniem, boją się własnej nieudolności. I moim posłannictwem jest, żeby tych ludzi przekonać, żeby im pokazać, że można różnie mówić o tym samym, i że wszystkie rozwiązania mogą być dobre; że w końcu każda bazgroła może być atrakcyjna, jeżeli niesie ważne przeżycie dla twórcy. W sztuce nowoczesnej tkwią możliwości takiego potraktowania problemu kreacyjnego podejścia do plastyki i należy to wykorzystać."

Trzeba by się chyba zgodzić, że jest to jakiś sposób na przekroczenie owego symbolicznego już progu do zrozumienia sztuki współczesnej. Czy jest to metoda najlepsza, są bowiem i inne, trudno przesądzać. Niewątpliwie jest w niej cenne to, iż stanowi z plastyczną twórczością jej propagatora bardzo spójny system.

Stanisław Czajka, malarz i grafik, absolwent warszawskiej ASP, uczeń Eugeniusza Eibischa w jakimś sensie pozostał wierny swojemu mistrzowi. Choćby w umiejętności zatrzymania się nad pięknem natury właśnie: refleksji nad tym, co pozostaje z zawidzianych, zatrzymanych w pamięci podczas rozlicznych wędrówek po kraju i świecie widoków. Ich autor obraca się w kręgu tradycyjnych środków wyrazu czytelnie odnoszących się do estetyzujących, postimpresjonistycznych nurtów. Można by w tym upatrywać zarzut, jakieś pomniejszenie wartości tego malarstwa. Sądzę jednak, że niesłusznie. Sam autor bowiem powiada: — *Być może to co robię jest zdeterminowane przez życie, przez moje upodobania do wędrówek, które są nieustającym źródłem motywów; zdeterminowane przez to, że jestem pedagogiem. Byłoby przecież jakimś rozdwojeniem gdybym urządzał happeningi, a swoich wychowanków wprowadzał w abecadło. Staram się więc rozgrywać wszystko w ramach podstawowych środków wyrazu. Brak eksperymentowania wynika również — co tu dużo mówić — z pewnych ograniczeń wyobraźni, do tego są potrzebne szczególne predyspozycje. Ale też i możliwości. Bo i w jakimś sensie czas mnie ogranicza. Wprawdzie malarstwo to ta pierwsza miłość, ale dzielę ją z drugą — pedagogiką, w końcu trzeba coś konkretnego robić, z czegoś żyć. A że uważam, iż trzeba polubić to co się robi — to wynika z mojego usposobienia — polubiłem więc pedagogikę. Inna rzecz, że nie miałem z tym wielkich kłopotów.*

Chociaż muszę przyznać, że praca w szkole prowokuje mnie czasem do pesymistycznych refleksji, mam poczucie, że moje marzenia młodzieńcze się nie spełniły, że trzeba kilku pokoleń, żeby przeorać społeczeństwo.

Zaś największą klęską, jaką ponoszę w całej swojej działalności jest to, że ci których uczę koniecznie — jak tylko posmakują plastyki — chcą zostać profesjonalistami. Mnie zaś chodzi o wychowanie amatorów."

Cóż, nie nauczyliśmy się jeszcze traktować sztuki jako sposobu na godziwe spędzanie czasu, może między innymi dlatego, że za mało jest takich ludzi jak Stanisław Czajka, zaś ci co są, prowadzą swoją działalność trochę na wariackich papierach, że za mało jest takich książek — ostatnio nawet wcale ich nie ma — jak „Malarstwo" — sztuka milionów" i „Zaproszenie do malowania".

Ja mogę jedynie obiecać, że będę takich ludzi szukać, popularyzować ich poglądy i działania. Może chociaż trochę im tym pomogę. Nie jestem bowiem zwolenniczką podziału społeczeństwa na twórców i oglądaczy.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Rysunek wychowanka Stanisława Czajki

Przybywający z zagranicznych wojaży polscy muzycy, śpiewacy, aktorzy i tancerze, powracające do kraju orkiestry i zespoły nader rzadko, zwłaszcza w tych „na gorąco" udzielanych wywiadach, mówią o roli, jaką pełni w ich zawodowym życiu Polska Agencja Artystyczna PAGART. Często natomiast płynie przez zainteresowane środowiska artystyczne fala narzekań na jej sprawność, a nawet uczciwość działania. Nawet najbardziej niezorientowany w środowiskowych układach, i zwyczajach obserwator życia kulturalnego i tego z najistotniejszych jego elementów, jakim jest wymiana międzynarodowa, musi odnosić wrażenie, że jest PAGART albo przysłowiowym „chłopcem do bicia", albo — niczym tytułowy bohater opery Cimarosy — „impresariem w opałach". Czy PAGART czuje się nim w istocie i jak czuje się w ogóle, będąc przedmiotem rozmaitych, zakamuflowanych zresztą na ogół, ataków i pretensji, a przede wszystkim — jakimi kieruje się zasadami w uprawianiu trudnej sztuki impresariatu, postanowiliśmy zapytać naczelnego dyrektora tej placówki **WŁODZIMIERZA SANDECKIEGO.**

Jak się czuje PAGART?

— Jak się czuje PAGART? Boję się, że jeśli powiem, iż czujemy się dobrze lub choćby tylko nieźle, mogę zostać źle zrozumiany. Takie odpowiedzi, mimo iż w intencji udzielającego ich, są zupełnie jednoznaczne, to jednak, gdy padają z ust dyrektorów przedsiębiorstw o podobnym co PAGART charakterze zostawiają zwykle za szeroki margines dla nazbyt dowolnej interpretacji ich właściwego znaczenia. A ponieważ nazbyt dowolna interpretacja mojej w ten sposób sformułowanej odpowiedzi mogłaby zrodzić natychmiastową ripostę w rodzaju: „czują się dobrze, bo płacimy im haracz" lub „może im być nieźle, bo na nas żerują", przeto by na nikogo nie sprowadzać podejrzenia o pieniactwo, odpowiem po prostu, że staramy się coraz lepiej pracować i to wszystko. Jak świat długi i szeroki impresario dość często określany jest mianem wyzyskiwacza artystów. Trudno dyskutować z tym arcysubiektywnym i najczęściej niesprawiedliwym poglądem. Obiektywnie zrozumiała konieczność płacenia podatków i równie zrozumiały udział w zyskach osoby bądź instytucji przysparzającej tych zysków, w gruncie rzeczy nigdy i nikomu nie wydawały się oczywiste.

Jeśli zatem w przekonaniu artysty wszystko co zarobił należy się wyłącznie jemu, to ta część zysków, którą za swoją dla niego pracę pobiera impresario artyście wydaje się wyłudzona bądź wymuszona fortelem, sposobem lub siłą nawet wtedy, gdy zasady wzajemnej między artystą a impresariem współpracy określają umowy sporządzone zgodnie z prawem i jego obowiązującymi przepisami. Fakt pozostawania w obiegu tych opinii każdy impresario wpisywać musi w psychiczne koszty uprawianego przez siebie zawodu.

Ale tu uwaga: niektóre krytyczne oceny naszej pracy mają też swoje uzasadnienie. Stąd „ucząc się" PAGARTU (jego dyrektorem jestem bowiem dopiero od roku) staram się być krytyczny i szukam wsparcia w środowiskach artystycznych. Rada i pomoc tych środowisk jest nam bardzo potrzebna. Czasem, ale znów tylko „prywatnie" boli nas też brak w entuzjastycznych relacjach artystów o odniesionych właśnie sukcesach najmniejszej choćby wzmianki o wykonanej przez nas gigantycznej zazwyczaj pracy włożonej w zorganizowanie wyjazdu, o żmudnym wynegocjowywaniu warunków, terminów i kwot zadowalających przecież naszych artystów. Ale i to przyjmujemy jako rzecz naturalną, bo naturalną jest ona w istocie. Wszak artysta nie musi reklamować impresaria to impresario musi reklamować artystę i stwarzać warunki, w których jego zwycięstwo będzie absolutne, a sukces pełny; warunki, w których publiczności objawi się on jako talent samorodny i tylko własnej pracy i sile artystycznego przebicia wszystko zawdzięczający.

— Dla jakich zysków wziął PAGART na swoje barki tę służebną rolę?

— Odpowiadając na pani pytanie muszę wyjaśnić na samym początku, że PAGART nigdy niczego na swoich barkach nie nosił. Służebna rola nie została mu dopisana do żadnego rejestru ról spełnianych wcześniej. PAGART został dla tej roli powołany przed 25 laty Mówimy o ćwierćwieczu a ja pracuję w Pagarcie od roku. Chciałbym podkreślić, iż o obecnym kształcie PAGARTU decydowali u progu 1957 roku jego wspaniali twórcy na czele z Szymonem Zakrzewskim, Januszem Cegiełłą i wielu innymi Dziś Polska Agencja Artystyczna PAGART jest centralną państwową agencją prowadzącą z upoważnienia ministra kultury i sztuki komercyjną wymianę kulturalną z zagranicą.

PAGART współpracuje z odpowiednimi agencjami państwowymi krajów socjalistycznych — radzieckim Goskoncertem NRD-owską Künstleragentur, czeskim Pragokoncertem, słowackim Slovkoncertem, rumuńskim Ariakoncertem, węgierskim Interkoncertem, bułgarskim Sofiakoncertem, kubańską Cubaartistą, agencjami jugosłowiańskimi, wietnamskimi, mongolskimi oraz z większością agencji krajów kapitalistycznych. Za swoją pracę pobieramy określoną przez ministra finansów prowizję. Nasz udział w honorarium artysty umowy, jakie między sobą zawieramy, określają w zależności od wysokości honorariów na 10—20 proc. Najczęściej jest to 10 proc. Z owych dziesięciu procent stanowiących nasz udział połowę przekazujemy do skarbu państwa, jedną dziesiątą — Ministerstwu Kultury i Sztuki na Fundusz Popierania Twórczości Artystycznej. Cztery dziesiąte (czyli właściwie cztery procent z honorarium artysty) pozostaje w naszej dyspozycji z przeznaczeniem na ponoszone przez nas koszty impresaryjne i na koszty prowadzonego przez nas importu artystów i zespołów zagranicznych do kraju. Tak więc owe „haracze" pobierane przez PAGART nie są jak widać wysokie, a i nasi artyści dobrze wiedzą, że impresariowie na Zachodzie pobierają od ich kolegów kwoty znacznie wyższe i do prywatnej kieszeni. My zaś przeznaczamy je na cele społeczne.

— Wspomniał pan o imporcie do Polski artystów zagranicznych. Nasza publiczność od lat nie ma w tym względzie powodów do szczególnego zadowolenia, a przecież bywały czasy, gdy przyjeżdżały do Polski wielkie gwiazdy piosenki, jazzu, opery, światowej sławy muzycy...

— Ależ pani mówi o pierwszych latach po 1956 roku — świat był ciekaw Polski, a my świata. Fakt — sam jeździłem jako student z Wrocławia do Warszawy na te rzadkie, wielkie święta. Europejskie i światowe sławy występowały u nas za honoraria wypłacane w złotówkach. Charles Aznavour, Ella Fitzgerald, wielkie gwiazdy opery i baletu. Dziś także importujemy wielkie sławy — publiczność przywykła już jednak do ich obecności. Tego zaś co znaczy niewymienialność naszej waluty pierwszy doświadczył właśnie Aznavour, gdy uczciwie zarobione u nas złotówki chciał wydać w hotelowym sklepiku, a ten okazał się być sklepem Pekao.

Fala czystej ciekawości, bo finału opowieści o „przygodzie" Aznavoura zapewne się pani domyśla, przepłynęła nad nami dość szybko ustępując miejsca zgoła nie emocjonalnym, a właśnie finansowym powodom zainteresowania naszym rynkiem. Na szeroki import dziś nas po prostu nie stać — tym bardziej, że i honoraria artystów poszły w górę i osiągnęły poziom, który przeciętnego Polaka mającego na względzie czarnorynkowy kurs dolara, może przyprawić o zawrót głowy. Postanowiliśmy więc, że import nasz będzie niewielki ale dobry, co całkiem już niezależnie od trudności finansowych wydaje nam się słuszne i właściwe.

W minionym roku dzięki inicjatywom PAGARTU wystąpiły w Polsce tak wybitne śpiewaczki operowe jak Elena Obrazcowa i Christa Ludwig, publiczności polskiej zaprezentowali się też między innymi: soliści baletu radzieckiego, amerykańska Lar Lubovitch Dance Company, gościliśmy też Orkiestrę Symfoniczną z Lyonu, Narodowy Balet Kuby. Młodzież mogła obejrzeć takie zespoły jak „Locomotiv GT" z Węgier, „Kraftwerk" z RFN, „Goombay Dance Band" (ze słynnym przebojem „Sun of Jamaica") i NRD-owską „Familie Silly". Można by tu przytoczyć o wiele dłuższą listę nazwisk i nazw — ja posłużyłem się tylko przykładami. Jeśli zaś chodzi o eksport to nie tracąc z pola widzenia kwestii zarobków zarówno naszych jak i naszych artystów, będziemy się starali prezentować światu to, co mamy najlepszego, co stanowić może przykład najwyższej jakości naszej sztuki. Szczególnie zależy nam na prezentowaniu owoców działalności instytucji artystycznych o randze i znaczeniu narodowym.

— To co najlepsze i najpiękniej o kulturze polskiej świadczące nie zawsze rodzi się w Warszawie. Podnoszę tę kwestię dlatego, że na małe zainteresowanie PAGARTU skarżą się instytucje i twórcy działający poza Warszawą.

— Staram się rozumieć i te skargi, ale nie znajdują one potwierdzenia w naszej pracy. Poznański Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego, Chór Stuligrosza, Teatr Grotowskiego, Wrocławska Pantomima Henryka Tomaszewskiego, Filharmonia Śląska przy naszej pomocy organizacyjnej prezentują swoje dokonania i polską kulturę w wielu krajach świata. Łódzka Filharmonia jeździ za granicę równie często jak i inne zespoły, a soliści łódzkiego Teatru Wielkiego śpiewali i śpiewają w wielu teatrach operowych świata. Obecnie z wielką niecierpliwością, życzliwością i nadzieją czekamy na kolejne premiery tego teatru, jestem bowiem przekonany, iż częściej należy pokazywać cały zespół w konkretnych, pełnych inscenizacjach. Będziemy zarazem jeszcze baczniej niż dotychczas obserwować propozycje pozawarszawskich instytucji artystycznych i zwiększać eksport najlepszych programów.

— Co Pana zdaniem powinniśmy prezentować światu przede wszystkim?

— Omawiając, z konieczności w wielkim skrócie, kwestię eksportu i importu solistów i zespołów pragnę stwierdzić wyraźnie, że żadnej z dziedzin sztuki nie preferujemy w jakiś szczególny sposób. Każda z nich, zarówno w kraju, jak i za granicą ma swoich miłośników i entuzjastów, ale wszędzie na świecie ceni się mistrzostwo i na ten aspekt sprawy pragnę zwrócić szczególną uwagę. Musimy podnosić poziom własnych działań i jeśli oczekujemy przyjazdów np. wybitnych artystów sceny operowej, to miejmy przygotowane takie inscenizacje, w których mogliby wystąpić bez ryzyka ujawnienia zbyt dużej na naszą niekorzyść różnicy jakościowej. Jeśli nasi młodzi artyści pragną, by przyjmowano ich godnie, a rozmowy biegły bez zakłóceń i przynosiły propozycje następnych kontraktów, to już niezależnie od tego jak wysoki poziom mistrzostwa artystycznego prezentują, muszą przygotować swój program i w obcych wersjach językowych. Jeśli pani pytanie zmierzało do tego, bym wskazał dziedzinę sztuki, w której moim zdaniem jesteśmy najlepsi, to nie uczynię tego, bo nie mam takiego prawa. Każda z dziedzin sztuki znajduje na świecie i u nas swoich wielbicieli, my zaś powinniśmy wiedzieć, kto w danej dziedzinie jest najlepszy i w kogo warto inwestować, kogo reklamować, kogo zapraszać i kogo wysyłać. Nie są to oczywiście sprawy proste i łatwe. Nadal sporo emocji wzbudza promocja młodych. Tu pragniemy znacznie udoskonalić nasze działania, znaleźć nowych sojuszników i doradców. Liczymy na pomoc i radę przedstawicieli środowisk artystycznych, dziennikarzy, naukowców i działaczy kultury.

— Skąd PAGART czerpie wiedzę będącą podstawą właściwego wyboru, jakie są jej źródła?

— W tej kwestii dalecy jesteśmy od samozadowolenia. Staramy się pozyskać fachowych doradców, szukamy nowych form i metod działania. W najbliższym czasie przewidujemy powołanie specjalistycznych grup ekspertów w poszczególnych dziedzinach. Chcemy skorzystać z pomocy kadry naukowej szkół artystycznych. Gdy zaś mówimy o promocji młodych istotnym drogowskazem są sukcesy na konkursach i festiwalach. I tu PAGART stara się możliwie najpełniej spożytkować sukces konkursowy.

Tak było z Barbarą Górzyńską — naszą młodą i niezwykle utalentowaną skrzypaczką, której sukces w Londynie otworzył drogę do największych sal koncertowych świata. Podobnie po sukcesie na międzynarodowym konkursie wokalnym zarekomendowaliśmy w kilku krajach Barbarę Mądrą z poznańskiego Teatru Wielkiego — kontrakty podpisane są już na kilka lat. Ale tu trzeba wskazać na rolę Ministerstwa Kultury i Sztuki i jego wyspecjalizowanych departamentów, które uprawnione są do wyboru kandydatów na międzynarodowe konkursy. Najmłodsi absolwenci szkół artystycznych mają szansę, aby po stażu w polskich instytucjach artystycznych próbować swych sił na uznawanych międzynarodowych konkursach. Chcemy jednak aby w większości najzdolniejsi pracowali na stałe w Polsce — w polskich filharmoniach, teatrach, radiu i telewizji.

Foto: Chwalisław Zieliński

Chciałbym tak pokierować pracą PAGARTU, aby w coraz mniejszym stopniu nasze działania eksportowe kolidowały z interesami krajowych instytucji artystycznych. W przeszłości było w tej mierze sporo nieporozumień. Wymaga to też lepszej koordynacji wyjazdów wewnątrz instytucji artystycznych. O takiej mądrej polityce stosowanej ongiś w Filharmonii Łódzkiej opowiadał swego czasu na posiedzeniu Rady Muzyki pan Czyż. Działanie to musi być wielostronne, trzeba będzie dążyć do stworzenia swego rodzaju systemu.

— Będąc dyrektorem agencji ma Pan zapewne orientację w rodzaju i wielkości sukcesów, jakie odnoszą na świecie nasi artyści?

— Rodzaj sukcesów? Na to mogę odpowiedzieć w jeden tylko sposób: sukcesy są autentyczne. Czasem w kraju przesadzamy mówiąc, iż „zespół X podbił Amerykę". Podbił konkretną publiczność, zaskarbił sobie jej uznanie, a to znaczy naprawdę bardzo dużo.

— Zapewne najserdeczniej przyjmuje nas Polonia?

— To prawda i jej potrzeby kulturalne mamy na względzie prowadząc szereg rozmów z agencjami zachodnimi. Dbają o nią także polonijni impresariowie. Chcemy jednak do Polonii docierać przede wszystkim w ramach oferty przedstawianej całemu społeczeństwu danego kraju. Wielu Polaków przychodziło w grudniu w Paryżu na koncerty Festiwalu Muzyki Pendereckiego i każdy z nich czuł się dumny z sukcesu rodaka. Chcemy, aby nasz Polonus, czuł się w krajach, do których rzuciły go losy, ich pełnoprawnym obywatelem, by patrzono na niego z uznaniem, by miał powody do dumy z prezentowanych przez nas dzieł o uniwersalnych wartościach, a narodowym rodowodzie.

— Czy obok zwycięstw bywają także porażki?

— Oczywiście też. Nie zawsze nasi partnerzy dotrzymują zobowiązań. Czasem trzeba rezygnować z dalszej współpracy z zagranicznym agentem. To jest zresztą argument przemawiający za rozwojem jednej silnej państwowej agencji — taka łatwiej przetrzyma klęskę. Kiedyś partner brazylijski „Mazowsza" ogłosił w czasie jego tournee swoje bankructwo i od kilku lat winien jest stronie polskiej ponad 100 tys. dolarów. I to jest ryzyko handlowe. Staramy się jednak kontrakty i wyjazdy przygotować bardzo sumiennie, z dużym wyprzedzeniem, bez improwizacji. Staramy się coraz lepiej służyć artystom. W sztuce pt. „Nos i tabakiera" przypada nam jednoznaczna rola, w monodramie „Chłopiec do bicia" występujemy okresowo, zaś „Impresaria w opałach" chciałbym oglądać na dobrej scenie operowej. Może w Łodzi!

— A gdyby była to dobra inscenizacja?

— Czekam na premierę.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

Kronika kulturalna

Ogromny sukces odniosła *Jadwiga Jankowska-Cieślak* w Cannes. Jury XXXV Festiwalu Filmowego przyznało jej nagrodę za najlepszą kobiecą kreację aktorską w filmie węgierskim „Inne spojrzenie", w reżyserii Karoly Makka.

Stowarzyszenie Kultury Europejskiej (SEC) obchodziło niedawno jubileusz 30-lecia. W związku z tym Rada Państwa przyznała odznaczenia twórcom reprezentującym polski ośrodek SEC. Order Sztandaru Pracy I klasy otrzymali: *Jan Dobraczyński, Leopold Lewin i Wojciech Natanson.* Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski odznaczony został *Michał Rusinek*, wiceprezes SEC i prezes jej sekcji polskiej.

Przy okazji warto dodać, że na ostatnim posiedzeniu Rady Wykonawczej (czyli międzynarodowego zarządu) Societé Europenne de Culture wśród przyjętych do Stowarzyszenia 40 nowych członków znalazło się 11 pisarzy z Polski.

Działający już od 20 lat przy Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dyw. B. Szareckiego *Studencki Teatr „Verbum"* wystąpił z nową, 49 już w swoim dorobku, premierą. Studenci przedstawili rapsod historyczny pt. *„O tej co nie zginęła"*. Premiera rapsodu połączona była z uczelnianymi uroczystościami Dnia Działacza Kultury. Wiele osób z tej okazji otrzymało wyróżnienia i odznaczenia.

Wkrótce WAM obchodzić będzie 25-lecie istnienia. Na tę okazję ST „Verbum" przygotowuje specjalne przedstawienie, które będzie 50 spektaklem pokazanym przez zespół.

---

30 maja na Małej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się premiera sztuki Stanisława Grochowiaka pt. *„Lęki poranne"*. Akcja sztuki toczy się wokół klinicznego przypadku nałogowego alkoholika znajdującego się już w stanie delirium. W podtekście natomiast odnaleźć można problem osaczenia i osamotnienia człowieka, który nie potrafi odnaleźć siebie w normalnym życiu. W roli głównej wystąpił Stanisław Kwaśniak, a obok niego Róża Chrabelska, Barbara Marszałek, Ewa Worytkiewicz, Bogumił Antczak, Jan Hencz, Marek Kołaczkowski i Bogdan Wróblewski. Spektakl reżyserował Bogdan Michalik. Scenografię przygotowała Anna Jagiełek, a muzykę Piotr Hertel.

W dniach od 1 do 6 czerwca, w Dużej Sali Teatru Nowego występować będzie Pantomima Wrocławska. Tym razem wrocławianie pokażą sztukę *„Rycerze króla Artura"*, w opracowaniu dramaturgicznym, reżyserii i choreografii Henryka Tomaszewskiego. Premiera spektaklu odbyła się we Wrocławiu, w październiku 1981 roku.

W Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Bałuty odbył się III Przegląd Dziecięcych Teatrów Animacji „Dziatwa 82". W przeglądzie udział wzięło 6 zespołów. Główną nagrodę oraz nagrodę specjalną zdobył dziecięcy teatr animacji „Przedszkolak" z Klubu „Romus" przy SM Zarzew. Trzy równorzędne drugie nagrody otrzymali: zespół z DDK Łódź-Polesie, Teatr Muzyczny z ZDK ZPB im. F. Dzierżyńskiego „Eskimo" oraz zespół „Gapcio II", z ZDK przy ZPB „Protex" w Prudniku, woj. opolskie.

Informacja dla wyjeżdżających na urlop. W Zakopanem można obejrzeć wystawę zorganizowaną z okazji Roku Karola Szymanowskiego.

Trwają Dni Bełchatowa. W programie tych corocznie organizowanych uroczystości: imprezy kulturalne, rozrywkowe i rekreacyjno-sportowe. Z okazji Dnia Dziecka przygotowano ogromny program dla dzieci i młodzieży. Dni są okazją do zaprezentowania bogatego dorobku miejscowych twórców i zespołów artystycznych oraz drużyn sportowych.

W maju jubileusz 35-lecia istnienia obchodziła biblioteka ZPB „Sandra" w Aleksandrowie Łódzkim. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi połączył obchody tej uroczystości z obchodami Dnia Działacza Kultury w środowisku bibliotekarzy zakładowych. W związku z tymi uroczystościami 27 maja w bibliotece ZPB „Sandra" odbyła się impreza, na której zapoznano się z działalnością biblioteki, wręczono zasłużonym bibliotekarzom nagrody, odznaczenia i listy gratulacyjne, dyskutowano o problemach bibliotekarstwa zakładowego w woj miejskim łódzkim. Młodzież z LO im. Kopernika w Aleksandrowie przygotowała i wykonała montaż słowno-muzyczny.

---

31 maja, z okazji jubileuszu 25-lecia Stowarzyszenia Księgarzy Polskich, zasłużonym działaczom tego Stowarzyszenia wręczono odznaczenia i wyróżnienia. *Stowarzyszenie Księgarzy Polskich — Okręg Łódź* otrzymało Honorową Odznakę m. Łodzi. Honorowe Odznaki m. Łodzi otrzymali także: *Jan Gruszczelak, Karol Frycze, Stanisław Kołodziejczyk i Bolesław Miśkiewicz.* Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury uhonorowano: *Ireneusza Dziano, Janinę Krakowiak, Marię Krawczyk, Wojciecha Tomczyka, Henryka Wolszlegiera.* Honorową Odznakę Stowarzyszenia Księgarzy Polskich otrzymał *Bolesław Miśkiewicz.* Nagrodami Dyrektora Wydz Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi zostali wyróżnieni: *Jadwiga Grabarczyk, Bronisław Kowalczyk, Władysława Madej, Krystyna Skorzybóc i Tadeusz Zdziobek.*

KIRYŁ BUŁYCZOW

Czy można poprosić Ninę?

— Czy można poprosić Ninę?
— To ja, Nina.
— Tak? Dlaczego masz taki dziwny głos?
— Jak to dziwny?
— Jakby nie twój. Jakiś cienki. Jesteś czymś zmartwiona?
— Nie wiem...
— A może nie powinienem dzwonić?
— A kto mówi?
— Od kiedy to przestałaś mnie poznawać?
— Kogo poznawać?

Głos zdawał się być młodszy od właścicielki o jakieś dwadzieścia lat. A zresztą w ogóle głos Niny jest prawie o pięć lat młodszy od niej. Jeśli nie znasz człowieka, to na podstawie głosu bardzo trudno jest odgadnąć jego wiek. Głosy bardzo często postarzają swoich właścicieli albo też na odwrót, bardzo długo pozostają młode.

— No, dobrze — powiedziałem. — Dzwonię do ciebie właściwie w konkretnej sprawie.
— Chyba mimo wszystko pomylił pan numer — powiedziała Nina. — Nie wiem, kto mówi.
— No, przecież ja, Wadim, Wadik, Wadim Nikołajewicz. Co się z tobą dzieje?
— Właśnie — Nina westchnęła, jakby żal jej było przerywać rozmowę. — Ja nie znam żadnego Wadika ani Wadima Nikołajewicza.
— Przepraszam — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Nie od razu zadzwoniłem ponownie. Oczywiście, po prostu połączyłem się z niewłaściwym numerem. Pewnie źle wykręciłem. Ale dlaczego?

Znalazłem w szufladzie paczkę kubańskich papierosów. Mocnych jak cygara. Na pewno robią je z obrzynków cygar. Właściwie to jaką ja mam sprawę do Niny? Chyba żadnej. Po prostu chciałem się dowiedzieć, czy jest w domu. Ale jeżeli w domu jej nie ma, to też nic nie znaczy. Może być na przykład u mamy. Albo w teatrze. Przecież wieki całe nie była w teatrze.

Zadzwoniłem powtórnie.

— Nina?
— Nie, Wadimie Nikołajewiczu. Znów się pan pomylił. Pod jaki numer pan dzwoni?
— 14-34-089.
— A ja mam: Arbat — jeden — trzydzieści dwa — pięć — trzy.
— Jasne — powiedziałem — Arbat to czwórka?
— Arbat to „G".*
— Nieważne. Przepraszam, Nino.
— Proszę. Nie jestem wcale zajęta.
— Postaram się więcej pani nie niepokoić. Coś się chyba gdzieś zablokowało i łączy mnie z panią. Bardzo kiepsko działają te telefony.
— Tak — zgodziła się Nina. Odłożyłem słuchawkę.

Trzeba poczekać. Albo wykręcić 100. Do zegarynki. Coś się przełączy w poplątanych liniach centrali i wreszcie się dodzwonię.

— Dwudziesta druga, zero, zero, — powiedziała panienka pod telefonem „sto".

Pomyślałem sobie, że jeśli jej głos został nagrany dawno, dziesięć albo dwadzieścia lat temu, to kiedy jest jej smutno albo kiedy jest sama w domu, wykręca „sto" i słucha swojego młodego głosu. A może już umarła? I wtedy jej syn albo człowiek, który ją kochał, wykręca setkę i słucha...

Znów zadzwoniłem.

— Słucham — powiedziała Nina swoim młodym głosem. — To znów pan, Wadimie Nikołajewiczu?
— Tak — odparłem — widocznie nasze telefony połączyły się na stałe. Tylko proszę nie myśleć, że sobie żarty stroję. Ja bardzo starannie wykręciłem numer.
— Oczywiście, oczywiście. Ani przez chwilę tak nie pomyślałam. A... czy panu bardzo się spieszy.
— Nie.
— Ma pan jakąś ważną sprawę do Niny?
— Nie, po prostu chciałem sprawdzić, czy jest w domu.
— Stęsknił się pan za nią?
— Jakby tu powiedzieć...
— Rozumiem, jest pan zazdrosny.
— Proszę mnie nie rozśmieszać — powiedziałem — ile pani ma lat?
— Trzynaście, a pan?
— Ponad czterdzieści. Dzieli nas głęboka przepaść.
— Każdy miesiąc to metr.
— Nawet jeden dzień może być takim metrem.
— Tak — westchnęła Nina. — To musi być bardzo głęboka przepaść... O czym pan teraz myśli?
— Trudno powiedzieć. W tej chwili o niczym. Przecież rozmawiam z tobą.
— Gdyby pan miał trzynaście lat albo nawet piętnaście, to moglibyśmy się poznać. To by nawet było bardzo zabawne. Ja bym powiedziała: „proszę przyjść jutro wieczorem pod pomnik Puszkina. Będę czekała punktualnie o siódmej" I nawzajem byśmy się nie poznali... Gdzie spotyka się pan z Niną?
— Jak kiedy.
— Przy Puszkinie też?
— Raczej nie. Najczęściej umawiamy się pod „Rosją".
— Gdzie?
— Pod kinem „Rosja".
— Gdzie to jest?
— No, przecież na placu Puszkina.
— Wszystko jedno. I tak nie wiem gdzie. Pan na pewno żartuje, dobrze znam plac Puszkina.
— Zresztą, to nieważne — powiedziałem.
— Dlaczego?
— To było dawno.
— Kiedy?

Dziewczynka wyraźnie nie miała ochoty odkładać słuchawki. Chyba dlatego tak uparcie prowadziła rozmowę.

— Jesteś sama w domu?
— Tak. Mama jest dzisiaj na wieczornej zmianie. Jest pielęgniarką w szpitalu i często zostaje na noc. Dziś mogłaby wrócić, ale zostawiła w domu przepustkę.
— Tak — zgodziłem się. — No, dobrze. Kładź się spać. Rano trzeba do szkoły.
— Proszę nie traktować mnie jak małego dziecka!
— Nie, co ty Rozmawiam z tobą jak z dorosłą.
— Tak? Jeśli pan chce, to proszę samemu iść spać o siódmej. Dobranoc! I proszę nie dzwonić więcej do swojej Niny, bo znów się pan ze mną połączy i obudzi mnie, malutką dziewczynkę! — powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Włączyłem telewizor. Dowiedziałem się, że Łunochod przeszedł w ciągu doby 337 metrów. Łunochod pilnie pracował, a ja...

Postanowiłem po raz ostatni zadzwonić do Niny punktualnie o jedenastej. Przez całą godzinę zbijałem bąki. Postanowiłem, że jeśli znów dodzwonię się nie tam gdzie trzeba, od razu odłożę słuchawkę.

— Byłam pewna, że pan zadzwoni — powiedziała Nina odbierając telefon. — Tylko proszę nie odkładać słuchawki. Bardzo mi się nudzi. Słowo honoru. I nie mam nic do czytania... A na pójście spać jeszcze za wcześnie.
— Dobrze, możemy porozmawiać. Ale dlaczego jeszcze nie śpisz? Jest już późno.
— Dopiero ósma!
— Twój zegarek się spóźnia — stwierdziłem. — Już jest jedenasta.

Nina roześmiała się. Miała przyjemny śmiech; miękki, dobry.

— Tak się pan chce ode mnie uwolnić, że aż wstyd Przecież jest październik i dlatego już się ściemniło, a panu wydaje się, że to już noc.
— Teraz ty z kolei żartujesz?
— Nie, nie żartuję. Panu się chyba nie tylko zegarek spieszy, ale i kalendarz.
— Dlaczego tak kłamiesz?
— A co, może mi pan powie, że to wcale nie październik, tylko luty?
— Nie, grudzień — powiedziałem i nagle sam w to zwątpiłem. Spojrzałem na gazetę, leżącą przede mną na stoliku. W winiecie stało jak byk: dwudziesty trzeci grudnia.

Pomilczeliśmy chwilę. Miałem nadzieję, że usłyszę teraz „do widzenia", ale Nina nagle spytała:

— Jadł pan kolację?
— Nie pamiętam — powiedziałem ze zdziwieniem.
— Czyli nie jest pan głodny?
— Nie, nie jestem.
— A ja tak.
— To w domu nie ma nic do jedzenia?
— Właśnie — powiedziała Nina. — Wszystko jakby wymiotło. Śmieszne, prawda?
— Nawet nie wiem, jak ci pomóc. Pieniędzy też nie ma?
— Są, ale bardzo mało. Zresztą wszystko już pozamykane. A poza tym, co właściwie można kupić?
— Tak — zgodziłem się — wszystko już pozamykane. Chcesz, to poszukam w lodówce, rozejrzę się, co tam jest?
— Ma pan lodówkę?
— Stara „Arktyka". Znasz ten typ?
— Nie, a jak pan w niej coś znajdzie, to co potem?
— Potem? Potem złapię taksówkę i coś ci przywiozę. A ty zejdziesz do wejścia i otworzysz mi.
— Daleko pan mieszka? Bo ja w zaułku Siwcew Wrażek. Dom nr 15/25.
— Na Mosfilmowskiej. Przy Leninowskich Wzgórzach, za uniwersytetem.
— Znów nie wiem, gdzie to jest. Ale niewazne. Dobrze to pan wymyślił. Dziękuję bardzo. I co tam jest w tej lodówce? Tak sobie tylko pytam, proszę nie myśleć...
— Gdybym to pamiętał... Zaraz przeniosę telefon do kuchni i razem się rozejrzymy.

Poszedłem do kuchni, a przewód ciągnął się za mną jak żmija.

— No, otwieram lodówkę.
— Może pan telefon nosić ze sobą? Nigdy nie słyszałam o takim typie.
— Oczywiście, że mogę. A twój telefon gdzie stoi?
— Na korytarzu. Wisi na ścianie. No, co jest w tej lodówce.
— Znaczy tak... co tu jest w torebce...? E, jajka, nic ciekawego.
— Jajka?
— Acha, kurze. O, chcesz, przyniosę kurę? Nie, ona jest mrożona, francuska, z importu. Zanim ją ugotujesz, umrzesz z głodu. I mama przyjdzie z pracy. Raczej weźmy kiełbasę. Albo nie, lepiej marokańskie sardynki, sześćdziesiąt kopiejek puszka! Do nich pół słoika majonezu. Słyszysz?
— Tak — powiedziała Nina całkiem cicho. — Dlaczego pan tak żartuje? Najpierw chciałam się pośmiać, ale potem zrobiło mi się smutno.
— A to dlaczego? Rzeczywiście tak zgłodniałaś?
— Przecież pan wie!
— Co wiem?
— Wie pan — powiedziała Nina. Chwilę pomilczała i dodała: — A, niech tam! Proszę powiedzieć, czy ma pan kawior?
— Nie, za to mam filety z halibuta.
— Dosyć, wystarczy — powiedziała Nina twardo. — Przestańmy o tym mówić. Już wszystko rozumiem.
— Co rozumiesz?
— Że pan jest głodny. A co u pana widać przez okno?
— Przez okno? Drukarnię. Akurat wpół do dwunastej kończy się zmiana i mnóstwo dziewcząt wychodzi z bramy. I jeszcze widać „Mosfilm", i remizę strażacką, i tor kolejowy. O, akurat jedzie po nim kolejka.
— I to wszystko pan widzi?
— Kolejka, faktycznie, jedzie daleko. Widać tylko sznureczek świateł.
— No, właśnie. Kłamie pan!
— Nie należy tak mówić do starszych. Ja nie mogę kłamać. Mogę się pomylić. A zatem, w czym się pomyliłem?
— Pomylił się pan w tym, że widać pociąg. Jego nie można zobaczyć.
— Czyżby? Zapewne to niewidzialny pociąg, co?
— Nie, widzialny, tylko że okna nie mogą się świecić. Tak! Pan w ogóle nie wyglądał przez okno.
— Dlaczego? Przecież siedzę przy oknie.
— A w kuchni pali się światło?
— Jasne, że się pali. A co, po ciemku miałem grzebać w lodówce? W „Arktyce" nie ma w środku lampki.
— Sam pan widzi. Już trzeci raz pana przyłapałam.
— Nino, miła, wyjaśnij, na czym to mnie przyłapałaś?
— Jeśli pan patrzy przez okno, to odsłonił pan zaciemnienie. A skoro tak, to musiał pan zgasić światło! Zgadza się?
— Nie zgadza się. Na co mi zaciemnienie? Co to, wojna?
— Oj-oj-oj! Jak można tak łgać! A co, może mamy pokój?
— No, oczywiście, rozumiem: Wietnam, Bliski wschód... Ale ja nie o tym.
— Ja też nie o tym... Chwileczkę, czy pan jest inwalidą?
— Na szczęście wszystko mam na miejscu.
— I ma pan broń?
— Jaką broń?
— To dlaczego nie jest pan na froncie?

Dopiero w tym momencie po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że coś tu nie gra. Dziewczynka jakby naigrywała się ze mnie, ale robiła to tak serio i poważnie, że niemal mnie przestraszyła.

— Na jakimż to froncie powinienem być?
— Na całkiem zwyczajnym, tam gdzie wszyscy. Na froncie z Niemcami. Mówię poważnie. Tak jakoś dziwnie pan ze mną rozmawia. A może pan nie zmyśla o tej kurze i jajkach...?
— Nie zmyślam — powiedziałem. — I żadnego frontu nie ma. A może rzeczywiście powinienem do ciebie przyjechać?
— Ja już przestałam żartować — niemal krzyknęła Nina. — I pan niech też przestanie. Na początku to było nawet ciekawe i wesołe, ale teraz zrobiło mi się jakoś nie tak. Przepraszam pana. Pan chyba jednak nie udaje i mówi prawdę.
— Słowo honoru, dziewczyno. Mówię prawdę.
— Jakoś strasznie mi się zrobiło. Piec u nas nie grzeje, mało drewna i ciemno. Tylko „koptiłka". Dziś nie ma prądu. I tak mi się samej nie chce siedzieć. Wszystkie ciepłe rzeczy na siebie włożyłam.

Nagle ostro i jakoś ze złością powtórzyła pytanie:

— Dlaczego nie jest pan na froncie?
— Na jakim ja mogę być froncie? — moim zdaniem żarty zaszły już za daleko. — Jaki może być front w siedemdziesiątym drugim roku?!
— Drwi pan sobie ze mnie?

Jej głos znów zmienił brzmienie, stał się jakiś niedowierzający, maleńki. Przed oczami pojawił mi się niemal zapomniany obrazek. To, co było ze mną trzydzieści albo więcej lat temu. Wtedy też miałem dwanaście lat. W pokoju stał żelazny piecyk zwany „kozą", a ja siedziałem na tapczanie podkuliwszy nogi. Paliła się świeczka, a może to była lampa naftowa? I kura zdawała się być jakimś nierealnym, bajkowym ptakiem, którego jedzą tylko w powieściach... Chociaż nie, wtedy nie myślałem o kurze...

— Dlaczego pan zamilkł? — spytała Nina. — Już lepiej niech pan mówi.
— Nino, który rok teraz mamy?
— Czterdziesty drugi.

I już układały mi się w głowie poszczególne nielogiczności w jej słowach. Nie zna kina „Rosja", jej numer telefonu ma tylko sześć cyfr. I zaciemnienie...

— Nie mylisz się?
— Nie — odpowiada Nina.

Ona wierzyła w to co mówi. Może to jej głos wprowadził mnie w błąd? Może ona wcale nie ma trzynastu lat, ale czterdzieści i zachorowała będąc dziewczynką? Wydaje się jej, że ciągle jest wojna.

— Proszę posłuchać — powiedziałem spokojnie, żeby nie odłożyła słuchawki. — Dziś jest dwudziesty trzeci grudnia 1972 roku. Wojna skończyła się dwadzieścia siedem lat temu. Wiesz o tym?
— Nie.
— Na pewno wiesz. Jest teraz godzina dwunasta... No, jakby ci to wyjaśnić...
— Oczywiście — powiedziała Nina pokornie. — Ja też wiem, że nie przyniesie mi pan kury. Powinnam się była domyślić, że nie może pan mieć kury z Francji.
— Dlaczego?
— Bo we Francji są Niemcy.
— We Francji od dawna nie ma żadnych Niemców. Chyba, że turyści. Ale niemieccy turyści bywają i u nas.
— Jak to? Kto im pozwala?
— A dlaczego by im nie pozwalać?
— Nie chce pan chyba powiedzieć, że fryce nas zwyciężą! Na pewno jest pan po prostu kłamcą. Albo szpiegiem!
— Skąd! Pracuję w RWPG, Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Zajmuję się Węgrami.
— No proszę. Znów pan kłamie. Węgrzy to też faszyści.
— Węgrzy już dawno temu przegnali swoich faszystów. Węgry to państwo socjalistyczne.
— Ojej, a już się bałam, że pan jest rzeczywiście kłamczuchem. A pan to wszystko po prostu wymyśla. Nie, proszę nie zaprzeczać. Niech mi pan lepiej opowie, co będzie potem. Proszę wymyślić cokolwiek, tylko żeby było dobrze. Bardzo proszę! I niech się pan nie gniewa, że byłam taka nieuprzejma. Ja po prostu nie rozumiałam.

W tym momencie przestałem dyskutować. Jak to wyjaśnić? Znów wyobraziłem sobie, jak siedzę w tym samym czterdziestym drugim roku, jak pragnę się dowiedzieć, kiedy nasi wezmą Berlin i powieszą Hitlera. I jeszcze dowiedzieć się, gdzie zgubiłem październikową kartkę na chleb. Powiedziałem:

— Zwyciężymy faszystów dziewiątego maja 1945 roku.
— Niemożliwe. Strasznie długo trzeba jeszcze czekać.
— Słuchaj, Nina i nie przerywaj. Ja wiem lepiej. Berlin weźniemy drugiego maja. Będzie nawet taki medal: „Za zdobycie Berlina". A Hitler popełni samobójstwo. Zażyje truciznę. Da ją też Ewie Braun. A potem esesmani wyniosą ciało na dziedziniec kancelarii Rzeszy, poleją benzyną i podpalą...

Opowiadałem to wszystko nie Ninie. Opowiadałem to sobie. Posłusznie powtarzałem fakty, kiedy Nina nie wierzyła, albo nie rozumiała od razu. Tłumaczyłem, kiedy prosiła o jakieś wyjaśnienie. O mało nie straciłem znowu jej zaufania, kiedy powiedziałem, że Stalin umrze. Ale później znowu zaczęła mi ufać, gdy usłyszała o Juriju Gagarinie i o Nowym Arbacie. Rozśmieszyło ją nawet to, że kobiety będą nosiły rozszerzane spodnie i całkiem krótkie sukienki. Wspomniałem jej też o tym, kiedy nasi przejdą granicę z Prusami. Straciłem poczucie rzeczywistości. Dziewczynka Nina i chłopiec Wadik siedzieli przede mną i słuchali. Tylko że oni byli głodni jak diabli. I sprawy Wadika miały się gorzej niż Niny: on zgubił swoją kartkę na chleb i do końca miesiąca przyjdzie im z matką żyć z jednej, jej kartki. Zwykłej robotniczej kartki. Wadik zgubił swoją gdzieś na podwórzu i nawet po piętnastu latach, gdy nagle przypomniał sobie, jak to było, wciąż od nowa złościł się, bo kartkę można było znaleźć w ciągu jednego dnia: upadła koło okienka do piwnicy, kiedy rzu-

Rys. Zenona Pionk

cił palto na kratę, chcąc pograć w piłkę. Gdy Nina zmęczyła się już słuchaniem tego, co uważała za dobrą bajkę, spytałem:

— Znasz Pietrowkę?

— Znam. A co, przebudują ją?

— Nie, ja tak tylko... — po czym opowiedziałem jej, jak wejść przez bramę na podwórze, gdzie w głębi jest okienko do piwnicy zakryte żelazną kratą. Jeśli to jest październik czterdziestego drugiego roku, środek miesiąca, to koło okienka z całą pewnością leży kartka na chleb. Tam w podwórzu chłopcy grali w piłkę i jeden z nich kartkę zgubił.

— To okropne — powiedziała Nina. — Ja bym tego nie przeżyła. Trzeba kartkę oddać. Niech pan to zrobi.

Ją też wciągnęła ta gra. Poczucie rzeczywistości gdzieś się zgubiło i już ani ona, ani ja nie wiedzieliśmy, w którym roku żyjemy. Byliśmy jakby poza czasem, bliżej jednak jej czterdziestego drugiego roku.

— Nie mogę tam pójść i znaleźć kartki — powiedziałem. — Od tego czasu minęło już wiele lat. Ale jeśli będziesz mogła tam zajść... piwnica powinna być otwarta, a jeśli nie, w ostateczności powiesz, że to ty ją zgubiłaś...

W tym momencie połączenie przerwano.

Niny nie było. Coś w słuchawce zatrzeszczało i kobiecy głos spytał:

— Czy 143-18-15? Łączę z Ordżonskidze.

— Pomyliła pani numer.

— Przepraszam — obojętnie powiedziała telefonistka.

Odezwał się przerywany sygnał.

Nie od razu wykręciłem numer Niny. Powinienem się był jakoś usprawiedliwić, pośmiać z dziewczynką, że wysłuchała tylu bzdur...

— Tak? — usłyszałem głos Niny. Drugiej Niny.

— To ty? — spytałem.

— A, to ty Wadim? Nie śpisz jeszcze?

— Przepraszam — powiedziałem — potrzebna mi inna Nina.

— Co?!

Odłożyłem słuchawkę i znowu wykręciłem numer.

— Zwariowałeś? — spytała Nina — a może piłeś?

— Przepraszam — powiedziałem i znów odłożyłem słuchawkę.

Nie było sensu dzwonić dalej. Telefon z Ordżonskidze wszystko ustawił na swoich miejscach. A jaki właściwie był jej telefon? Arbat — trzy —. nie, Arbat — jeden — trzydzieści dwa — trzydzieści... nie, czterdzieści...

Dorosła Nina zadzwoniła do mnie sama.

— Przez cały wieczór siedziałam w domu — powiedziała. — Myślałam, że zadzwonisz, wytłumaczysz swoje wczorajsze zachowanie? Ale tyś, zdaje się, całkiem zwariował!

— Pewnie tak — zgodziłem się. Nie miałem ochoty opowiadać jej o długich rozmowach z inną Niną.

— A co to za inna Nina? Czy to wzór dla mnie? Chcesz powiedzieć, wolałbyś, zobaczyć mnie inną?

— Dobranoc Nineczko. Jutro ci wszystko wyjaśnię.

Najciekawsze jest to, że ta dziwna historia miała niemniej dziwny koniec. Następnego dnia rano pojechałem do mamy. Powiedziałem, że uporządkuje antresolę. Od trzech lat obiecywałem to zrobić. Wiedziałem, że mama niczego nie wyrzuca, no: „Wszystko może się jeszcze przydać." Przez półtorej godziny kopałem w starych czasopismach, podręcznikach i przeróżnych szpargałach. W końcu trafiłem na książkę telefoniczną z 1950 r. Książka spuchła od powtykanych w nią notatek i założonych karteczkami stron o postrzępionych i pozaginanych rogach. Była ona tak często używana, że dziwiłem się, jak mogłem w ogóle o niej zapomnieć. Gdyby nie rozmowa z Niną, nigdy nie przypomniałbym sobie nawet o jej istnieniu. Zrobiło mi się trochę wstyd, jakbym wierny, wysłużony garnitur oddawał na szmaty handlarzowi starzyzną.

Cztery pierwsze cyfry były znane: G-1-33. I jeszcze wiedziałem, że telefon (jeśli żadne z nas nie udawało i nikt ze mnie nie zażartował) był zainstalowany w zaułku Siwcew Wrażek w domu nr 15/23. Właściwie nie było żadnych szans na odnalezienie tego telefonu.

Zabrałem z łazienki taboret i usiadłem z książką na korytarzu. Mama nic nie rozumiała, tylko przechodząc obok uśmiechnęła się i powiedziała:

— Ty zawsze tak. Zaczynasz porządkować książki, a po dziesięciu minutach pogrążasz się w lekturze i koniec ze sprzątaniem.

Dopiero by się zdziwiła, gdyby wiedziała, że czytam książkę telefoniczną.

Znalazłem telefon Niny. Dwadzieścia lat temu znajdował się w tym samym mieszkaniu, co w czterdziestym drugim. Zapisany był pod nazwiskiem Frołow K. G.

Zgoda. Zajmowałem się bzdurami. Szukałem tego, czego nie mogło być, ale jestem pewien, że co najmniej dziesięć procent zupełnie normalnych ludzi, znalazłszy się na moim miejscu, zrobiłoby to samo. Pojechałem na Siwcew Wrażek.

Ściemniało się już. W nowej dzielnicy, wśród zbudowanych z wielkiej płyty, jednakowych domów, hulała zamieć. W standardowym, jednopiętrowym pawilonie handlowym sprzedawali francuskie kurczaki w oszronionych przezroczystych opakowaniach. Przyszedł mi do głowy pomysł, żeby kupić jednego i przynieść, jak obiecałem, choć z dwudziestoletnim opóźnieniem. Ale nie kupiłem i jak się okazało — słusznie, bo w mieszkaniu nikogo nie było. Choć dzwonek rozlegał się głośno, nikt nie otwierał. Domyśliłem się, że nikt tam nie mieszka. Wyjechali.

Chciałem już odejść, ale skoro przeszedłem już taki kawał drogi, postanowiłem zadzwonić do drzwi obok.

— Przepraszam, chciałem tylko zapytać, czy Nina Siergiejewna mieszka tu obok?

Chłopiec w podkoszulce z parującym kubkiem w ręce odparł spokojnie:

— Oni wyjechali.

— Dokąd?

— Już miesiąc, jak pojechali na północ. Wrócą dopiero na wiosnę. I Nina Siergiejewna i jej mąż.

Przeprosiłem i zacząłem schodzić po schodach. Myślałem, że w Moskwie mieszka na pewno niejedna Nina Siergiejewna Frołowa, urodzona w 1930 roku.

Nagle drzwi z tyłu znów się otworzyły.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział ten sam chłopiec — Mama chciała panu coś powiedzieć.

W drzwiach pojawiła się matka wycierając ręce w fartuch.

— Kim pan jest dla niej?

— Po prostu znajomy.

— Czy może Wadim Nikołajewicz?

— Zgadza się, Wadim Nikołajewicz.

— No właśnie, — ucieszyła się kobieta. — O mało pana nie przeoczyłam. Ona by mi tego nigdy nie darowała. Nina tak mi powiedziała: „Nie przebaczę". I kartkę na drzwiach przypięła. Tylko że na pewno dzieci zerwały. Już miesiąc minął. Ona powiedziała, że pan przyjdzie w grudniu. Mówiła nawet, że do tego czasu postara się wrócić, ale to przecież tak daleko...

Kobieta stała w drzwiach, patrzyła na mnie, słowem, czekała, że wyjaśnię jakąś tajemnicę, opowiem o nieszczęśliwej miłości. Na pewno pytała Ninę: „Kim on jest dla ciebie?" I Nina też powiedziała: „Po prostu, znajomy."

Kobieta poczekała jeszcze chwilę, po czym wyjęła z kieszeni fartucha list.

Wiem na pewno, że pan nie przyjdzie. W końcu jak można wierzyć dziewczęcym rojeniom, które mnie również wydają się tylko rojeniami. Ale przecież kartka na chleb — była w tym miejscu, o którym zdążył mi pan powiedzieć..."

Pierwodruk: „Smena" nr 3, luty 1973.

* Telefony rosyjskie na tarczy numerowej oprócz cyfr mają litery.

Tłumaczyli:
EWA i DARIUSZ MILERSCY

W kręgu fantastyki

Blaski i nędze Science Fiction (1)

Tako rzecze Stanisław Lem

Słowo „blaski" — przyznajmy to otwarcie — użyte zostało w nadtytule ze świadomą przesadą. Science Fiction (pisane raz z dużych, raz z małych liter, za Lemem, którego będę gęsto przytaczał, wybieram formę pierwszą, lecz w innych cytatach trafi się i ta druga, poniekąd skromniejsza) acz chętnie powołuje się na wspaniałych protoplastów i wiele obiecujące nowożytne początki, z biegiem lat stała się bowiem literaturą swoistego getta i do bezspornych blasków zaliczyć może jedno tylko: stałą, a nawet wciąż wzrastającą poczytność.

1 Vera Graaf w książeczce „Homo futurus" pisanej jako studium w Instytucie Ameryki Uniwersytetu Monachijskiego (wydanie polskie PIW — 1975) powołując się na dane z 1960 roku liczbę zapalonych „połykaczy" SF określa na pół miliona Amerykanów, co stanowiłoby wprawdzie zaledwie 0,3 proc. tamtejszej społeczności, lecz dalsza informacja, że są to najczęściej aktywni zawodowo mężczyźni o względnie wysokim poziomie wykształcenia i zainteresowaniach technicznych, czyni rachunek bardziej znaczącym. W Polsce, przy braku specjalistycznych magazynów i małej konkurencyjności ukazujących się tytułów, nie ma — co do sprawdzenia — tak złej, nieudanej i nieporadnej książki z dziedziny fantastyki, która przy nakładach od 20 do 50 tys. egzemplarzy nie zniknęłaby natychmiast z księgarskich półek, a rynek wciąż i wciąż woła o więcej i nikt chyba nie wie, ile mógłby naprawdę wchłonąć.

Fakty trzeba uznawać, jest zaś faktem, że Science Fiction istnieje jako przedmiot masowej konsumpcji, forma kultury masowej, budząc zainteresowanie wyspecjalizowanych krytyków i socjologów, wszelako istnieje niejako „inaczej" aniżeli reszta literatury. W tej materii będę chciał jednak oddać głos Stanisławowi Lemowi, który jako krytyk i teoretyk budzi we mnie o tyle większe zaufanie niż inni, że jest również — czy raczej: przede wszystkim — wybornym praktykiem i światowej sławy autorem. Wprzódy jednak cofnijmy się choć na moment do owych „wspaniałych protoplastów", których przywołałem już na wstępie.

2 *„Szwajcarski krytyk Pierre Versins* — pisze Vera Graaf — *próbuje prześledzić dzieje science fiction od czasów przedhistorycznych: od anonimowych egipskich utworów (2000 p.n.e.) przez „Gilgamesza" (pierwsze opracowanie ok. 1800 p.n.e.) dochodzi Versins w swojej sporządzonej na berneńską wystawę science fiction (1967) „Tableau chronologique" do „Odyssei" (ok. 800 p.n.e.) i „Politei" Platona (427 — 347 p.n.e.) Z tym, że dalszą stacją w historii science fiction Versinsa jest „Varia historia" Lukiana z Samosaty (180 n.e.) zgadzają się już inni krytycy science fiction, tacy jak Bruce Franklin, Kingsley Amis i Sam Moskowitz. Inni autorzy są zdania, iż science fiction zaczęła się od „Nowej Atlantydy" („New Atlantis", pośmiertnie 1627) Franciszka Bacona (Hillegas), inni znowu twierdzą, że już Cyrano de Bergerac, opisując podróż na księżyc, pisał w duchu science fiction".*

Dalej też będą padać niezłe nazwiska: Tomasz Morus z „Utopią" (1516), Jonatan Swift z „Podróżami Guliwera" (1726), Juliusz Verne, Edgar Allan Poe — ten mógłby patronować podgatunkowi zwanemu „Horror-Stories" — wreszcie wsławiony choćby tylko „Wojną światów" Herbert George Wells.

Wells, bardziej niż Verne — choć wszelkie cezury stawiać tu trzeba z dużą ostrożnością — otwiera fantastyki czasy nowożytne. Po nim liczba autorów zacznie się gwałtownie mnożyć. Z głośniejszych wymieńmy odwołującego się do ponurych mitów i magii amerykańskiego pisarza H. P. Lovecrafta, Karela Czapka z „Inwazją jaszczurów", Aldousa Huxleya („Nowy wspaniały świat"), czy Michaila Bułhakowa. Kto się uprze bez krzty narodowej megalomanii może dorzucić kolejne — po Bułhakowie — nazwisko najwyraźniej pani Graaf nie znane; myślę o Jerzym Żuławskim i jego wydanej w latach 1903 — 1911 „Księżycowej trylogii" („Na srebrnym globie", „Zwycięzca", „Stara ziemia"), jest to bowiem literatura niewątpliwie zasobniejsza myślowo i głębsza aniżeli — powiedzmy — o parę lat późniejsze marsjańskie powieści Amerykanina Edgara Rice Burroughsa.

3 W miarę rozrostu ilościowego Science Fiction i zdobywania przez ten typ literatury czytelniczego rynku, rośnie i zainteresowanie samym gatunkiem. Przeglądając wcale uczoną książkę Andrzeja Zgorzelskiego „Fantastyka. Utopia. Science fiction" (Warszawa 1980 — Państwowe Wydawnictwo Naukowe) zerknąłem na bibliografię; otóż opracowań dotyczących prozy „fantastycznej" wymienia autor blisko 120, są tu artykuły, lecz są i solidne książki, jak choćby dwutomowa „Fantastyka i futurologia" Stanisława Lema, którą rad bym cytować całymi garściami, lecz tych 750 stron gęstego druku tygodnik i w rok nie przełknie.

We wstępie do książki Lem podejmuje wszelako polemikę ze strukturalizmem jako szkołą krytyki; szkołą — dodajmy — w odniesieniu do literatury SF tak rozpowszechnioną, że niemalże obowiązującą.

„*Struktury dzieł warto badać* — pisze Lem. — *Są to twory szkieletowe, tak niezbędne dla organizacji dzieła, jak żebra, kręgi i piszczele naszych przyjaciół są konstytuantami ich cielesnego bytowania, bo wszak ponad wątpliwość wszyscy pospołu jesteśmy kręgowcami. Jak jednak różnice szkieletów nie stanowią o różnicach osób, tak jest i ze strukturami dzieł. Książki nie mogą bez nich ani powstawać, ani żyć, lecz nie tym kręgom i żebrowaniom, jakie w nich wykrywa dumnie strukturalista, zawdzięczają* i n d y w i d u a l n o ś ć *swej urody. Powiada się przecież (zapewne — z przesadą), że wartość dzieła sztuki tkwi w całości różnic dzielących je od wszystkich dzieł innych. Mówię o tym z czysto praktycznego doświadczenia, albowiem sekcja strukturalistyczna wykrywa to co wspólne utworom pewnego gatunku, tutaj — fantastycznym. To jednak, co odróżnia teksty wartościowe od lichych, ulega przy niej łatwo przeoczeniu. Znaczy to, że dla metody strukturalistycznej wszystkie dzieła jednego gatunku są* d o s y ć *podobne — jak właśnie dla anatoma podobne są wszystkie kośćce jednego gatunku zwierząt".*

Tu urwijmy, niepokoje Lema zdają się być bowiem nie tylko zasadne, ale i wyłożone dostatecznie jasno. Pewno że można zwalić sobie na stół stosy fantastyki — koniec końców przez lata i w Polsce wydano tego sporo — badając ilu autorów i na jaki sposób ludzkość unicestwia, ilu zaś wieści jej zwycięską ekspansję na naszą, a nawet i sąsiednie galaktyki. Tyle tylko, że rejestrując wspólne dla jednych lęki, zaś dla innych wspólne nadzieje, nie postawimy nawet pytania, które z książek napisane zostały nędznie, a które wnoszą jakiś ton indywidualny, co ewentualnie warto przeczytać, a co należałoby odrzucić, gdzie tlą się jakieś ambicje, a gdzie nawet rzemieślniczej sprawności zabrakło.

Poletko SF jest poletkiem nigdy nie odchwaszczanym, co znajdzie uznanie wydawcy i trafi na rynek — znika z niego bez śladu, najczęściej również bez jakiejkolwiek recenzyjnej wzmianki, choć zdarza się, że i jęk rozpaczy byłby reakcją o wiele zbyt łagodną...

Dlatego — choć nie godzi się obiecywać zbyt wiele, gdy gromadzimy dopiero siły i środki, szukamy autorów i współpracowników — chcielibyśmy w przyszłości poświęcić nieco miejsca fantastyce, wprowadzić jakieś króciutkie, lecz w miarę regularne omówienia nowych pozycji, publikować tłumaczenia możliwie interesującej prozy, udostępnić łamy debiutantom, no, co się tam uda... Wiemy, że nie jest to takie zupełnie proste, zwłaszcza jeżeli będziemy się starali ustawiać poprzeczkę na godziwej wysokości, ale spróbować chyba warto.

4 Miarę ryzyka niechaj nam uzmysłowi Lem, sprawa „sprostytuowania się", upadku literatury SF musiała go bowiem tego trapić, skoro jeszcze przed wydaniem „Fantastyki i futurologii", w przedmowie do „Torpedy czasu" Antoniego Słonimskiego (Warszawa 1966, cytuję za tomem „Rozprawy i szkice", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975) pisał tak oto:

„Nieraz już szukałem sposobu przedstawienia życiorysu Science Fiction i zawsze okazywało się, że czyste literackie kryteria nie wystarczają. Może należałoby opisać jej koleje językiem rozumiejącym światłego psychologa, który bez skandalizowania, ale i bez czułostkowości, ukazuje to, co się w wieku XIX nazywało upadkiem porządnej kobiety.

Historia literatury, podobnie jak kronika towarzyska, pewne sprawy okrywa dokładnym milczeniem. W wielkiej „Literary History of the United States" (Mc Millian Company, New York, 1515 stron, 59 autorów, 6 redaktorów) — której ostatnie z roku 1964 wydanie leży na moim biurku — na próżno by szukać w rzeczowym indeksie nazwy Science Fiction. W spisie omawianych autorów (56 szpalt najdrobniejszej czcionki) nie ma ani jednego nazwiska pisarza tego gatunku — z wyjątkiem H. G. Wellsa, zacytowanego zresztą w związku z jego „pozafantastyczną" działalnością. Są jednak w tym tomie wymienieni pisarze i pisarki, których oprócz historyka ze stopniem uniwersyteckim nie zna nikt — postaci czwartorzędne, ale z „dobrego towarzystwa".

Zarazem obecności Science Fiction na rynku książkowym USA nie dostrzec niepodobna. Książki te wychodzą w masowych nakładach, w takiej ilości, że wszystkich nie przeczyta nawet maniak rakietowy, zaprzysiężony gwiazdoman. Należy do nich doliczyć dwakroć tyle utworów w magazynach i publikacjach specjalnych. Piszą te utwory setki ludzi, setki mózgów wytłaczają z siebie do ostatniego atomu pomysłowość, kulminującą w stwarzaniu wizji najbardziej groteskowych, szokujących, dramatycznych — czy sama liczba w tym trudzie mrówczym zaangażowanych nie powinna gwarantować, że choć część owych dzieł godna jest wstępu do „Literary History of the United States"? Byłożby milczenie jej tylko wynikiem uniwersyteckiego zarozumialstwa, lekceważącej nonszalancji profesjonałów, kiperstwa akademickiego, zakamieniałego w konserwatyzmie, ślepego na wartości gatunku, który jest — jak głoszą jego wyznawcy — solą nowoczesności, prawdziwym lustrem przemian naszego świata?

Obawiam się, że nie problem „zlokalizowania winy" należy badać, lecz tylko w miarę pouczających, w miarę żałosnych losów owej literackiej istoty, co — choćby w dziełach Wellsa — tak świetnie się przecież na przełomie wieków zapowiadała.

Otóż zdarzyło się ze Science Fiction — nie w jednym miejscu i czasie, lecz to klęski nie umniejsza — szereg niedobrych rzeczy, które jej życie złamały. Ona sama nie bardzo nawet, zauważmy, zdaje sobie z nich sprawę — tym gorzej dla niej.

Zapadła mianowicie — prawie już u początków — na dwuznaczną rozrywkowość, a gdy zaczęła się podobać, dostała olbrzymich nakładów; powodzenie zaszkodziło jej reputacji, lecz brnęła nadal — puściła się z powieścią kryminalną, aż wreszcie wylądowała w brukowych magazynach, gdyż okazała się niezwykle „chodliwym" towarem.

Aby — przed zstąpieniem w ślad za Science Fiction do podejrzanych jej przybytków — jeszcze przez chwilę ogarnąć rzecz z ptasiej perspektywy, to, w jaki sposób poszczególne gatunki literackie zdobywają sobie rangę w hierarchii całej literatury, jest, przyznajmy, sprawą tyleż ciekawą, co niejasną. Kiedyś powieść była gatunkiem literackim o wiele „gorszym" od poezji i na miano „epiki" mógł sobie zasłużyć poemat, ale nie jakaś historia opisująca prozą perypetie codzienności. Dramat, dzięki dobremu greckiemu pochodzeniu, jako szlachetnie urodzony, nigdy nie grał roli arywisty — lecz na przykładzie powieści daje się badać kariera wywodząca z nizin, pięcie się wzwyż, które własnym, olbrzymim wysiłkiem zdobywa sobie wreszcie szacunek powszechny. Gdy jednak koryta poszczególnych gatunków w ocenie społecznej definitywnie zastygną, utwór, powstający wewnątrz jednego z nich, jeśli to jest gatunek choć trochę podejrzanej konduity, nie może nobilitować niczego prócz siebie, innymi słowy: „Zbrodnia i kara" nie jest uważana za znakomitą powieść kryminalną, ponieważ ramy naszej klasyfikacji takiego ustalenia nie dopuszczają. Dostojewski w obrębie „powieściowej kryminalistyki" się nie zmieścił, przekroczył granicę — lecz uczynił to we własnym, a nie gatunku imieniu. Gdy zatem „gatunkowo" utwór nawet daje się zaklasyfikować do „kryminałów", jak książki Chestertona, ale gdy zarazem go cenimy, natychmiastową decyzją konstatuje się, że „kryminalność" jego (albo w innym wypadku „romansowość" (jest tylko p r e t e k s t e m, *udaniem autorskim, dowodem pisarskiego wyrafinowania subtelnego, lecz nie — rozpusty. W ten sposób gatunek nadal zachowuje znamiona podejrzanego prowadzenia się, a książkę ocalmy dla „prawdziwej literatury". I wilk jest syty, i owca cała.*

Z biegiem czasu jednak przekroczyć książce — najlepszej nawet — granicę gatunkowego getta staje się coraz trudniej. (...)

5 W tym miejscu przerwę. Lem mówi o gatunkowym getcie, z którego trudno książce się wyrwać, jest wszakże jednocześnie i tak, że czytelnikowi nie obeznanemu z fantastyką z biegiem lat coraz trudniej w owo getto się zapuścić. W pierwocinach SF kolejni autorzy ustalali jak gdyby parametry kreowanego świata, objaśniając — z pewnym naukowym prawdopodobieństwem, lub bez prawdopodobieństwa — dosłownie wszystko, nawet zasadę działania „wehikułu czasu".

Potem stało się to nudne, pomysły zaczęły przechodzić z rąk do rąk, „szybkość podświetlna", „bariera siłowa", „trzy prawa robotyki" (tu akurat wiadomo, że sprokurował je Asimov) — to terminy stanowiące własność powszechną, znane świetnie nałogowcom, jednak już nie profanom, którzy stają wobec nich bezradni. W ten sposób literatura „masowa" stała się na swój sposób elitarna, kto bowiem chce swobodnie przeczytać tysiąc pierwszą książkę SF, powinien znać przynajmniej sto z poprzedniego tysiąca. Zadziwiające, ale jednak prawdziwe!

JERZY PANASEWICZ

„Uznania trza mieć kapkę...”

DARIUSZ DOROZYŃSKI

Z międzynarodowej E-16 skręcić trzeba w lewo jakieś cztery kilometry za Ozorkowem. Kolejowa rogatka niestrzeżona, ale i tak zwolnić trzeba do minimum, bo przejazd przypomina czynną katapultę (europejski patent to właśnie nasze skrzyżowania ze szlakami PKP...) Parę minut jazdy wygodnym asfaltowym duktem i zza rowu błyska tablica „Solca Wielka”. Zwalniam, mijając porządne, murowane chałupy po obu stronach. Gdzieś trzeba zasięgnąć języka.

— Nie wiesz gdzie mieszka pan Janicki? — pytam śmigającą na rowerze za rowem może 8—9-letnią dziewczynkę.

— Ten strażak? A pewnie że wiem, o, tam, w tym domu przy kościele — odkrzykuje mała i już jej nie ma...

— E, daj pan spokój, ja już za stary do gazety — śmieje się *Stanisław Janicki*, ogorzały, silny i krzepki jeszcze, choć na karku siedem i pół krzyżyka. Ale też życiorys bogaty jakich mało i nic dziwnego, że znają go w okolicy wszyscy. Śmieją się tylko z uznaniem, że niewiele mu już funkcji pozostało do objęcia: radny w Solcy od początku powstania gminnych rad narodowych, członek ZSL od 1948 roku (prezes GK ZSL przez kilka kadencji), działacz Zarządu Gminnego LOK, społeczny kurator sądowy, zasiada także w prezydium lokalnego Komitetu Odrodzenia Narodowego, lata całe naczelnik i komendant gminny OSP. Na kombatanckim mundurze kilkanaście odznaczeń i medali. Na jednym m. in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyże Zasługi (do Złotego włącznie), Krzyż Partyzancki, Medal za Warszawę, a obok wiele strażackich odznak i wyróżnień, z „najmłodszym”, Złotym Znakiem Związku, który jest najwyższym dowodem uznania dla każdego ochotnika. Bo też sikawki i srebrne hełmy umiłował Janicki szczególnie...

— Straż w Solcy powstała w dwudziestym piątym roku — zaczyna swą opowieść — było wtedy kilku zapaleńców, którym się marzyła własna, wioskowa sikawka, jako że najbliżej to strażaki stacjonowali w Ozorkowie. Pomógł nam bardzo ówczesny nasz proboszcz, ksiądz Gostkowski, namiętny myśliwy. Eh, ten lubił polować; pamiętam tylko duchowną sukienkę podwiązywał i ze strzelbą się po okolicznych polach uganiał za zającami. Jak to było w zwyczaju, za takie myśliwstwo płacił potem gospodarzom, na których polach coś ustrzelił. To i którymś razem kilku z nich zadecydowało, by pieniądze przeznaczyć na zakup pompy, a nie wszystko przepić. Ksiądz podchwycił żywo ten pomysł, a oponentów, bo i takich nie brakowało, przekonał ostatecznie, gdy dodał, że na wódkę osobno ze swej kiesy dorzuci. A straż musi być...

— Ja tam miałem wtedy osiemnaście lat, ale swoje trzy grosze też dołożyłem, no i koniec końców kupiliśmy tę ręczną sikawkę, trochę hełmów, pasy. Wieś była duża, ponad 80 gospodarstw, toteż zaraz na początku było ze trzydziestu ochotników, a pierwszym komendantem został Górka Ignacy. Naczelnikiem, tak wypadało, wybraliśmy Wilskiego, miejscowego dziedzica z majątku we Wróblewie, ale to taki figurant był tylko. Z pompą to już byliśmy strażą całą gębą, szkoda tylko, że gospodarz, u którego jeszcze po wojnie była ona przechowywana, cichcem ją sprzedał, dzisiaj byłaby piękna pamiątka...

— No pewnie, potem zamarzyła się nam remiza. Ze zbiórek, różnych zabaw, majówek zebrało się znowu trochę grosza i w trzydziestym drugim sami zbudowaliśmy remizę, taką małą, bez porządnych fundamentów nawet, ale jeszcze dzisiaj stoi.

— Czy się paliło? Jeszcze jak często! Bywało i trzy, cztery pożary w ciągu dnia. Przyczyn było wiele, ale nie brakowało i świadomych podpaleń. Odszkodowania były wielkie, nie to co dziś, to i jeden z drugim zostawiali świeczkę w stodole ze słomą i jechali na targ do Łęczycy. A z odszkodowania to jeszcze potem miał na murowane obejście i posag dla córki...

— Jeździło się rzecz jasna końmi, były we wsi wyznaczone takie 3—4 pary do naszego pożarniczego wozu, sikawkę się zakładało na niego i jazda, galopem. Jeździło się do czterech kilometrów, nie dalej, jak to mówią — „na dym”! „na ogień”. No pewnie, trudno się było skrzyknąć, telefonów nie było, bo i światła nie było. Kto uwidział dym w okolicy to walił w takie gongi na chałupach, syrenę mieliśmy też taką ręczną, kręconą, ale co to — 200 metrów było ją raptem słychać. Jeszcze jak konie trzeba było z pola ściągać, to często nie było już co ratować, jak żeśmy dojechali na miejsce. Ale się chociaż sąsiadów ocaliło. Tak było pamiętam na Janowie, u Czaplińskiego, od pioruna się zaczęło; to już jeno domy obok polewaliśmy, by się ogień nie przeniósł. Ale rodzina mu pomogła, szybko się odbudował.

— Olbrzymi był też pożar, chyba w trzydziestym szóstym na plebanii tu, obok. Coś tam komin zdaje się szwankował i zapaliło się na strychu. Duży budynek cały drewniany a było to letnią porą, ale i tak udało się nam dół uratować, jeno dach spłonął. Ale też nasza remiza była blisko, a w sąsiedztwie dwa stawy, to i wody nie brakowało.

— Tak, w Ozorkowie straż była wcześniej, oni chyba 85 lat istnienia obchodzili, w Łęczycy — jeszcze starszą, ale to 13 kilometrów od nas, to kto by tam do pożaru wtedy zdążył końmi. Myśmy się opiekowali jeszcze wsiami: Borszyn, Solca Mała, Wróblew, Janów, Cedrowice najdalej.

— Jak już nam tak dobrze szło, tośmy zaczęli przemyśliwać o orkiestrze, bo co to za straż co nie ma własnej kapeli. No i zaczęliśmy, chyba w trzydziestym piątym, bodaj piętnastu nas było. Robiłem już wtedy w drogach (Państwowy Zarząd Dróg powiatu Łęczyckiego) to i stać mnie było i kupiłem sobie trąbkę. Ano jak — grało się na weselach, chrzcinach i pogrzebach, nie mówiąc o naszych zabawach. Pamiętam, poszliśmy też kiedyś grać na imieninach dziedzica, tego Wilskiego, Stefan mu było. Sknera był straszny. Tu gości pełno, duchowni się zjechali, jego kolegi-dziedzice, a on nawet żadnego poczęstunku nie postawił. Ot, rzucił nam z łaski 5 złotych z werandy, a przecie 4 złote litr wódki kosztowali! Tośmy powiedzieli sobie: więcej tam nie idziemy. I na drugi rok poszliśmy grać do takiego Odwika, też Stefana, co to miał duży sklep w Solcy (a mieliśmy wtedy we wsi trzy sklepy...) Ten elegancko, od razu litra postawił, potem drugiego, my gramy jak się patrzy, aż tu widzimy, — dziedzic przysłał syna, taki z osiemnaście lat miał. Ten kupił na miejscu litra i powiada że w imieniu ojca na majątek nas, strażaków zaprasza. No i tata wtedy rzeczywiście się postawił: butelki z winem jeno zmieniali, ale chyba zakrapiane spirytusem było, bo do domu to niewielu z nas trafiło. Zakończyć grania już nie miał kto, a większość po drodze „poległa”...

— Oj, wesołe to były czasy, wesołe, te zabawy to niektóre jeszcze długo spamiętam. Choćby u Kaźmieraka, wtenczas prezesem u nas był; duże gospodarstwo, ze 40 mórg, wielki ogród. To jak się zaczęli w pewnej chwili bić, to bufetowy tylko forsę ratował. Nikt nikogo nie bronił, nawet nas — strażaków nikt nie słuchał. Kto dostał — to dostał, sądu potem żaden nie szukał. Ale walili się tęgo, pamiętam jeden to przeciwnikowi prawie cały nos odgryzł...

— Tak, ale po mojej jednostce z tamtych czasów nie pozostały żadne pamiątki — Janicki zasępia się. Jedyny wyjątek to zdjęcie z 1936 roku, na którym uwieczniona została orkiestra z Solcy przebywająca z pielgrzymką w Częstochowie. — O, ten na dole, ten szczuplak w pierwszym rzędzie to ja — wskazuje na fotkę mój rozmówca. — A z moich kolegów, założycieli straży to żyje do dziś tylko jeden — Walczak Stanisław.

Nadszedł rok 1939. Janicki, wówczas już mąż i ojciec (najstarszy syn i córka urodzili się przed wojną, druga parka — po wyzwoleniu) bez wahania wyrusza 6.IX. jako ochotnik na pomoc Warszawie. Dociera z paroma kolegami po dwóch dniach do stolicy, a jako instruktor PW zostaje dowódcą plutonu w batalionach obrony miasta. Ratuje zasypanych w ruinach domów ludzi, bierze udział w gaszeniu pożarów, przeżywa wszystkie cierpienia ginącego miasta do 29 września włącznie. Później udaje mu się wrócić, posługując się podrobionymi dokumentami, do rodzinnej Solcy, do pracy w swej firmie w Łęczycy, już pod nadzorem niemieckim. Szybko też rozpoczyna się konspiracyjny okres jego życia. W ruchu oporu ma ważne atuty — pracuje, posiada pewne dokumenty, jest drogowcem i z opaską na rękawie wolno mu jeździć do pracy rowerem. A po drodze mija lotnisko w Leźnicy, nie mówiąc o możliwościach kontaktowania się z wieloma osobami w okolicznych miejscowościach. Zaczyna się od kolportażu podziemnej prasy, przerzutów wiadomości, meldunków, rozkazów. „Wiktor”, bo tak zwie się dla potrzeb konspiracji pełni funkcję komendanta ZWZ, wkrótce AK, w gminie Tkaczew. Ma swoje „wtyczki” w urzędzie gminy, dzięki czemu docierają do niego na bieżąco informacje od zatrudnionych tam Polaków o planowanych przez Niemców wysiedleniach, poszukiwaniach; może zdobyć lewe dokumenty, kartki na żywność dla rodaków itd. Zimą otrzymuje dodatkową funkcję — nadzoruje odśnieżanie dróg w rejonie lotniska, Łęczycy i Ozorkowa, co pozwala prowadzić mu jeszcze bardziej aktywną działalność. Ilu ludzi uratował przed niechybną śmiercią, obozem, wysiedleniem, aresztowaniem? Takich „szczegółów” nie pamięta. Były ich dziesiątki i byłoby zapewne więcej, ale nadeszła wiosna 1942 roku...

— Zaczęły się w naszej okolicy niespodziewane aresztowania — wspomina. — Rychło okazało się, że wpadł na spalonym punkcie w Łodzi kurier, który znał wielu z nas. Niestety, był miękki — szybko zaczął sypać. Ostrzegano mnie, żebym wiał, miałem już wtedy przygotowane dokumenty na nazwisko Kurpiński i w każdej chwili mogłem zniknąć. Ale mój komendant — „Maciejowski” przekonywał mnie, że właśnie teraz jestem w tak nadwerężonej siatce potrzebny. W domu nie sypiałem, poprosiłem też o przeniesienie mnie ze względu na zły stan zdrowia do pracy na stacji w Ozorkowie. Tam, nadzorując wyładunek materiałów do robót drogowych, miałem oko na wszystkie przejeżdżające samochody niemieckie. Były to czasy, gdy zasiedlano Niemcami na dobre wszystkie wsie w okolicy, bauerów przybywało z każdym dniem, a na dworcu tego fatalnego dnia odbierano akurat nawozy. Nie zwróciłem uwagi na prywatny samochód z cywilami w środku. Dopiero, gdy zobaczyłem w oknie twarz kuriera, wskazującego na mnie palcem — zrozumiałem co się święci. Skoczyło do mnie dwóch z automatami, ja — w nogi między furmanki, wzdłuż torów. Prulі za mną, całą marynarkę miałem postrzelaną. Im uciekłem, ale już na uliczkach Ozorkowa złapał mnie taki miejscowy konfident, Świderski się zwał. Byłem już zmęczony, on — wielkie chłopisko; jak mnie potem dopadli i zaczęli tłuc kawałkami leżącej na ziemi „kostki” — szybko straciłem przytomność.

— W Łodzi Gestapo przesłuchiwało mnie ponad 8 dni i nocy bez przerwy. Pytali o wielu, m. in. o Michalskiego Felka ps. Orkan, a nawiasem mówiąc przesłuchiwał nas.. jego własny kapral z 37 pułku piechoty, taki przypadek. Wytrzymałem, choć byłem już parę razy u kresu sił, ale miałem co ukrywać. Obok wielu nazwisk, wiedziałem choćby o dwóch pracujących jako rządcy we Wróblewie kapitanach z naszej wrześniowej armii. Ale gehenna miała trwać jeszcze wiele miesięcy. Trafiłem do Mauthausen, a później — Hamburg-Neuengamme....

Janicki siedzi blady, dłonie kurczowo zaciśnięte, bieleją knykcie. Patrzy gdzieś nade mną niewidzącymi oczyma. Nie chcę przerywać tych wspomnień o tragicznych wydarzeniach, które — mam wrażenie — przesuwają się teraz przed nim na kształt sennych, bezlitosnych majaków. Dawno przeżytych, lecz wciąż niezatartych, świeżych, makabrycznych. Słucham...

— Szybko zorientowaliśmy się, że przeżyć może tylko rzemieślnik. Niemcy potrzebowali siły roboczej, a w Neuengamme budowano od podstaw fabrykę amoniaku. Potrzebowali cieśli — zgłosiłem się, pytali o szklarzy — tak samo. Wiedziałem, że to jedyna szansa. Mijały miesiące wycieńczającej, nieludzkiej pracy, ale ja wciąż jeszcze żyłem! Najgorsze były początki, potem ratowała nas często obozowa rutyna, umiejętność zdobycia ziemniaczanych łupin czy kawałka spleśniałego chleba. Starzy wyjadacze staraliśmy się pomagać tym nowym, między innymi, pamiętam, ludziom z Warszawy przywiezionym po upadku powstania w czterdziestym czwartym. Nie wspomnę nazwisk, mieliśmy tylko numery; byli kompletnie załamani psychicznie, opowiadali makabryczne historie, a my uczyliśmy ich jak przeżyć, jak jeść brukiew...

— Gdzieś od lutego czuliśmy już nadchodzącą wolność. Coraz częstsze naloty, przerzucanie z obozu do obozu, wędrówki w bydlęcych wagonach, często w akompaniamencie „pracującej” gdzieś opodal artylerii. Więźniów nie było już gdzie chować, w tych ostatnich tygodniach ginęło ich szczególnie wielu; kazano nam zakopywać ich w okolicznych lasach. W początkach maja, gdy nie otrzymywaliśmy już niemal nic do jedzenia, byliśmy u kresu wytrzymałości. Ale gdy 2 maja nad nasz obóz zrzucono spadochronowych skoczków, kto z nas mógł jeszcze łuszać nogami rzucał się na strażników. Wygnietliśmy ich gołymi rękami... jak wszy... Przepraszam pana... to... minie...

Janickiemu załamał się głos. Tragiczne piętno wywierają zdarzenia z tamtych lat. Mężczyzna trzyma dłonie przy oczach, wciąga głęboko powietrze; pomiędzy palcami spływają po poranej bruzdami twarzy dwie łzy. Wstaje, podchodzi do otwartego okna, przez które widać gramolącą się na siodełko składaka małą blondyneczkę z warkoczykami..

— Uważaj, Asiu, bo znów będą potłuczone kolana — woła w jej stronę Janicki. I dodaje z dumą: — Moja najmłodsza wnuczka...

— Ale koniec z tymi makabrami, bo zawsze mnie tak ściśnie na wspomnienie tych lat. Jak nas Amerykańcy oswobodzili, to po trzech miesiącach pobytu w takim specjalnym sanatorium wstąpiłem jeszcze do armii generała Maczka, a w lipcu czterdziestego szóstego wróciłem do Solcy. Schorowany byłem. Jestem inwalidą wojennym drugiej grupy, ale jak tylko się trochę podkurowałem zacząłem organizować tę naszą OSP. W zarządzie byłem od początku, a dokładnie 17 grudnia 1957 roku zostałem prezesem. W tym roku minie mi 25 lat...

— No, jednostkę mamy ekstra, 55 dobrze wyszkolonych ochotników, pożarniczy „Star” z przyczepą. Nie chcę pana zanudzać wyliczaniem, ale nie zdarzyło się od lat chyba 10, byśmy we współzawodnictwie w gminie nie zajęli pierwszego miejsca, byliśmy w czołówce i w zawodach wojewódzkich i w strefowych. Zresztą niech pan poczyta, o, tu — Janicki wyciąga dwie opasłe księgi, kronikę swojej jednostki.

Chce — jak twierdzi — zostawić po sobie jakiś ślad dla przyszłych strażaków, toteż osobiście wpisuje tu wszystkie ważniejsze fakty z życia wsi, swojej OSP, kraju również. Przerzucam kartki kroniki: zdjęcia ze ślubu jednego ze strażaków z Solcy, opis jakichś strażackich ćwiczeń czy zawodów, starannym wykaligrafowanym pismem. Jeszcze dalej — wycięta z gazety informacja o jakimś groźnym pożarze i fotki seniorów jednostki. Spod strażackich czapek dumnie spoglądają na mnie ci najstarsi: *Feliks Kubus, Stanisław Grzelak, Józef Goszczko, Jan Kubus, Stanisław Królak, Józef Świercz, Jan Pacholczyk.* A na drugiej stronicy — zmiany w składzie Biura Politycznego, a także wycięte z któregoś dziennika zasady reglamentacji alkoholu i papierosów...

— Straż to dzisiaj, a i dawniej tak było, ludzie na wsi od wszystkiego; organizujemy zabawy, zbiórki, wycieczki, bierzemy udział w ślubach i pogrzebach (od pięćdziesiątego szóstego mamy znów własną orkiestrę!), uroczystościach 1-majowych i kościelnych, dbamy o groby naszych, poległych tu we wrześniu żołnierzy, którzy pod tym, o — tam widocznym laskiem — tłukli się przez wiele godzin z Niemcami i których ponad 150 już w Solcy na zawsze zostało. Strażaki są na wsi do wszystkiego. O przyszłość się nie boję: mamy tu nawet szkolną drużynę młodzieżową OSP, a dyrektor naszej szkoły — *Henryk Grzyb* jest u nas czynnym strażakiem...

— A mówiłem już, że mamy sztandar jednostki udekorowany złotym medalem zasługi dla pożarnictwa? Nie, no to zaznacz pan...

— No jasne, że gonimy opieszałych rolników. Pokazy dla dzieci są fajne, ale profilaktyczne kontrole po chałupach i obejściach też często robimy, sprawdzamy maszyny biorące udział w omłotach, przewody kominowe, różne podłączenia elektryczne. A jest co kontrolować — dziewięć wiosek mamy pod opieką.

— E, dzisiaj to zupełnie inaczej. U mnie jest telefon, w bazie kółka rolniczego obok remizy — też. No i mamy porządną syrenę alarmową, wystarczy przycisk włączyć i wszyscy gnają do remizy. Wiadomo, że jak trzy sygnały z dwoma przerwami — to do pożaru, ale jak dwa sygnały z przerwą — to ćwiczebny alarm, ale też trzeba lecieć. Jak jest pięciu i kierowca — to już wyjeżdżają. No, ćwiczenia na obiektach to robi rejonowa komenda w Ozorkowie zawsze parę razy w roku. Co tu gadać — zwykle my wygrywamy, bo blisko strażacy mieszkają, a czterech chłopaków to w bazie kółkowej pracuje, to tylko na drugą stronę drogi przelecą. Ja czasem znam też termin, ale gdzie tam, nie mówię, bo by się mi ludzie pobałamucili.

— To fakt, pożarów nie ubywa. Ale niektóre to głupie takie aż strach. Już nie pamiętam, która to była wieś, ale chyba pod Parzęczew należała. Ale nic, wiadomość że dym, wyjeżdżamy, powiadamiamy tylko zawodową w Ozorkowie, że jakby coś u nas, to nas nie ma i w drogę. Wkrótce jeszcze trzy jednostki się zjawiły, a tam się okazuje, że chłop podpalił kupę gałęzi obok zabudowy. Najpierw stał i się przyglądał, dopiero jak mu płomień ścianę zaczął lizać, to się zląkł i począł wodą wiadrem polewać. Ugasiliśmy szybko, choć mogło być groźnie, ale chłop zapłacił parę tysięcy kary.

O, to i we Wróblewie się olbrzymia stodoła wyładowana zbożem spaliła i w Tkaczewie, też z pełnymi zbiorami, nową, jeszcze chłop nie zdążył jej ubezpieczyć. Jeno murów trochę zostało....

— No, są i komiczne prawie sytuacje. Pamiętam tu u jednych w Solcy było weselisko, huczne, a jakże, aż tu się ogień w stodole pokazał. Pewnie jacyś młodzi zaprószyli, jak to bywa. Strażacy się skrzyknęli, zajeżdżamy, ratujemy inne budynki, bo stodoła się pali jak snopek. Wesele się rozpierzchło, ale chłopaki co jeszcze przez parę godzin pogorzeliska pilnowali to się objedli, że chodzić nie mogli. Bo to akurat obiad był przygotowany, a jak weselnicy uciekli, to *miało* się zmarnować?...

— E, z ludźmi to nigdy nie miałem kłopotu, ale też trzeba umieć sobie ich zjednać, dobrać jako zespół. I najważniejsze — mieć uznanie u wszystkich, dbać o strażaków, niech wiedzą, że ktoś nad nimi czuwa, opiekuje się, pomaga. Muszą wiedzieć, że ten prezes to nie jest malowany. A że zasłużyli to mają i odznaczenia, i dyplomy, i poważanie. Ale uznania mieć kapkę — to grunt.

— Wiem, że już powoli czas na mnie, trza dać szansę młodym. Jeszcze tylko budowę nowej remizy, co to w tym roku fundamenty chcemy stawiać, doglądnę i — odejdę. Mam już upatrzonego następcę, ale co tam, jeszcze nie czas mówić, na razie się trzymam. A remiza być musi, mamy już dokumenty wszystkie, ze trzy miliony będzie kosztować, ale nareszcie będzie gdzie drugi samochód pomieścić. Stary budynek pójdzie na emeryturę, to i ja razem z nim. Ale co tam mówić zawczasu o smutnych rzeczach, chodź pan, pokażę panu nasze strażackie gospodarstwo w Solcy...

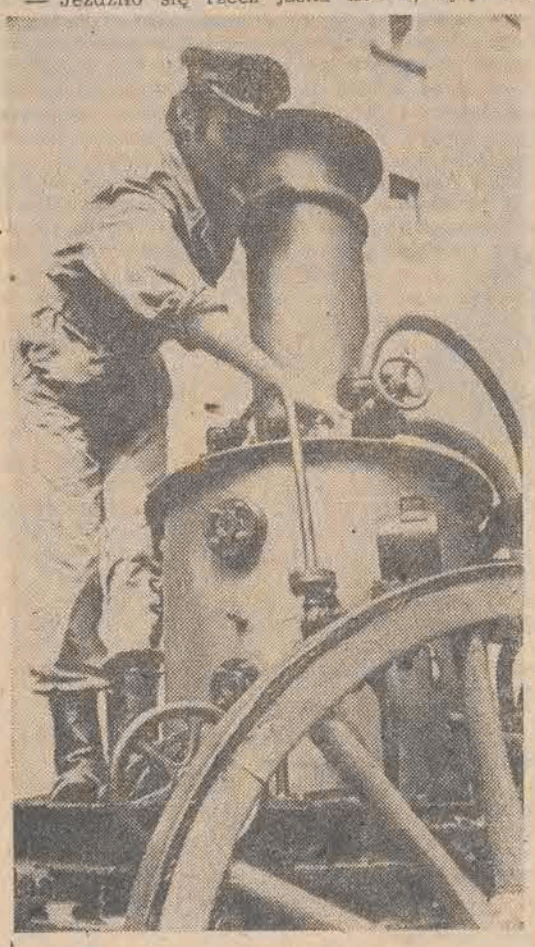

Foto: J. Głowacki

Foto: J. Głowacki

Sulejów: woda i... ceny!

Za parę dni, za dni parę" — parafrazując słowa znanej piosenki — ruszy turystyczny exodus. Tysiące wczasowiczów i turystów powinno wyruszyć nad wodę, do lasów i w góry, by szukać wytchnienia po trudnym, a i nie ma co ukrywać, również nerwowym i wyczerpującym roku. Zainteresowanie wypoczynkiem w kraju powinno być większe niż w latach ubiegłych, gdyż jak wiadomo, turystyka zagraniczna uległa poważnym ograniczeniom.

Znacznie wzrosły jednak opłaty za wczasy i kolonie, wskutek czego wyjazd na 2—3-tygodniowy urlop stał się dla wielu rodzin poważnym problemem. Należy więc sądzić, że w tym sezonie dominować będzie głównie wypoczynek sobotnio-niedzielny.

Jednym z tradycyjnych i uznanych miejsc letniego wypoczynku mieszkańców Łodzi i województwa jest Sulejów. Wiadomo: Pilica, lasy, świeże powietrze i niezbyt duża odległość są wystarczająco silnym magnesem, by przyciągnąć spragnionych słońca i relaksu mieszczuchów. Pierwsi goście zjadą nad Pilicę lada dzień. Jak więc przygotowane jest miasto na ich przyjęcie?

Do Sulejowa przyjechałem 30 kwietnia. Miasto nie powitało mnie zbyt gościnnie. Dotkliwy chłód, deszcz i wiatr. Pogoda raczej na środek jesieni niż wiosny. Także i sam wygląd miasta pozostawiał wiele do życzenia, ale jest to odrębny problem, do którego jeszcze powrócę.

Nazajutrz zaświeciło słońce i wokół czuć było ożywczy, świeży zapach wiosennej przyrody, okazało się, że jest zupełnie przyjemnie.

Swoje kroki skierowałem najpierw do Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Mówi jego kierownik — *Włodzimierz MICHALIK:*

— *Przyjazdu pierwszych gości spodziewamy się dopiero za dwa tygodnie, ale do sezonu jesteśmy już właściwie przygotowani. Na naszych miłych gości oczekują: 200 miejsc noclegowych w 4-osobowych domkach campingowych, 80 miejsc na polu namiotowym strzeżone kąpielisko z plażą, wypożyczalnia sprzętu sportowego i turystycznego, restauracja „Victoria", bar szybkiej obsługi, stadion i boiska do gier zespołowych. Jest parking strzeżony, czynny w sezonie całą dobę. Poza tym jeszcze w maju otwieramy nową wypożyczalnię sprzętu w Barkowicach-Mokrej (kilka km od Sulejowa w dół rzeki). Będą tam oprócz kajaków łodzie wiosłowe oraz żaglówki.*

Największym dla nas obecnie problemem jest plaża. Widoczne są tu wszędzie ślady tegorocznej powodzi. Jednak obiecano nam, że jeszcze przed sezonem przejdzie po Pilicy pogłębiarka, która wyrówna i pogłębi koryto rzeki. Piasek przez nią wydobyty wykorzystamy na urządzenie nowej plaży.

Niedawno otrzymałem nowy cennik na nasze usługi, zatwierdzony przez dyrekcję WOSiR w Piotrkowie Tryb. Wynajęcie domku campingowego kosztuje 860 zł za dobę, przy czym poza sezonem tj. do 30 czerwca i od 1 września udzielamy zniżek do 25 proc. Inne przykładowe ceny: wypożyczenie śpiwora 25-30 zł za dobę, namiotu w zależności od wielkości 50—60 zł za dobę, przyczepy campingowej 390 zł, łodzi żaglowej (wiosłowej) 250 złotych za dobę lub 50 zł za godzinę, kajaka 130 zł za dobę lub 20 za godz. Na polu namiotowym pobyt jednej osoby kosztuje 20 zł za dobę, ustawienie namiotu 10-25 zł, przyczepy campingowej 20—30 zł, samochodu 20 zł. Przewidujemy też niewielkie opłaty za wstęp na teren strzeżonego kąpieliska.

Razem z kierownikiem oglądam ośrodek. Domki ustawione są w lesie tuż przy stadionie. W każdym domku dwa małe pokoje, cztery tapczaniki, stolik, krzesła, szafka na ubrania. Warunki raczej spartańskie. Na niektórych domkach swoje piętno wyrył czas, w innych widać ślady bytności ich poprzednich mieszkańców.

Nieodparcie nasuwa się myśl, czy cena 660 zł za dobę w takim domku nie została skalkulowana zbyt wysoko. Jedno miejsce jest tutaj droższe niż miejsce w 4-osobowym pokoju w dość ekskluzywnym hotelu w Podklasztorzu.

Na terenie ośrodka trwają jeszcze prace przy budowie nowego pawilonu sanitarnego z ciepłą wodą. Budowlani zapewniają, że do rozpoczęcia sezonu uporają się z robotami.

Od ośrodka do plaży dosłownie kilka kroków. Faktycznie nie prezentuje się ona zbyt okazale. Zarośnięta trawą i krzakami, sporo wyrw. Ale to tutaj właśnie był w zimie wielki zator lodowy i tu saperzy zakładali ładunki wybuchowe.

Włodzimierz Michalik zaprasza również do przyjazdu wędkarzy. Ryba podobno w Pilicy jest i nawet... bierze. Na potwierdzenie tego pokazuje swoje trofea wędkarskie m.in. głowę 10-kg szczupaka.

Tuż obok ośrodka WOSiR znajduje się restauracja „Victoria". Jest to lokal II kategorii, miło i estetycznie urządzony i wyposażony.

Rozmawiam z kierownikiem restauracji — Grzegorzem HIBOWSKIM:

— Lokal nasz posiada 100 miejsc konsumpcyjnych i jest czynny codziennie od 12.00 do 2.00 w nocy. Do godziny 20.00 lokal działa jako restauracja, a od 21.00 do 2.00 czynny jest bar nocnej rozrywki „Sweet Disco". Dziennie możemy wydać 400—500 obiadów. W sezonie, gdy liczba gości znacznie się zwiększa, lokal otwiera swoje podwoje już od rana, aby chętni mogli zjeść także śniadanie.

Ceny są u nas dość wysokie to fakt, ale w zamian za to serwujemy smaczne i obfite posiłki, staramy się stworzyć miły nastrój i godziwą rozrywkę. W sezonie zamierzamy przygotować kilka zestawów tzw. obiadów popularnych w cenie 80—120 zł...

Przeglądam jadłospis. Ceny faktycznie wysokie. Zupy od 12 do 97 zł (flaki), drugie dania od 122 zł do 226 zł (brizol ze schabu z pieczarkami). Niewątpliwy wpływ na poziom cen ma fakt podawania do każdej z potraw bardzo bogatych zestawów surówek i sałatek. Lampka koniaku radzieckiego kosztuje tutaj 111 zł, butelka szampana 500 zł.

Oprócz „Victorii" są w Sulejowie jeszcze dwie restauracje będące własnością miejscowej GS. Tuż za mostem na prawym brzegu rzeki „Jagiellonka" oraz nieco dalej „Słoneczna". Łącznie dysponują 150 miejscami konsumpcyjnymi. W sezonie mogą wydać do 700 obiadów. Standardem i wyglądem odbiegają dość znacznie od „Victorii", ale i ceny są niższe. Obiady już od 60 zł. Jadłospisy dość urozmaicone choć niezbyt bogate. Koniecznym jednak jest, aby jeszcze przed przyjazdem turystów zadbać o estetykę obydwu lokali.

Naprzeciwko ośrodka WOSiR, na drugim brzegu Pilicy znajduje się oddany do użytku w 1981 roku ośrodek Podklasztorze. Zlokalizowany na terenie byłego opactwa cystersów, prezentuje się bardzo efektownie. Zbudowany został środkami i siłami wszystkich przedsiębiorstw budowlanych byłego województwa łódzkiego. Wartość kosztorysowa 82 mln zł. Właścicielem ośrodka jest obecnie Łódzkie Przedsiębiorstwo Usług Socjalnych Budownictwa.

Informacji o obiekcie udziela kierownik — Andrzej MALINOWSKI:

— Ośrodek nasz składa się z dwóch zasadniczych części: hotelu na 124 miejsca w pokojach 1-, 2-, 3- i 4-osobowych oraz stołówki-restauracji dla gości hotelowych na 64 miejsca. Dysponujemy również ogólnodostępną kawiarnią. W obiekcie jest też część rekreacyjna z basenem, sauną, czytelnią i salą projekcyjno-dyskotekową. Z wszystkich tych urządzeń goście hotelowi mogą korzystać nieodpłatnie. W ośrodku organizujemy wczasy. Skierowania rozprowadzają działy socjalne przedsiębiorstw budowlanych i ŁPUSB. Część skierowań przekazaliśmy do Przedsiębiorstwa Turystycznego „Trybunalskie". Koszt 2-tygodniowych wczasów wynosi 7700 zł.

Prowadzimy również bieżącą sprzedaż wolnych miejsc, ale jest ich niewiele, gdyż chętnych nie brakuje. Jest to chyba najtańszy hotel o takim standardzie w całym regionie. Miejsce noclegowe kosztuje 110—200 zł (w zależności od wielkości pokoju). W bieżącym roku ze względu na znaczny wzrost cen i opłat, zmuszeni jesteśmy w sezonie podwyższyć ceny średnio o ok. 44 proc. (sezon trwa od 1.06. do 30.09 — przyp. Z. Ch.). Ceny posiłków kształtują się u nas na poziomie restauracji II kategorii...

Zwiedzanie obiektu zaczynamy od części gastronomicznej. Stylowo urządzona kawiarnia i restauracja. Z głośników dyskretnie sączy się muzyka. Czysto i przyjemnie. Pokoje hotelowe elegancko wyposażone. Każdy posiada własną łazienkę. W pokojach tapczaniki, ławy, fotele, radioodbiorniki... Wszystkie detale wykończenia wykonane w jednym stylu. Dominuje drewno. Dużo długich, klasztornych korytarzy, krużganków, sekretnych przejść.

Schodzimy na dół. Jest tutaj basen z podgrzewaną wodą i sauna. Wszędzie kafelki, na ścianach kolorowe mozaiki. Czysto, schludnie. Z basenu mogą (za niewielką odpłatnością) korzystać także mieszkańcy i goście Sulejowa.

Nad bezpieczeństwem kąpiących się czuwa ratownik. Od ośrodka do Pilicy zaledwie kilkaset metrów. Wokół mnóstwo zieleni, prawie absolutna cisza. Warto spędzić tutaj urlop lub choćby weekend.

Jak z tego wynika, ośrodki wypoczynkowe w Sulejowie są już w chwili obecnej nieźle przygotowane do sezonu. Niestety nie można powiedzieć tego o samym mieście. Wygląda ono szaro i smutno. Sporo nieporządków, rozkopów, fatalna nawierzchnia ulic i chodników, rzucający się w oczy brak klombów i kwietników. Daje się zauważyć brak świeżości i dbałości o wygląd miasta. Wiele do życzenia pozostawiają elewacje domów. Przy wjeździe do miasta od strony Piotrkowa stoją dwa zabytkowe wapienniki. Obydwa już od dawna nieczynne, całkowicie zaniedbane. Tylko patrzeć jak runą. A można je chyba jakoś zagospodarować, choćby na muzeum.

W mieście poza miejską biblioteką brak jakichkolwiek obiektów kulturalnych czy oświatowych. Nieporozumieniem było chyba zaadoptowanie domu kultury dla potrzeb kina. Zyskano wątpliwej jakości kino, stracono jedyny obiekt, który mógłby prowadzić działalność kulturalną czy rozrywkową. Fatalnie funkcjonuje miejscowy handel, zmonopolizowany przez Gminną Spółdzielnię. W sklepach poza towarami reglamentowanymi praktycznie puste półki. Brak choćby nabiału, serów twardych, jaj, przetworów warzywnych i owocowych. Co będzie jak przyjadą turyści — strach pomyśleć. Pociechą dla wszystkich jest cotygodniowy targ, na którym od okolicznych rolników można kupić brakujące w sklepach towary i artykuły.

Na temat tych i innych kłopotów i problemów miasta rozmawiam z zastępcą naczelnika miasta i gminy Sulejów Janem SACHRAJDĄ:

— Wszystkie te trudności dobrze znamy. Nie są one jedynymi, które nas nękają. Bardzo źle przedstawia się problem opieki lekarskiej. Na całym etacie zatrudniamy jednego internistę i stomatologa. Poza tym na pół etatu pacjentów przyjmują jeszcze dwaj emerytowani lekarze. Brak specjalistów np. chirurga czy okulisty. Wraz z przyjazdem wczasowiczów problem może się jeszcze zaostrzyć. A jednorazowo w Sulejowie w sezonie przebywa 5 tys. gości (liczba stałych mieszkańców miasta ok. 6 tys. — przyp. Z. Ch.) zaś na soboty i niedziele przyjeżdża dodatkowo jeszcze 10—15 tys. osób. W mieście i gminie zlokalizowanych jest 35 zakładowych ośrodków wczasowych oraz 10 ośrodków kolonijnych dla dzieci i młodzieży.

Nie bez wpływu na wygląd miasta pozostaje fakt, że Inżynieria Łódź od lat wlecze się z wykonawstwem sieci kanalizacyjnej. O jakości pracy Rejonu Dróg Publicznych z Opoczna lepiej nie wspomnę, sam pan widział nawierzchnie naszych ulic. Trudno w takiej sytuacji rozpoczynać prace porządkowe i ukwieceniowe.

Mimo, iż Sulejów przeżywa w lecie najazd turystów i wczasowiczów, nasze władze zwierzchnie zdają się tego nie dostrzegać. Centralnie sporządzane rozdzielniki są w sezonie zbyt szczupłe i bardzo trudno uzyskać dodatkowe przydziały mięsa i innych artykułów żywnościowych. Brzmi to wszystko dość pesymistycznie, ale takie są realia naszego życia i pracy. Mimo tych problemów zrobimy wszystko, aby nasi goście i wczasowicze mogli u nas jak najlepiej wypocząć...

Jak więc widać spraw do załatwienia w Sulejowie nie brakuje, ale 1 do rozpoczęcia sezonu pozostało trochę czasu. Szkoda byłoby zaprzepaścić tę szansę, jaką miastu daje turystyka.

Mimo kłopotów i trudności, o których wspominali moi rozmówcy, warto przyjechać do Sulejowa. Nie ma tutaj zbyt luksusowych warunków, ale niewątpliwie można dobrze wypocząć. Oby tylko pogoda dopisała!

ZBIGNIEW CHABLEWSKI

Foto: M. Zajdler

Tarpan w otchłani zagłady

Nie, nie zamierzam uśmiercać samochodu krajowej produkcji, zwanego tarpanem. Mój tarpan już nie istnieje. Mała Encyklopedia Powszechna PWN podaje, że znalazł się on w otchłani zagłady w końcu XIX wieku. Podobnie twierdzi wielu autorów literatury łowieckiej z XVIII w. Należy do nich również autor blisko 800-stronicowej książki pt. „Łowiectwo" (drugie wydanie z 1946 r.) Wiesław Krawczyński.

Rzecz charakterystyczna, w odróżnieniu od innych zwierząt, które już nie żyją, dzikiemu koniowi nie poświęca się w literaturze większej uwagi, jeśli chodzi o jego biologię. Nie doczekał się też koń stepowy jednolitej oceny swoich cech dodatnich i ujemnych. Mało, autorzy publikacji nie są zgodni co do tego, czy tarpan był zwierzęciem stepowym czy leśnym. Jedno jest pewne — był koniem europejskim maści myszatej, szaropłowej; wierzchem grzbietu przebiegała czarna pręga. Grzywa krótka, najeżona, ogon mniej uwłosiony jak u zwykłego konia. Do tych encyklopedycznych wiadomości warto dodać, że tarpan był spokrewniony z koniem Przewalskiego — jednym z przodków konia domowego.

Według Brehma, dziki koń żył tylko na stepie albo na pustkowiu, natomiast zdaniem Wł. Spausty tarpan, który bytował w Polsce, stanowił przedmiot polskiego łowiectwa, gdyż był zwierzęciem łownym. Aby uwiarygodnić swoją tezę przytacza on brzmienie statutu litewskiego Zygmunta I, gdzie m. in. stwierdza się:

„Ustawujemy cenę zwierzom dzikim, któreby przez kogo były ubite w cudzej puszczy... Za konia albo kobylę dziką 3 ruble groszy".

A więc tarpan był u nas zwierzęciem leśnym.

Beauplan opisując Ukrainę oświadcza: *„Konie dzikie chodzą po 50—60, nieraz nam trwogi nabawiając, gdyśmy je za Tatarów brali; w stadzie chowane na nic się nie przydadzą, a dzikie także niewiele warte. Mięso ich kruche, lecz podług mnie przykre nieco, przedają w jatkach jak wołowe i baranie; lud tamtejszy smak jego korzeniami poprawia. Rogi kopyt tak im nogi ściskają, że biegać nieraz nie mogą".*

Nie ceni wysoko dzikiego konia również Karol Szajnocha, który w opowiadaniach historycznych pt. „Jadwiga i Jagiełło" pisze:

„Koń dziki, w XIII wieku aż po nadodrzańskie rozpleniony wybrzeża, a jeszcze w wieku XV pospolity litewskich lasów mieszkaniec, pośredniczył między koniem a osłem".

Godnym podkreślenia jest fakt, że zarówno wielu autorów literatury łowieckiej jak i historyków podkreśla zgodnie, że w Europie oazą tarpanów była Puszcza Białowieska. Wł. Spausty, powołując się na barona Brinckena pisze, że *„ostatnie dzikie konie, które w tej dziewiczej uchwycono puszczy umieszczono w zwierzyńcu ordynata Zamojskiego, gdzie je dość długo z inną utrzymywano zwierzyną, lecz że z nich żadnego nie miano użytku, przeto je przed 20 laty wyłowiono i włościanom rozdano".*

Przytaczane przeze mnie sądy i opinie poświęcone dzikiemu koniowi, być może męczą czytelnika. Trudno jednak z nich zrezygnować zważywszy, że jest to jedyna możliwość bliższego poznania zwierzęcia, które w przeszłości wzbogacało polską faunę. Zdaniem W. Krawczyńskiego sprawę dzikiego konia oświetla należycie i przedstawia wyraziście jego pośrednią użyteczność dla dzisiejszych potomków polski uczony prof. dr Tadeusz Vetulani. W broszurze „Znaczenie konika polskiego w nauce i hodowli" prof. Vetulani pisze:

„W związku bowiem z badaniem nad konikiem okazało się że Tarpan stepowy (Eguus Gmelini Ant.), który z końcem XIX wieku w Rosji wyginął, w epoce polodowcowej tundry względnie stepu sięgał poprzez Polskę i Niemcy daleko na zachód i północ Europy.

W miarę jednak, jak Europa zaczęła się następnie zalesiać i klimat nasz stawał się coraz bardziej wilgotniejszy, tarpan stepowy cofał się na wschód wraz z ustępującym stepem.

Natomiast wielokrotnie objęty lasami i zmienionym środowiskiem stepowy tarpan bądź ginął, bądź przystosowywał się do warunków leśnych, ulegając równocześnie pewnym zmianom, wynikającym ze zmienionych warunków bytu.

Dla odróżnienia od pierwotnej formy Tarpana stepowego, (Eguus Gmelini Ant.), tego właśnie zmienionego Tarpana mniejszego wzrostu, o więcej wklęsłym profilu głowy, o znacznie rozszerzonym czole nazwałem Tarpanem leśnym (Eguus Gmelini Ant. subspecies silvatica), czyli leśnym podgatunkiem Tarpana stepowego.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dzikie małe myszate konie, które wedle opisów naszych dawniejszych autorów, jeszcze w II połowie XVIII wieku żyły u nas w Puszczy Białowieskiej, a które następnie wyłowiono i jeszcze w początkach XIX wieku utrzymywano w zwierzyńcu hr. Ordynata Zamoyskiego w Lubelskim, były ostatnimi istotnie dzikimi przedstawicielami Tarpana leśnego w Europie".

Tenże polski uczony, co z wielkim zadowoleniem przyjął W. Krawczyński — umniejsza krzywdy wyrządzone dzikiemu koniowi przez przypisywanie mu wad, względnie bezużyteczności. Zdaniem prof. Vetulaniego nie wszystkie małe konie naszych ziem mogą być określone jako konie prymitywne, ale te tylko, które jako rasowe mniej lub więcej czyste, zachowały cechy typów wyjściowych.

„Gdy w świetle ogłoszonych przeze mnie w roku 1933 bardzo ważnych źródeł historycznych — pisał prof. Vetulani w „Przegląd Hodowlanym", organie Polskiego Tow. Zootechnicznego w 1946 r. — *w oczach zagranicznego świata naukowego został przesądzony niewątpliwie dziki charakter ostatnich w Europie tarpanów leśnych, które przebywały w Puszczy Białowieskiej aż do drugiej połowy XVIII wieku, a które następnie jeszcze do początków XIX w. były u nas w zwierzyńcu Zamoyskich w Lubelskim, wówczas to w Poznaniu w dniu 20 maja 1933 r., na posiedzeniu Polskiego Oddziału Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Zubra wystąpiłem po raz pierwszy z myślą wprowadzenia do oddzielnego rezerwatu w Puszczy Białowieskiej typowych okazów, celem regenerowania konika polskiego".*

Uczony dopiął swego, w 1936 r. Instytut Badawczy Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych umieścił w 4-hektarowym rezerwacie Puszczy Białowieskiej 5 klaczy wybranych przez tegoż profesora. We wrześniu 1939 r. rodzina tych koników liczyła już 40 sztuk. Niestety, w czasie wojny Niemcy wywieźli ze zwierzyńca puszczowego 32 koniki. W początkach 1946 r. żyło w Puszczy Białowieskiej wraz z przychowkiem 15 regenerowanych tarpanów leśnych.

Jeszcze jedna uwaga prof. Vetulaniego zasługuje na uwagę. Pisze on mianowicie, że prymitywne koniki polskie zdobyły sobie nawet za granicą miano *„najlepszego, wojennego konia świata"*, a jego szczególne zalety, to: *„siła fizyczna, zdrowotność, odporność i wytrzymałość na surowe warunki klimatyczne, niewybredność, temperament i energia, cierpliwość oraz umiejętność „łażenia" po piaszczystym i mokrym terenie".*

A więc posiadamy w Polsce potomka Tarpana, który zginął całkowicie jako zwierz leśny, ale znajduje się na drodze odtworzenia z krwi swoich przodków przez stosowanie racjonalnej hodowli w postaci zwierzęcia domowego oraz tarpana... mechanicznego.

ZYGMUNT FOLTYŃSKI

Kurierek dla pana?

ADAM OCHOCKI

Nadeszło lato. Pierwsze moje lato w wolnym kraju. Zazieleniły się parki miejskie i pozamykane dotąd na siedem spustów ogrody pofabrykanckie. Runęły mury, rozrosły się płuca Łodzi.

Było mi lekko na duszy, jak nigdy. Piękne, słoneczne dni to mają do siebie, że każą zapomnieć o minionym, smutnym.

Upajało mnie pulsujące rytmem pracy miasto. Może to i dobrze, że nie dysponowaliśmy jeszcze samochodem redakcyjnym. Z komunikacji miejskiej też prawie nie korzystałem. Przez okna tramwaju trudno coś dostrzec. A tyle zjawisk atakowało mnie niemal na każdym kroku!

1.

Uwagę moją zwróciły gromady młodych ludzi, snujących się ulicami. Mieli na sobie zielone mundury wojskowe, inni bluzy poniemieckie w znienawidzonym kolorze „feldgrau". Na nogach wysokie buty z cholewami, „oficerki" lub juchtowe, podkute buciki żołnierskie. Przezornie schodziłem im z drogi. W Łodzi i okolicach grasowały bandy dywersyjne. „Warszyca", „Topora", „Groźnego"...

Kim są ci rośli młodzieńcy? Zagadka wyjaśniła się któregoś rana, gdy wychodziłem z drukarni. Pstrokaty tłum młodzieży podążał przez bramę do wznoszących się naprzeciw budynków. Przed wojną znajdowały się tu zakłady włókiennicze Szai Rosenblatta. Po wyzwoleniu cały ten rozległy czworobok posesji, zamknięty ulicami Żwirki — Świerczewskiego — Gdańską — Żeromskiego, zajęła Politechnika.

To byli studenci! Partyzanci, żołnierze, powstańcy warszawscy, więźniowie obozów koncentracyjnych, wywiezieni do Reichu na przymusowe roboty — różnych roczników i z różnych środowisk. Przywiódł ich tutaj głód wiedzy. Nie mogli go zaspokoić w mrocznych latach wojny. Przedtem też to było niemożliwe. W Łodzi działała jedna wyższa uczelnia — Wolna Wszechnica Polska, w dodatku bez praw państwowych. O studiach medycznych, czy inżynieryjnych — młodzi ludzie nie mogli nawet marzyć. A tuż po wyzwoleniu, ledwo ucichły odgłosy kanonady, wyższe uczelnie poczęły wyrastać jak przysłowiowe grzyby po deszczu. W kilku rozrzuconych po mieście gmachach zapoczątkował wykłady Uniwersytet. Powstał przy nim wydział medyczny, przekształcony potem w Akademię Medyczną. Wyższe szkoły — ekonomiczna, pedagogiczna, aktorska, muzyczna, sztuk plastycznych, filmowa...

Nie obyło się, jak w innych dziedzinach życia, bez spięć politycznych. Niedobitki przedwojennych korporantów chciały upiec swą pieczeń — „Komersów w deklach sztab wałkoni, draby z „Żylecji" i „Pałkonii" — jak ich nazwał Tuwim w „Kwiatach polskich". Ale próby przeniknięcia do środowiska studenckiego spaliły na panewce.

Dużo miejsca poświęcaliśmy w gazecie sprawom studenckim — Łódź stała się przecież jednym z większych ośrodków akademickich w kraju. Szczególnie hołubiliśmy Akademię Medyczną. To był nakaz chwili: szkolenie nowej kadry lekarskiej. Wielu lekarzy zginęło na froncie, inni nie powrócili z obozów hitlerowskich. Łódzka służba zdrowia nie nadążała za potrzebami. Upiorne lata pozostawiły w spadku legiony chorych, wymagających leczenia i opieki.

2.

Trudności te zaktywizowały szarlatanów. Miasto nawiedziła plaga znachorów. Jacyż to byli specjaliści! Niejaki Radzikowski „leczył" pacjentów przy pomocy... lupy. Używał jej do wykrywania chorób i naświetlania chorych organów. Do lupy z taką kuracją! — powiedziałby człek rozsądny, ale naiwni tłumnie odwiedzali „pana doktora". Jego konkurent, Steinszprych vel Kazimierski, stosował inne metody. Podobnie jak ów lekarz ck armii austriacko-węgierskiej z powieści Haszka o dzielnym wojaku Szwejku, na wszelkie dolegliwości miał jedną, niezawodną receptę: lewatywę. Natomiast znachor z ul. Rudzkiej 77, choć sam zajmował się leczeniem chorych, to gdy na zdrowiu zapadło j e g o dziecko, zaprowadził je do lekarza.

Prym wśród niezliczonej czeredy znachorów wodził Stanisław Krym, szewc rodem z Wilna. Zorientowawszy się, że młotek, dratwa i kopyto nie zapewnią mu odpowiedniego standardu życiowego, profesjonalnie jął uprawiać znachorstwo. Zaczęło się skromnie, ale fama o cudownych wynikach kuracji, sprytnie podsycana przez Kryma przy pomocy naganiaczy, napędzała mu coraz to nowe zastępy pacjentów. Szczupłe mieszkanie okazało się niewystarczające. Znachor zdobył jeszcze dwa, ulokował w nich rozparcelowaną rodzinę i pourządzał gabinety przyjęć w określone dni tygodnia. Dorobiwszy się, nabył willę w Chełmach pod Zgierzem, nie zwalniając mieszkań. Dopiero gdy kwaterunek wykrył aferę, musiał się pożegnać z lokalami przy ul. ul. Piramowicza, Zachodniej i Legionów (ktoś bardzo gorliwy sprawił, że tej ostatniej ulicy przywrócono nazwę z okresu panowania cara batiuszki — Zielona, i tak jest po dzień dzisiejszy).

O Krymie napisałem fraszkę:

Wszystkiego mu mało, chciwiec
z pacjentów swych zdziera skórę,
a ja się temu nie dziwię,
szewc taką już ma naturę.

Szarlatana atakował niestrudzenie „Dziennik Łódzki". Co jakiś czas ukazywały się o nim notatki, a że nie zapominano i o adresie, akcja przyniosła wręcz odwrotny skutek: do znachora odbywały się istne pielgrzymki. Za namową redaktora Bogusławskiego spłodziłem felieton o tej chybionej kampanii kolegów z „Dziennika". Pobawiłem się kalamburem którego celem był naczelny „Dziennika" Anatol Mikułko. W sfingowanym wywiadzie z Krymem zapytałem go czy nie ma wyrzutów sumienia z powodu oszukiwania bliźnich, na co mistrz znacząco nakreślił m i k ó ł k o na czole.

Odczekawszy jak wszyscy inni pacjenci trzy tygodnie w kolejce, złożyłem wizytę znachorowi.

— Na co się pan użalasz? — spytał fachowo gospodarz.

— Nery, panie doktorze. O, tu — namacałem się z tyłu w pasie.

— Nery, pan powiadasz? Anu, zaraz zobaczywszy.

Pan doktor przejechał mi różdżką w okolicy lędźwiowo-krzyżowej.

— Faktycznie. Ale skoro pan tu przyszedłszy, to ja pana wykuruję. Magnetyzowanie panu zadam. Będziesz pan zdrów jak ten dzieciuk.

Po czym pociągnął mnie w kąt gabinetu. Stał tam wielgachny bak pełen sproszkowanych ziół, z powtykanymi butelkami, połączonymi ze sobą siecią miedzianych drutów. Po obu stronach magicznej skrzynki zwisały różnokolorowe sznury. Na polecenie znachora ująłem fioletowy.

— Fiuletowy nerki leczy — wyjaśnił fachowo gospodarz. — A ten, ot, czerwienny to dla sercowych, czarny dla płucnych...

Pożegnałem gospodarza, s i u l i w s z y mu kilka banknotów. W kilka tygodni później znowu stanąłem z nim oko w oko w sądzie starościńskim. Korowód świadków potwierdził zarzuty przeciwko szarlatanowi. Wyszło na jaw, że magnetyzował on również dzieci, a pewnemu pacjentowi, u którego wykrył aż sześć chorób — nerek, śledziony, wątroby, nerwicę serca, reumatyzm i nadkwasotę żołądka — zaaplikował olejek parafinowy i lewatywę z rumianku. Za bezprawne leczenie ludzi, za rozpoznawanie chorób i wydawanie leków 60-letni szewc Stanisław Krym został skazany na 3 miesiące bezwzględnego aresztu i grzywnę w wysokości 150 tysięcy złotych.

Fikuśny tytuł dałem do sprawozdania z tej rozprawy: *KRYM-inalne praktyki szarlatana zakończyły się przy-KRYM epilogiem.* Kto by dzisiaj coś takiego wymyślił? Jaki sekretarz redakcji puściłby to do druku? Albo ryzykowny fonetycznie nagłówek felietonu o punktach naprawy obuwia, które odmawiały wykonania usług dla ludności zasłaniając się brakiem skóry, choć było jej pod dostatkiem: *Skór wy nie macie? Czy: Kto to widział taki wydział?* — o bałaganie w Wydziale Handlu. Lub: *Pod ostrym kątem, czyli co z moim kontem?* — o perypetiach z ustaleniem konta bankowego.

Inną plagę owych czasów stanowili tzw. komornicy. Na mocy wydanego zarządzenia osoby uchylające się od pracy musiały płacić komorne według wyższych stawek. Spowodowało to run na Urząd Zatrudnienia. Od rana tłumy szturmowały biurka referentów żądając skierowania do pracy. A zatem zarządzenie odniosło pożądany skutek? Nie bardzo — ci ludzie wcale nie stęsknili się nagle za robotą, po prostu chcieli mieć w ręku skierowanie, iść dokąd ich posłano, pokręcić nosem, zrezygnować z proponowanego zajęcia i na podstawie otrzymanego papierka płacić niższe komorne — stąd przylgnęła do nich nazwa „komornicy".

Machinacje szybko zostały rozszyfrowane. Ostro zabrano się do urodzonych w niedzielę, ci jednak nie dawali za wygrane. Nachodzili redakcje i różne instytucje zgłaszając pretensje. Podsunęło mi to pomysł na felieton z następującą pointą: co to za czasy nastały w tej Polsce! Człowiek nie może dostać tego, czego pragnie. Prosi o skierowanie do pracy, a dają mu — pracę!

3.

Pewnego dnia wcześniej niż zazwyczaj opuściłem redakcję. Umówiłem się ze Stefanem Gelbartem, moim przedwojennym kolegą po piórze. Mimo różnicy wieku (Stefan o dziesięć lat wcześniej ujrzał światło dzienne) zawsze łączyła nas serdeczna przyjaźń. Często spędzaliśmy razem czas — na five'ach w „Tabarinie", na prywatnych przyjęciach, w teatrach. I oczywiście na różnych zebraniach i konferencjach prasowych. Stefan kierował przed wojną działem miejskim w „Głosie Porannym", pisał też recenzje teatralne. Ruchliwy, przedsiębiorczy, zawsze pełen inicjatywy, redagował przez jakiś czas dwutygodnik „Scena i film" oraz „Tempo", ilustrowany dwutygodnik aktualności. Okres wojny, podobnie jak ja, przeżył w Związku Radzieckim, w Samarkandzie, gdzie funkcje męża zaufania z ramienia gen. Andersa pełnił Ignacy Winter z „Republiki". Wspólne przeżycia z owego okresu stanowiły niekończący się temat naszych rozmów po powrocie do Łodzi. Pracę w dziennikarstwie podjęliśmy niemal równocześnie: ja — w „Expressie Ilustrowanym", Stefan — w „Kurierze Popularnym". (...)

Redakcja „Kuriera Popularnego", organu wojewódzkiego komitetu wykonawczego PPS, zajmowała kilkupokojowy lokal mieszkalny na Piotrkowskiej 68, nad dzisiejszymi biurami „Orbisu". Administracja rozlokowała się o dom dalej, na parterze, w obecnej siedzibie PTTK. Stefan, jak przed wojną, kierował działem miejskim.

Skład redakcji „Kuriera", podobnie jak innych dzienników w owym okresie, nie imponował liczebnością. W fotelu naczelnego zasiadał Artur Karaczewski, pełniący jednocześnie funkcje prezesa oddziału łódzkiego Zw. Zaw. Dziennikarzy. Jego zastępcą był Antoni Pokorski. Poza nimi — dwaj sekretarze redakcji: Stanisław Kosicki i Tadeusz Sołtan, w dziale ekonomicznym Hanka Samsonowska i Krystyna Wyrzykowska (Krysia pisywała też do „Pobudki"), depeszowiec Włodzimierz Boruński, sportowcy Wiesław Kaczmarek i Władysław Lachowicz, oraz dwie młode, początkujące dziennikarki: Barbara Drzewińska i Zofia Tarnowska, przydzielone Gelbartowi do jego działu.

„Kurier Popularny" przypominał układem graficznym i doborem tematyki przedwojenny „Głos Poranny", co niewątpliwie zawdzięczał Stefanowi. Żywo redagowana gazeta miała sporo czytelników. Na jej łamach zamieszczał pełne pasji artykuły Henryk Wachowicz, sekretarz wojewódzkiego komitetu PPS, od kwietnia 1946 r. wiceminister bezpieczeństwa publicznego, zastępca Radkiewicza. Artykuły ukazywały się pod tytułem „Listy do Edwarda". Ich adresatem był Edward Uzdański, redaktor naczelny „Głosu Robotniczego", organu Komitetu Wojewódzkiego PPR. Uzdański odpowiadał Wachowiczowi na łamach swojej gazety. Ostre, momentami bezpardonowe polemiki dotyczyły linii politycznej obydwu partii, stanowisk, jakie reprezentowały, złożonych zagadnień problemowych. Przypominały mi przedwojenną *filipikę* prasową Czesława Ołtaszewskiego z Marcelim Sachsem oraz Władysława Polaka z Gustawem Wassercugiem. Z tą różnicą, że wówczas wytaczane sobie wzajemnie zarzuty obracały się wokół spraw błahych, tutaj szło o istotne, zasadnicze.

W redakcji zjawiał się co jakiś czas młody, stremowany blondynek. Przynosił jakieś wierszyki i rozpływał się w podziękowaniach, gdy mu je drukowano. Nikt by nie poznał w nim znanego dziś literata — tłumacza „Ulissesa" Jamesa Joyce'a — Macieja Słomczyńskiego.

Jan Dąbrowski, redaktor naczelny „Robotnika", bywał w „Kurierze" częstym gościem. Zanim centralny organ PPS przeniósł się do Warszawy, Jasio jako gospodarz tego lokalu znał każdy jego kąt. Upodobał sobie starą, wysłużoną kozetkę, służącą mu za miejsce błogiej kontemplacji, zwłaszcza po kilku głębszych. Miał zwyczaj zapisywania na bieżąco przychodzących mu do głowy tematów. Karteczki zasuwał za skarpetkę, do butonierki w marynarce, po czym wyciągał się jak długi na swym legowisku z nieodłącznym papierosem w ustach. Raz o mało nie spalił redakcji: od nie zgaszonego papierosa zajęły się papiery i krzesełko, na szczęście ktoś był jeszcze w redakcji i ogień zlokalizowano. Karteczki z pomysłami — jak wieść niesie — ocalały.

Kiedyś, a było to — jak wspomina Jan Sawicki, wieloletni redaktor naczelny łódzkiego oddziału PAP-a — w kwietniu 1945 r., obydwaj Jasie: Dąbrowski i Sawicki wybrali się w sprawach służbowych do Warszawy. W pociągu przez cały czas Dąbrowski zdradzał zniecierpliwienie, nie mógł się doczekać końca jazdy. „Temu to się musi śpieszyć — pomyślał jego współtowarzysz podróży — na pewno czekają go w stolicy pilne sprawy do załatwienia".

Gdy lokomotywa, sapiąc i wyrzucając z siebie kłęby pary, zahamowała na dworcu, Jasio Dąbrowski wyskoczył z przedziału i pobiegł peronem, pociągając za sobą drugiego Jasia.

— Prędzej, kolego, bo nie zdążę!

— Coś bardzo pilnego?

— Żołądek mi przyrósł do kręgosłupa, w gardle zaschło. Trzeba coś przekąsić.

— Ale gdzie?

— O, tutaj! — Dąbrowski wskazał prywatną... kwiaciarnię na wprost dworca.

— Na stare lata mam rąbać goździki? A może zadysponujecie bukiecik fiołków i niezapominajki na deser?

— Nie marudźcie, idziemy!

Ledwo znaleźli się w lokalu, Dąbrowski, nie patrząc nawet na pełne kwiatów wazony, siadł przy stoliku i gestem stałego bywalca przywołał kwiaciareczkę.

— Całuję rączki. Jak zwykle, panno Helenko, jak zwykle. Pół basa. Co macie dziś na zagrychę?

— Bigos, albo kiełbasa z rusztu...

— Jedno i drugie, tylko migiem, ledwo zipię.

Tak to wówczas w stolicy prywatna inicjatywa wychodziła naprzeciw potrzebom przybywających z różnych stron kraju klientów...

Wiesław Kaczmarek, rasowy dziennikarz, pobił swego rodzaju rekord: był najmłodszym posłem w dziejach władzy ludowej w Polsce. Gdy go wybrano na tę zaszczytną funkcję w pierwszych wyborach do Sejmu, miał niewiele ponad 20 lat. Pisał doskonale, znał się na sporcie jak mało kto. To on reaktywował w Łodzi „Przegląd Sportowy" i został redaktorem naczelnym organu młodzieżowego OM TUR „Młodzi idą". Do „Kuriera" przyszedł po przeprowadzce „Przeglądu" do Warszawy. Potem przez jakiś czas pracował w „Sporcie" katowickim, skąd wrócił do Łodzi, do „Głosu Robotniczego". A później pracował w „Dzienniku Łódzkim" (...)

4.

Poza Stefanem miałem w „Kurierze" jeszcze jednego przyjaciela, Włodka Boruńskiego. Pamiętałem go z występów w teatrzykach rewiowych przed wojną. Śpiewał pod Lopka Krukowskiego, swego kuzyna, a jeśli chodzi o nos — bił go na głowę. Poznaliśmy się przez Gelbarta i jak to często bywa z miejsca przylgnęliśmy do siebie. Zaczęło się od dowcipów, które w naszej interpretacji osiągały szczyty kunsztu.

— A to znasz? Dwóch starozakonnych wraca z wykładu o marksizmie. Jeden, oglądając się przezornie za siebie, powiada: „Jeżeli, daj Boże, nie ma Boga, to daj Boże. Ale jeżeli, nie daj Boże, Bóg jest, to nie daj Boże!". Do tego kawału nie przerywając spaceru dorobiliśmy na poczekaniu melodię, przypominającą pienie synagogalne. I odtąd przy każdym naszym spotkaniu witamy się pierwszym taktem owego śpiewanego dowcipu: Je-e-żeli, dá-a-j Boże...

Po kilku miesiącach Włodek zmienił miejsce pracy, poszedł do „Głosu Robotniczego", również na depeszowca. W 1949 r. wraz ze swą żoną Ireną Tomską przeniósł się na stałe do Warszawy i wówczas rozpoczęła się jego kariera pisarska. Wydał kilka tomików satyrycznych. Przysłał mi je w dowód pamięci i przyjaźni. Jeden zaopatrzył w zabawną dedykację: „Jeśli cierpisz na bezsenność, to ze sobą tomik ten noś". Pisał również teksty dla „Syreny", utwory liryczne, a w 1960 r., zupełnie nieoczekiwanie, za namową Tadeusza Konwickiego, zadebiutował jako aktor filmowy w „Zaduszkach". Grał w „Ziemi obiecanej" Wajdy, w „Zazdrości i medycynie" Majewskiego. Osobiście najbardziej sobie cenię jego rolę w serialu telewizyjnym „Polskie drogi" Morgensterna, gdy jako stary Żyd przyprowadza swą wnuczkę do polskiej rodziny, błagając o zaopiekowanie się dziewczynką. Jak pamiętamy, zaadoptował ją Kuraś, człowiek, zdawałoby się, zdolny jedynie do robienia interesów z Niemcami. Scena, gdy Boruński prosi wnuczkę, by zagrała na skrzypcach, chcąc tym zachęcić obecnych do przygarnięcia jej, na pewno nie tylko mnie wycisnęła łzy z oczu...

„Kurier Popularny" wychodził niespełna cztery lata, do kongresu zjednoczeniowego partii. Po likwidacji gazety pracowników rozmieszczono w trzech łódzkich redakcjach. Tylko naczelny przeniósł się do Warszawy. Pokorski został zastępcą naczelnego, a Kosicki sekretarzem redakcji — w „Głosie Robotniczym". „Głos", jak na ówczesne stosunki, otrzymał wyjątkowo rozbudowane kierownictwo: dwóch zastępców naczelnego (Stefański i Pokorski) oraz dwóch sekretarzy redakcji (Rudnicki i Kosicki). Hanka Samsonowska została kierownikiem działu partyjnego, Barbara Drzewińska zasiliła dział miejski „Głosu". Do „Dziennika Łódzkiego" trafili: Zosia Tarnowska i Władysław Lachowicz, ona do działu miejskiego, on do sportowego. Natomiast Krystynę Wyrzykowską i Stefana Gelberta skierowano do nas, do „Expressu".

Wytworzyła się głupia sytuacja. Stefan, starszy ode mnie dziennikarz, z większym stażem, mógł liczyć na to, że przypadnie mu teka sekretarza redakcji. Nie został nawet kierownikiem działu. Znalazł się w hierarchii służbwej o dwa mejsca za mną — dano mu etat publicysty. Po kilku miesiącach wyemigrował do nowo powstałego państwa Izrael. (...).

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku tomu książki pt. „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę". Zaznaczane wielokropkami skroty pochodzą od redakcji.

Foto: J. Kubik

1

Wiele hałasu o nic?

Tymi dniami spotkałem Poetę, który biegł Piotrkowską wyraźnie zaaferowany. — Nie wie pan — pyta — gdzie można kupić czerwone skarpetki? Nie zdążyłem oprzytomnieć (jakiś dowcip? może aluzja? nagły wybryk mody?) gdy słyszę następne pytanie: — A kto, proszę pana, objął dział literacki w „Odgłosach"? Odpowiedziałem. — Złożyłem tam swoje wiersze — mówi Poeta, ale jak tak, to lecę uczyć się gruzińskiego! I zniknął za najbliższym skrzyżowaniem. Panowie (apeluję do redakcji) wydrukujcie wiersze Poecie, a gdy dostaniecie podziękowanie w języku gruzińskim, to wiedzcie, że jego autorem będzie On, malowniczy i roztargniony, natchniony i zaabsorbowany parą skarpetek. Czerwonych.

Miewała Łódź swoich cyganów, artystów z bożej łaski, na kilometry rozpoznawalnych Poetów i wystylizowanych szaleńców. Wydane ostatnio „Kwiaty łódzkie" wersami Mariana Piechala przypomniały mi Lilli Fontella „śpiewaka wszechczasów", który przed laty odbywał w naszym mieście uliczne tournée. Gdzież oni są, jaki czas ich ogarnął? Czyżby Poeta, który zainspirował ten tekst był ostatnim z nich?

Wdałem się w tę stylistykę pytań retorycznych jeszcze z innego powodu. Czytam oto, kupioną przed paroma dniami, książkę Tadeusza Drewnowskiego „Tyle hałasu o nic?" z podtytułem „Wspomnienia" i zastanawiam się jaki to czas, jaka to aura wywołały u naszych pisarzy tę istną falę autobiograficznych rekapitulacji, wspominków i autoocen. Pamiętamy „Kalendarz i klepsydrę" Konwickiego, „Pamiętnik moich książek" Bratnego (wydawnictwa zapowiadają część drugą), „Pół wieku" Putramenta, książki Brandysa i Woroszylskiego, literacką biografię Parnickiego, a także „Miazgę" Andrzejewskiego — żeby poprzestać na tych tylko przykładach. Nostalgia wieku dojrzałego? A może utrata wiary w literackie fikcje i potrzeba konfrontacji — twarzą w twarz — z czytelnikiem? Lub historia dni, które zdynamizowały swój bieg jest impulsem do spowiedzi z inteligenckich obrachunków? Albo próba rekonstrukcji — często kreacji — swojego obrazu, takiego na użytek innych? Dociekać by długo. Każde z tych pytań — odpowiedzi mieści się w zespole rozmaitych przyczyn i motywacji jakie pisarzami kierują. Zresztą wszystkie te książki pozostają do siebie w stosunku komplementarnym, niekiedy polemicznym, bo są także pokoleniową wiwisekcją postaw, taktyk i programów — również ideowo-politycznych.

Tadeusz Drewnowski dokonuje tej wspomnieniowej rekonstrukcji czasu przeszłego na chłodno bez histerii kokieterii i bicia się w cudze piersi („ja, panie dzieju byłem porządnym człowiekiem — to on był świnia"). Niczego nie przekreśla. Nie ma w jego książce nic z wystylizowanego ekshibicjonizmu Drewnowski z temperamentu analityczny krytyk (znakomite studia o Borowskim i Dąbrowskiej) w „Wiele hałasu o nic?" krytykiem pozostał. Choć i ta swoista fenomenologia środowiskowa nie jest pozbawiona nacechowanej emocjami nostalgii. Zwłaszcza dotyczy to łódzkiego epizodu jego biografii, zatytułowanego „Łódź — moja rewolucja". Pisze wprawdzie: „Z odrazą myślałem o obskurnej, pospolitej Łodzi. Nie wyssałem przecież z mlekiem matki zachwytu dla tego odrażającego miasta. Nie, tak bezapelacyjnego patriotyzmu (jak Tuwim — przyp. mój) nie demonstrował żaden z nowych łódzkich poetów" — ale nie pejzaże, ani „spatynowane zakątki historii" uczyniły po roku 1945 z naszego miasta intelektualno-ideowe centrum, lecz ludzie I nieważne czy nazwać ich napływowcami czy tranzytowcami. „To miasto drążyło jednak niewidocznie i niepostrzeżenie ze sobą wiązało".

Dla łodzianina, zwłaszcza z mojej generacji, dla której powojnie tego miasta jest pożółkłą już nieco kartką z podręcznika historii, wspomnienia Drewnowskiego rozbłyskują jak jakaś złota legenda — czas w dziejach cienia stolicy (nie ma co popadać w lokalne patriotyzmy) roztętniony, ważny i w gruncie rzeczy niepowtarzalny. Nowo powstały Uniwersytet — tygiel pokoleniowy, klasowy, a więc i polityczny. „Kuźnica" — promotorka ówczesnej rewolucji światopoglądowej. Burzliwa instytucjonalizacja organizacji społecznych i politycznych. No i ludzie, całe zespoły ludzi, których działania i dążenia ważyły przedtem i teraz na naszej ludowo-socjalistycznej świadomości. „Gdy piszę o Łodzi — zamyka ten rozdział książki Drewnowski — wspominam moją rewolucję. Na pewno nie była to Bastylia, Kronsztad, a nawet lasy bieszczadzkie, ale była to jakaś cząstka polskiej rewolucji, która mi się nierozłącznie skojarzyła z moją młodością".

Gdzież są niegdysiejsze śniegi — wypada westchnąć łodzianinowi i pomarzyć (też sobie znalazł czas na marzenia!) nie tyle o niezapomnianym, prawda, okresie minionym (tak tytułuje jeden z rozdziałów swojej książki Drewnowski) ile o ludziach, którzy chcieli chcieć.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. *Już po napisaniu tego tekstu zaglądam w najnowszy numer „Odgłosów". I co znajduję? Wiersze Poety! Ciekawym czy tak samo poszczęściło mu się ze skarpetami?*

2

Lewym okiem

Co za pech!

Niedawno przebywała w Londynie reprezentacja Polski w piłce nożnej. Dwaj członkowie drużyny zostali przyłapani na kradzieży bluzek, swetrów i kosmetyków w domu towarowym, po czym w sądzie buńczucznie oświadczyli, że przecież reprezentują Polskę, więc jak można ich tak zwyczajnie sądzić za złodziejstwo...

Zostali skazani tylko na zwrot kosztów rozprawy, bo przecież po powrocie do kraju na pewno odpowiedzą przed polskim wymiarem sprawiedliwości. Koszty zapłacił za nich polski konsulat. A zaraz potem „reprezentanci Polski" oświadczyli wobec policji londyńskiej że chcą być emigrantami politycznymi i do ojczyzny nie wrócą.

Kiedy reprezentacja Polski wygrywa mecz, prasa całego świata pisze: Polacy świetnie grają w futbol. Kiedy reprezentacja Polski kradnie, prasa napisze podobnie: Polacy okradają domy towarowe.

Ambasador jest dużo ważniejszym reprezentantem kraju mieszka w domu z godłem PRL, ze sztandarem PRL; na swoje ręce przyjmuje zaszczyty i wyrazy uznania, przeznaczone dla całego narodu. Już trzech naszych bardzo eksponowanych ambasadorów, najściślejsza, elitarna reprezentacja państwa polskiego, ogłosiło brak zainteresowania naszym losem i zwróciło się o azyl za granicą.

Co za pech z tymi reprezentantami! Przecież mieli ucieleśniać, symbolizować, reprezentować cały naród! Czy złodziejstwo i ucieczka spod sztandarów to nasze reprezentatywne, najczęściej spotykane cechy, że z takim natężeniem występują w drużynie piłkarskiej i w korpusie dyplomatycznym?

Oczywiście, zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, kiedy ktoś uzna prywatnie, osobiście, bez narażania na szwank wysokich mandatów, że w kraju nic dobrego spotkać go nie może, że sam krajowi nigdy na nic się nie przyda i zresztą wcale przydawać się nie musi, że — jednym słowem — powinien emigrować. Proszę bardzo. Myślę, że jedną z wolności osobistych człowieka powinna być na całym świecie swoboda wyboru miejsca na życie. Nikt nie powinien być glebae adseriptus, przypisany do ziemi, do ograniczonego kółka na Ziemi, naszej lichej planecie.

Jeżeli ktoś nikogo poza samym sobą nie reprezentując, decyduje się na szukanie wiatru w obcym polu — jego rzecz. Przygotowywane akty prawne uregulują chyba tę sprawę zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. Kto chce, niech jedzie, jeżeli mu tamci drzwi przed nosem nie zatrzasną. A jeśli tak, jeśli zatrzasną, a on będzie stał pod tymi drzwiami i skamlał, albo właził przez okno, albo wkupywał się szmatławymi, judaszowymi metodami — jeśli uzna, że to wszystko wciąż jeszcze mu się opłaci, byleby wyrwać się spomiędzy nas — ach, krzyż na drogę!

I tylko zostaje gorycz taka, że w gardle dławi. Bo myśmy — moje zdziesiątkowane pokolenie — siedząc w niemieckich lagrach przemyśliwali bez ustanku o tym, jak z narażeniem na tortury, na śmierć, wyrwać się zza obozowych drutów. A teraz czytamy o tym, jak w Austrii i w RFN dziesiątki naszych rodaków nocami przedziera się przez takie same druty, do takich samych obozów pilnowanych może przez tych samych ludzi co wtedy.

Nie chcę sobie wyobrażać, co myśli stary Niemiec, u którego pracowali polscy niewolnicy, a do którego pchają się teraz ochotniczo dzieci tych niewolników. Dzieci, którym pieniądz nie śmierdzi, jaki by nie był.

Nie chcę sobie tego ani przez chwilę wyobrazić. Jednego tylko pragnę: żeby żadnemu złodziejaszkowi, przyłapanemu na gorącym uczynku; żadnemu doktorowi czy magistrowi bijącemu się o prawo szorowania wychodków w Hamburgu; żadnemu obwieszonemu orderami dyplomacie wypinającemu się na swego mocodawcę — nie przeszły przez gardło słowa, że oni przecież reprezentują Polskę...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

3

Sport

Spacer na rowerze

W końcu mnie to nawet wciągnęło. Nie, żeby zaczął mnie fascynować sam przebieg Wyścigu Pokoju, ale zakładałam się sama ze sobą, czy ruszy się coś w tym zaklętym peletonie, czy też się nie ruszy. Nie ruszyło się. Zgodnie z moimi przewidywaniami, że Polska uplasuje się na 5 lub szóstym miejscu, Polska zajęła 5 miejsce, ustępując również Bułgarii, która była 4, a do kolarskich potęg ani na świecie, ani w Europie nie należy. Tegoroczny Wyścig Pokoju przypominał zresztą intensywną wycieczkę na rowerze. A że w wycieczce tej brali udział wytrawni kolarze, to i tempo było większe niż w wyprawach turystycznych. Zresztą również sprawozdawca „Trybuny Ludu", podsumowujący 35 Wyścig Pokoju jest podobnego zdania, tyle, że wyraża je inaczej: „Z punktu widzenia wymagań, jakie matka-natura postawiła kolarzom — nie najtrudniejszy". Ładnie powiedziane, ale przypominam, że „Trybuna Ludu" jest jednym z organizatorów tego Wyścigu.

Jaki to jest Wyścig? Tradycyjny. To nie ulega wątpliwości. Ale i — przepraszam za określenie — peryferyjny. To nic, że biorą w nim udział drużyny niemal z całej Europy, z Azji, Afryki i Ameryki. Jest to wyścig peryferyjny, gdyż tak się złożyło, iż rozgrywany jest on już od kilku ładnych lat między czterema drużynami: ZSRR, NRD, CSRS i Polską. I pod walkę między tymi zespołami ustawia się cały wyścig. To przecież nie był przypadek, że ucieczki — tę atrakcję każdego wyścigu, ale też i taktykę prowadzącą czasami do zwycięstwa — inicjowali zawodnicy spoza tej czwórki, a kiedy uciekli dwaj kolarze mongolscy, w peletonie — jak zwierzali się polscy kolarze wybuchnął gromki śmiech, bo oni, główni aktorzy tej imprezy byli na miejscu i wzajemnie się pilnowali. Reszta się nie liczyła. Ale przy takim założeniu nie ma rywalizacji, nie ma imprezy, nie ma sportu.

Stanisław Szozda w telewizyjnym komentarzu zwrócił uwagę na komfortową niemal trasę, przypominając, albo informując tego, kto o tym nie wie, że tego typu imprezy w innych rejonach Europy mają trasy wytyczone po bocznych drogach, a nieraz i ścieżkach. Rzecz bowiem w tym, aby stopień trudności był coraz wyższy i aby nie stwarzać okazji do jazdy kupą, co już od lat praktykują uczestnicy Wyścigu Pokoju. Nie przypadkiem było też zwycistwo w górskiej konkurencji debiutanta — Heryka Santysiaka. Bo takie też to były i góry. Całą resztę wyścigowych zaszczytów zebrał Olaf Ludwig, co nie najlepiej świadczy o jego partnerach.

Monotonność tego wyścigu była tak silna, że nawet sprawozdawcy sportowi ulegli i komentując próby ucieczek tego czy innego kolarza uspokajali widzów i słuchaczy, że to się nie liczy, że mają oni duże straty do zwycięzcy i że nie ma się czym przejmować, co zresztą widać na załączonym — telewizyjnym — obrazku, bo cały peleton jedzie spokojnie, w dobrych humorach, nastrojach i kondycji. Ale Rumun M. Romascanu uciekał tak długo, aż wreszcie wjechał pierwszy na metę w Berlinie. To prawda, że Olaf Ludwig już nie musiał być pierwszy, trzecie miejsce też mu wystarczało, ale ambicja zwyciężenia w swojej stolicy powinna się również liczyć. Rumun Romascanu w ogólnej klasyfikacji zajął 20 miejsce, był gorszy nawet od naszego najlepszego A. Serediuka, który zajął 13 miejsce, ale Rumun miał ochotę do walki. Nasi też ją mieli, tylko jakoś im nie szło. Zbytnio widać pilnowali rywali z „wielkiej trójki", to jest kolarzy NRD, ZSRR i CSRS, którzy się w tym wyścigu liczyli. Jakoś im nie przyszło do głowy, że trzeba też pilnować Bułgarów.

Specjaliści przestrzegają, żeby nie krzyczeć na naszych „milusińskich", bo oni... debiutanci. Otóż przypominam specjalistom: że w 1974 roku w polskiej drużynie na Wyścigu Pokoju startowali: Bernard Kręczyński, Jan Brzeżny, Janusz Kowalski, Tadeusz Mytnik, Józef Kaczmarek i Stanisław Szozda. I tylko Stanisław Szozda nie był debiutantem. I co zrobili ci debiutanci? Zdobyli I miejsce zespołowo!!! A Stanisław Szozda koncertowo zdobywał pierwsze miejsca etap po etapie. To też była zasługa zespołu. Więc nie mówcie mi, że tym razem było gorzej, bo byli debiutanci. Po prostu — źle jest z polskim kolarstwem i źle jest z Wyścigiem Pokoju. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że trzeba tej imprezie nadać większą rangę, uczynić ten wyścig trudniejszym, spowodować, aby zaczęły brać w nim udział zespoły, które poza „wielką czwórką" też będą się liczyły. Inaczej kolarstwo „wielkiej czworki" nastawione głównie na tę imprezę będzie siadało, „dołek" będzie się pogłębiał, a mamy przecież szansę, aby impreza ta była niejako wstępem do mistrzostw świata, aby tu startowali i sprawdzali się wszyscy, którzy chcieliby w tych mistrzostwach odegrać jakąś rolę.

Mnie nie chodzi o to, żeby każdy wyścig wygrywali nasi kolarze, ale o to, aby była to rzeczywista a nie pozorna rywalizacja. A tak nie będzie, dopóki nie wpuścimy do tego wyścigu „świeżej krwi", dopóki nie rozszerzymy grupy tych, którzy rzeczywiście umieją się ścigać na rowerze. Ale jeśli nasi słabi debiutanci, zbyt późno wybrani i przygotowani, uważają, że się w tym liczą, to coś nie w porządku jest z tą imprezą. I nim tego nie zrozumieją nasi działacze PZKol., nim tego nie zrozumieją trenerzy i kolarze, ciągle będziemy tkwili w impasie i ciągle trudno będzie wyłazić z kolarskiego dołka.

BOGDA MADEJ

4

Spojrzenie znad szachownicy

„Remisowa śmierć"

Żywię uparty cień nadziei, że moja sympatyczna koleżanka pisująca o sporcie na tejże przedostatniej stronie zdobędzie się na desperacki finisz tuż przed dzwonkiem obwieszczającym zamknięcie numeru i cała zadyszana zdąży z felietonem na metę, plasując się wprawdzie na pozycjach zajmowanych zwykle przez kolarzy mongolskich, lecz mieszcząc jeszcze w limicie czasu. Jeżeli, jak powiadam, zdąży, to bez wątpienia podsumuje ostatni Wyścig Pokoju; jeżeli zaś podsumuje, to również bez wątpienia ponarzeka na nudę wiejącą z „remisowych etapów", w których na metę wpadał cały peleton kolarzy.

Otóż na kolarstwie — wstyd prawdziwy — nie znam się tak dokładnie, że właściwie nie wiem nawet, czy choć trochę umiem jeździć na rowerze. Natomiast z remisami i nudą inna sprawa — koniec końców w młodości grywało się trochę w szachy, a potem przez ćwierć wieku z górą robił człowiek za recenzenta przy teatrze, mogę więc wtrącić swoje trzy grosze.

2.

Szachy są grą o sumie zerowej, to znaczy jeżeli ktoś jeden wygra, ktoś drugi musi koniecznie przegrać i w zasadzie nie da się zrobić — poza podwójnym walkowerem, ale to sprawa przepisów, nie gry samej — aby było inaczej. Najprawdopodobniej są też szachy grą czczą, czyli zawsze i nieodwołalnie remisową przy optymalnej strategii obu stron, ale to ewentualnie potwierdzą nam dopiero komputery przyszłych generacji, bo współczesne są jeszcze za głupie, by podobne zadanie rozwiązać.

Potwierdzą, czy nie potwierdzą, zawsze będzie to zmartwienie komputerów, nie ludzi, ci bowiem jak są, tak pozostaną omylni, ktoś zrobił słaby ruch, ktoś inny potrafi go wykorzystać i zamiast remisu padnie rozstrzygnięcie. A komputerowych analiz — nawet gdy zostaną dokonane — nikt po prostu nie spamięta, przypomnę bowiem, com pisał, że wedle szacunkowych rachunków ilość możliwych do wytworzenia w szachach pozycji zamyka się liczbą o 601 cyfrach. Kto ciekaw niech najpierw wykaligrafuje jedynkę, a potem dopisze 600 zer — zobaczymy, dużo to, czy mało (dla ułatwienia dodaję, że w jednym wierszu niniejszego felietoniku zmieściłoby się tych zer zaledwie 28).

Mimo wszystko lat temu mniej więcej sześćdziesiąt, gdy pokonawszy Laskera 33-letni Kubańczyk Jose Raoul Capablanka'y Gruypera zasiadł na tronie mistrza świata, w szachowym światku zaczęło się przebąkiwać o „remisowej śmierci" zagrażającej tej starej i szacownej grze. Capablanka grał lekko, pozornie bez wysiłku, a jednak prawie nie robił błędów i przegrywał partie tak niezwykle rzadko, że zdawał się praktycznie nie do pokonania. Jeżeli — mówiono — pojawi się drugi i trzeci Capablanka, „królewska gra" zblednie, straci wielbicieli i kibiców, bo po cóż przyglądać się partii, której wynikiem będzie stale i wciąż remis?!

Skończyło się jednak na strachu tylko, w roku 1927 wyzwanie Capablance rzucił Aleksander Alechin, Rosjanin z pochodzenia, który w długim i ciężkim meczu zadał przeciwnikowi sześć porażek, trzy partie przegrał i pozostałych dwadzieścia pięć zremisował, zdobywając szachową koronę. Potem Capablankę nauczyli się zwyciężać również inni, mit prysnął, a o „remisowej śmierci" szachów przestało się w ogóle mówić.

I tak jest do dzisiaj. Waleczny, niezwykle długo zachowujący sportową młodość Botwinnik, „żelazny", chłodno kalkulujący Petrosjan, kapryśny, nieobliczalny, a zarazem chyba aż genialny Fischer, wreszcie aktualny mistrz świata Karpow — wszyscy oni robili i robią błędy, wszyscy niekiedy przegrywają, ich następcy też będą przegrywać i tak aż po sądny dzień tego najlepszego ze światów. Szachy natomiast — pozwólcie mi wierzyć — nie skończą się nigdy, jeżeli bowiem nie kosmici, a poczciwi ziemianie wymyślili tę grę, jest teraz naszym psim obowiązkiem zawieść ją aż na krańce galaktyki na dowód, że nie zmarnowaliśmy ze szczętem tych wszystkich koszmarnie długich lat od dnia, gdy prażycie zaległo się w praoceanie.

3.

Zacząłem od Wyścigu Pokoju, czy nawet od wiecznie zagonionej koleżanki, potem zapędziłem się aż w kosmos, czas zleźć na ziemię i powiedzieć parę zdań serio. Szachy są grą zerową, prawda, ile wygranych, tyle przegranych, remisy się w meczach nie liczą, choć w turniejach każdy skrzętnie ciula nawet te skromne półóweczki.

W życiu jest inaczej. Remisy, rozstrzygnięcia pokojowe, ugodowe, liczą się jak najbardziej, natomiast wygrane nie sumują się z przegranymi i gdy dochodzi do prawdziwej walki bywa, że obie strony muszą zapisać na swoim koncie smutne zera lub co gorsza — wyniki ujemne. A kto nazbyt ulega emocjom, aby chłodnym okiem szachisty spojrzeć na własne podwórko, niech pomyśli o beznadziejnie przeciągającej się wojnie między Iranem a Irakiem, z której oba kraje, czy nawet cały świat arabski, muszą wyjść boleśnie osłabione.

JERZY

Najdłuższy dzień Zbigniewa Brzezińskiego

— Jak przygotowywano odbicie amerykańskich zakładników w Teheranie
— Jak z Waszyngtonu kierowano akcja

Zbigniew Brzeziński, doradca prezydenta do spraw narodowego bezpieczeństwa w administracji Jimmy Cartera, opublikował na łamach londyńskiego tygodnika „The Observer" relację z przygotowania i realizacji planu odbicia amerykańskich zakładników w Teheranie. Relację tę drukujemy z niewielkimi skrótami. Śródtytuły pochodzą od redakcji „Odgłosów". Opowieść Zbigniewa Brzezińskiego pokazuje mechanizmy i metody działania amerykańskiej administracji i CIA.

Już w dwa dni po wzięciu zakładników w naszej ambasadzie w Teheranie, w listopadzie 1979 roku, uruchomiłem proces planowania operacji ich odbicia. Po rozmowie z prezydentem Carterem, zatelefonowałem do ministra obrony, Harolda Browna i poinformowałem go, by rozkazał Kolegium Szefów Sztabów podjęcie pracy nad takimi planami. Uważałem, że potrzebujemy tego typu plan na wypadek — co w tamtym momencie wydawało się zupełnie możliwe — gdyby niektórzy z zakładników zostali postawieni przed sądem i skazani na karę śmierci, bądź też zostali po prostu zabici przez swoich porywaczy.

Pod osłoną nocy

Plan, jak się okazało po czterech miesiącach skrupulatnych analiz, zakładał operację dwudniową: pierwszej nocy osiem śmigłowców spotka się z trzema samolotami transportowymi C-130 pośrodku Pustyni Perskiej, żeby uzupełnić paliwo i zabrać na pokład grupę szturmową, a następnie śmigłowce te będą kontynuowały lot do pewnego miejsca w pobliżu Teheranu, gdzie grupa ukryje się na cały dzień. Faktyczny szturm nastąpi następnej nocy.

W wyniku wdarcia się *(grupy szturmowej* — red.) na teren ambasady, wszyscy zakładnicy, a być może również trochę więźniów *(Irańczyków* — red.), zostaną przerzuceni na pobliski stadion. Stamtąd śmigłowce przetransportują całą grupę na jedno z lotnisk w pobliżu Teheranu, zajęte — poprzez nieoczekiwane lądowanie amerykańskich wojskowych samolotów transportowych *(owe trzy C-130 oczekujące na lotnisku na pustyni* — red.). Cała operacja zostanie przeprowadzona w ciemnościach.

Po licznych szczegółowych weryfikacjach *(planu* — red.) i ocenie personalnej dowódców, morale oraz wyszkolenia grupy, przy coraz skuteczniejszym wsparciu danymi wywiadu, dostarczanymi przez admirała Turnera i CIA, wszyscy czuliśmy, że operacja jest wykonalna, zakładając, iż Irańczycy nie zostaną w porę ostrzeżeni.

Dług wdzięczności

Uzyskaliśmy wielkoduszną współpracę pewnego zaprzyjaźnionego kraju, jak też narzuciliśmy współdziałanie — nieświadomym tego — pewnym innym krajom regionu. Prezydent Sadat — jak oczekiwaliśmy — był odważny i popierał nas w pełni. W rozgrywaniu sprawy z innymi przyjaznymi nam krajami, czuliśmy, że musimy brać pod uwagę ich wewnętrzne słabe strony. Zrobiliśmy więc wszystko, co niezbędne, sądząc, iż ich uraza z powodu tego, że nie były konsultowane, będzie mniejsza, niż ich zakłopotanie, gdyby zwrócić się do nich z tym wcześniej. Na koniec muszę podkreślić, że niektóre inne kraje — niekoniecznie te, po których można było tego oczekiwać — były nam pomocne pod kątem wewnętrznych przygotowań w Iranie i mamy wobec nich dług wdzięczności, który pewnego dnia zostanie bez wątpienia spłacony.

Negocjacje w sprawie zwolnienia zakładników zostały zerwane w pierwszych dniach kwietnia 1980 r. 10 kwietnia przekazałem prezydentowi memorandum zatytułowane „Uwolnienie zakładników", w którym dowodziłem, że dalsze negocjacje będą daremne, i że zasadniczo musimy wybrać między operacją ich odbicia a użyciem siły. Ponieważ to ostatnie rozwiązanie mogło łatwo wepchnąć Iran w ręce Związku Radzieckiego, zalecałem, że prezydent powinien poważnie rozważyć podjęcie decyzji w sprawie operacji odbicia. Pisałem, że jeśli nie zrobimy czegoś, żeby radykalnie zmienić sytuację, będziemy musieli zgodzić się na nieustanne więzienie zakładników przez lato i dłużej.

Jak powzięto decyzję?

Następnego ranka Carter powiedział mi, że chce w trybie pilnym zwołać posiedzenie Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Powiedział, że nadszedł czas działania. Spotkanie trwało od 11.30 do 13.20. Mimo powagi i znaczenia posiedzenia, prezydent postanowił nadać mu nieco nieformalny charakter. Otworzył posiedzenie oświadczając, że według jego opinii prawdopodobieństwo szybkiego zwolnienia zakładników było odległe, a zatem musimy ustalić nasze opcje, i że nadszedł czas powzięcia decyzji, jakie działania trzeba przeprowadzić oraz ustalenia szczegółowego rozkładu czasowego tych działań.

Jako pierwszy zabrał głos Warren Christopher, który zwrócił uwagę na pewną liczbę opcji niewojskowych, które — jego zdaniem — moglibyśmy brać pod uwagę. Moglibyśmy zwrócić się do ONZ, moglibyśmy umieścić na czarnej liście irańskie statki i samoloty *(tzn. odmówić im prawa zawijania do portów i lądowania na lotniskach USA* — red.), moglibyśmy dążyć do wprowadzenia międzynarodowego embarga telekomunikacyjnego, zaś wszystko to dałoby (zachodnim) Europejczykom więcej czasu na udzielenie nam poparcia. Do dyskusji włączył się natychmiast Harold Brown, odrzucając sugestie Christophera, jako nie wywierające większego wrażenia. Następnie dokonał przeglądu stojących przed nami opcji, zakładając działania karne *(pod adresem Iranu* — red.) i zakończył stwierdzeniem, że blokada mogłaby popchnąć Iran w kierunku Związku Radzieckiego. Opowiedział się za próbą odbicia.

Wiceprezydent Fritz Mondale oświadczył prosto z całą mocą, że odbicie daje nam najlepszy sposób wyjścia z sytuacji, która staje się nieznośnie upokarzająca. Prezydent zwrócił się do mnie, żebym wypowiedział moje zdanie, więc oświadczyłem, że prezydent zna mój pogląd, wobec czego ograniczę się do stwierdzenia, iż według mojego przekonania, powinniśmy podjąć próbę odbicia tak szybko, jak będzie to możliwe, gdyż noce stają się coraz krótsze, i że powinniśmy rozważyć wzięcie więźniów, żeby mieć element przetargowy, na wypadek gdyby Irańczycy wzięli innych Amerykanów jako zakładników, oraz że powinniśmy rozważyć równoczesne uderzenie odwetowe na wypadek, gdyby próba odbicia nie powiodła się.

David Jones i admirał Turner skupili swoją uwagę na tym, w jaki sposób można będzie dokonać odbicia. W tym momencie zabrał głos — na dłużej — prezydent mówiąc, że przedyskutował sprawę w pełni ze swoją żoną Rosalynn, szefem personelu Białego Domu, Hamiltonem Jordanem, z Fritzem Mondalem i z Jody Powellem, dodając, że dyskutował ją obszernie ze mną. Jego wniosek — powiedział — jest taki, że musimy podjąć zdecydowane działanie. Przy okazji Carter zauważył, że Cyrus Vance, przed udaniem się na urlop na Florydę, powiedział prezydentowi, iż jest przeciwny wszelkiej akcji wojskowej; jeśli jednak trzeba będzie dokonać wyboru między odbiciem a szerszą blokadą, wolałby odbicie. Gra idzie o nasz honor narodowy — powiedział Carter, podkreślając, że Sadat oświadczył mu, iż nasz prestiż międzynarodowy jest nadszarpnięty w wyniku długotrwałej bierności. Prezydent zakończył stwierdzeniem, że musimy podjąć próbę odbicia zakładników. Operacja musi zostać przeprowadzona w najwcześniejszym możliwym terminie, za który gen. Jones uznał 24 kwietnia. O 12.48 prezydent powiedział: *„Powinniśmy działać niezwłocznie".*

Kości zostały rzucone

ale nie obeszło się bez jeszcze jednej debaty w tej sprawie. Vance wrócił z urlopu i w poniedziałek, 14 kwietnia, on i ja dyskutowaliśmy krótko tę decyzję, stojąc obok Owalnego Gabinetu prezydenta, na portyku Białego Domu wychodzącym na Ogród Różany. W ogrodzie odbywała się jakaś ceremonia oficjalna z udziałem prezydenta, więc Vance i ja byliśmy obserwowani z oddali przez fotografów i dziennikarzy. Pamiętam, że zakrywałem usta ręką, żeby żaden specjalista od czytania z warg nie mógł powiedzieć, o czym mówiliśmy. Vance powiedział mi, że jest przerażony i upokorzony tą decyzją. Powiedziałem więc, że w tym przypadku powinien niezwłocznie poinformować o tym prezydenta, ja zaś poprę jego żądanie formalnego posiedzenia Krajowej Rady Bezpieczeństwa dla ponownego omówienia sprawy, lecz równocześnie dodałem, że popieram decyzję, ponieważ moim zdaniem jedyną alternatywą, przed jaką stoimy, jest szersza akcja wojskowa.

Krajowa Rada Bezpieczeństwa spotkała się, w tajemnicy, ponownie w godzinach od 12.45 do 14.50 we wtorek, 15 kwietnia. Siedzący z ponurą miną Carter otworzył spotkanie, prosząc Vance'a by w sposób ogólny przedstawił swoje obiekcje. Vance położył nacisk na to, że zgodnie z jego przekonaniem, czyni się ciągle postępy w negocjacjach, że sojusznicy zaczynają się przyłączać do naszych sankcji, i że operacja odbicia nie obejdzie się prawdopodobnie bez strat w ludziach. Jako pierwszy odpowiedział Brown, pytając obcesowo „Kiedy więc oczekujesz zwolnienia zakładników w tej sytuacji?", Vance odpowiedział, że nie wie, i że obawia się, iż operacja może zakończyć się tym, iż niektórzy z nich zostaną zabici.

Ja ograniczyłem moje własne komentarze do uwagi, że albo podejmiemy próbę odbicia teraz, albo będzie na to za późno, po prostu dlatego, że nie będziemy mieli dostatecznie długiej nocy na przeprowadzenie tej operacji. Po krótkiej wymianie poglądów prezydent powiedział po prostu: *„Będę realizował decyzję, którą podjąłem".*

16 kwietnia 1980 roku prezydent przewodniczył tajnemu spotkaniu w Pokoju Sytuacyjnym od 19.37 do 21.55 z dowódcami operacji. Prezydent był głęboko poruszony. Nie tylko skrupulatnie badał każdy aspekt operacji, ale również podkreślał, że nie będzie ingerował w decyzje operacyjne — wojskowi muszą mieć maksimum swobody w ramach zaaprobowanych planów.

Na dzień przed operacją odbicia, 23 kwietnia, prezydent, wiceprezydent Mondale, Turner i ja, spotkaliśmy się przy małym stoliku w Ogrodzie Różanym o 11.30, żeby omówić stan zaawansowania operacji. Wszystko rozwijało się pomyślnie i do tego momentu nie było żadnych przecieków, ani też nieoczekiwanych problemów technicznych czy politycznych. Prezydent postanowił, że następnego dnia, w dniu akcji, on będzie urzędował, jak zwykle, w Owalnym Gabinecie, ja będę działał poza moim gabinetem, a Brown będzie pozostawał ze mną w kontakcie z Ministerstwa Obrony. Generał Jones będzie osobiście kierował operacją z Krajowego Ośrodka Dowodzenia Wojskowego.

Zanotowałem w moim dzienniku:

„Pierwsza, decydująca faza operacji, zacznie się za 14 godzin. Czuję, że się powiedzie. Zdaję sobie sprawę, że jeśli poniesie ona fiasko, będę krytykowany bardziej, niż inni, ale jestem na to w pełni przygotowany. Jeśli przyniesie to sukces, dam Stanom Zjednoczonym salut armatni, którego potrzebują bardzo od 20 lat".

Najdłuższy dzień

w ciągu moich 4 lat w Białym Domu rozpoczął się od dającej nadzieję notatki. O godz. 10.20 generał Jones doniósł mi, że pogoda jest dobra i osiem śmigłowców znajduje się w drodze. Wcześniej, Turner doniósł, że mamy dodatkowe informacje o rozmieszczeniu zakładników, a nasza grupa w Teheranie, która miała odegrać kluczową rolę współdziałając w uderzeniu na ambasadę, była wyjątkowo optymistyczna, jeśli idzie o perspektywy operacji.

W ciągu przedpołudnia działo się już niewiele i spotkałem się z prezydentem, Mondalem, Vancem, Brownem, Jordanem i Powellem na lunchu. Dokonaliśmy przeglądu rozwoju akcji do tego momentu. Atmosfera była odprężona, wszyscy byliśmy wewnętrznie spięci, ale na zewnątrz zachowywaliśmy się, jak zwykle. W połowie lunchu Brown został wywołany z pokoju i wrócił z doniesieniem, że dwóch śmigłowców brakowało na miejscu lądowania, ale mogą się one po prostu spóźnić.

Do godziny 15.15 nie było dalszych informacji. Byłem w moim biurze, kiedy zatelefonował Brown z doniesieniem, że dwa śmigłowce wyłączyły się z operacji, lecz wstępne wskazówki mówiły, że pozostałych sześć działa zgodnie z planem. W każdym razie wszystkie C-130 wylądowały już *w ciemnościach na miejscu spotkania — Pustyni I, ale doszło do nieoczekiwanych komplikacji.*

Miejsce zostało wybrane w pobliżu drogi, gdyż dawało nam to najlepszą możliwość wyselekcjonowania odpowiedniego lądowiska na pustyni. Wkrótce po wylądowaniu trzech C-130 zauważono trzy pojazdy na drodze, w pobliżu miejsca lądowania; jeden z nich odjechał, zaś jednym z pozostałych, zatrzymanych przez naszych ludzi, okazał się autobus wiozący 40 osób. Brown i ja omówiliśmy sytuację i zgodziliśmy się, że nie ma podstaw do przerywania operacji. O godz. 15.30 spotkałem się z prezydentem, żeby poinformować go o rozwoju sytuacji i powiedziałem mu, że zgodnie z moim przeświadczeniem nie ma powodu do przerywania operacji. Carter był bardziej zaniepokojony niż ja i bardzo skrupulatnie rozważaliśmy wszelkie możliwe konsekwencje takiego rozwoju sytuacji. Potem przyłączył się do nas Mondale i powiedziałem im obu, że możemy po prostu zamknąć nieoczekiwanych „gości" w jednym z C-130 i uwolnić ich po zakończeniu operacji. Żeby upewnić się, że można tak zrobić, prezydent zatelefonował o godzinie 15.38 do gen. Jonesa i po konsultacjach z nim zgodził się, że nie ma przeszkód w kontynuowaniu operacji.

O 16.20 otrzymałem raport od Browna, że wszystko jest pod kontrolą na miejscu spotkania. Cztery śmigłowce zakończyły już tankowanie paliwa, a dwa pozostałe były ciągle tankowane. Oficer dowodzący oczekiwał, że w ciągu około 40 minut wszystko na Pustyni I zostanie zakończone i będzie się mogła rozpocząć następna faza operacji. Wierzyłem w to.

Komplikacje

O 16.45 wszystko zmieniło się dramatycznie. Zatelefonował Brown: „Myślę, że mamy sytuację upoważniającą do przerwania operacji — powiedział. — Jeden śmigłowiec na Pustyni I ma problemy z hydrauliką. Mamy już mniej niż niezbędne sześć śmigłowców do dalszego działania. Możemy użyć C-130 do zabrania ludzi z Pustyni I".

Byłem oszołomiony tą informacją i zadałem Brownowi gwałtowne pytanie, czy przerwanie operacji jest konieczne. Dlaczego nie możemy działać dalej z mniej niż sześcioma śmigłowcami? Brown obstawał przy swoim, że planowanie wykazało, iż sześć śmigłowców to minimum. Powiedziałem mu, żeby ocenił sytuację z gen. Jonesem i uzyskał opinię bezpośredniego dowódcy operacji; spotkałem wcześniej pułkownika Beckwitha w Pokoju Sytuacyjnym i miałem do niego absolutne zaufanie. Jeśli on jest gotowy kontynuować operację z pięcioma śmigłowcami, poprę go ze wszystkich sił. Powiedziałem Brownowi, że poinformuję prezydenta, ale oczekuję, że da mi on odpowiedź, zanim prezydent zatelefonuje do niego.

Niezwłocznie poszedłem do Owalnego Gabinetu i powiedziałem prezydentowi, że muszę mówić z nim natychmiast w cztery oczy. Spojrzał zaskoczony, przeprosił wszystkich. Udaliśmy się do jego niewielkiego gabinetu roboczego, połączonego z Owalnym Gabinetem krótkim korytarzem. W korytarzu opowiedziałem mu nowiny i powody, dla których — zdaniem Browna — operacja musi być przerwana. Carter mamrotał: „Cholera, cholera".

Kiedy weszliśmy do pokoju, Carter zatelefonował do Browna. Stałem przed biurkiem bijąc się z myślami. Czy powinienem naciskać na prezydenta, by kontynuowano operację z pięcioma śmigłowcami? Byłem tu sam na sam z prezydentem i mogłem, być może, przekonać go, żeby odrzucił wojskową ostrożność i opowiedział się za odważnym działaniem za wszelką cenę, żeby wykorzystać historyczną szansę. Równocześnie przez moją głowę przebiegały przeciwne myśli: czy nie nadużyję mojego urzędu, zmuszając tego człowieka do takiej szybkiej decyzji po miesiącach drobiazgowego planowania? Prezydent uzyskał połączenie z Brownem o 16.55, a ja ukląkłem przed biurkiem, żeby notować ich rozmowę. Carter zapytał o ostatnie doniesienia i Brown powtórzył to, co mówił do mnie.

Kiedy zdecydowałem się już, jak działać, szepnąłem prezydentowi: *„Powinien pan uzyskać opinię bezpośredniego dowódcy operacji. Jego stanowisko musi być uwzględnione".* Postanowiłem nawoływać do kontynuowania operacji z udziałem *pięciu śmigłowców tylko wówczas,* kiedy pułkownik Beckwith będzie gotów to zrobić. Prezydent zapytał Browna o ocenę sytuacji bezpośredniego dowódcy operacji, a potem usłyszałem, jak prezydent mówi: „Działajmy zgodnie z jego zaleceniami".

Odłożył słuchawkę, popatrzył na mnie i potwierdził, że operacja została przerwana. Następnie opuścił głowę na blat biurka, kołysząc ją w dłoniach przez kilka sekund. Było mi niewymownie smutno z powodu niego i z powodu kraju. Żaden z nas nie powiedział nic.

Po klęsce

Reszta dnia upłynęła na informowaniu różnych rządów o ujawnionej *(przez stronę irańską* — red.) tajemnicy i na koordynowaniu wycofywania naszych ludzi. Kiedy zgromadziliśmy się wszyscy w Pokoju Rządu, uderzyło mnie, jak bardzo twarze wszystkich (a przypuszczam, że moja również) były poorane bruzdami, ale też i to, jak spokojna i odprężona była atmosfera. Nie było wzajemnych zarzutów, podniesionych głosów, ani nawet napięcia. Carter był wyjątkowo opanowany i rzeczowy, mimo iż musiał zdawać sobie sprawę z tego, jaką klęskę — osobistą i polityczną — poniósł.

O 17.15 gen. Jones zatelefonował do prezydenta i poinformował go, że jeden ze śmigłowców zderzył się z C-130, zapalił się, i że były ofiary śmiertelne. Carter wyglądał, jak gdyby ktoś dźgnął go nożem: cierpienie było widoczne na całej jego twarzy, ale pozostał bardzo spokojny i w pełni kontrolował spotkanie. Polecił Vance'owi, Christopherowi i Powellowi, by wyszli i przygotowali oświadczenie na temat niepowodzenia operacji. Wkrótce przyłączył się do nas Turner, który domagał się, żeby nie publikować żadnego oświadczenia, dopóki nie będzie miał pewności, że jego ludzie w Iranie są bezpieczni. Podziwiałem sposób, w jaki Turner walczył o swych agentów i uzgodniliśmy, że publikacja oświadczenia zostanie odłożona do pierwszej w nocy.

Mimo, że już krótko po 18.00, wiedzieliśmy o fatalnym wypadku na Pustyni I, to dopiero około 23.00 otrzymaliśmy informację, iż ośmiu ludzi poświęciło swoje życie, żeby inni Amerykanie mogli być wolni oraz żeby okupić honor Ameryki. Byli oni prawdziwymi bohaterami tego tragicznego dnia.
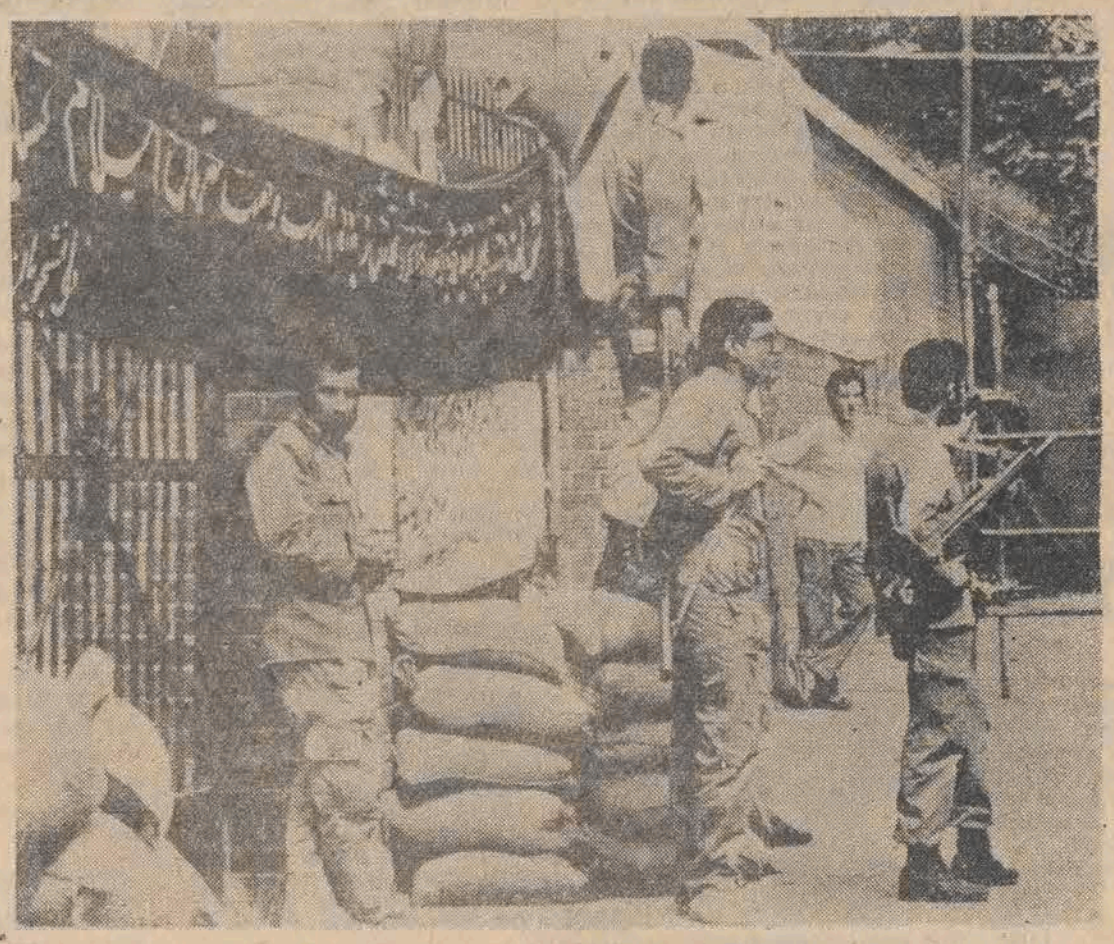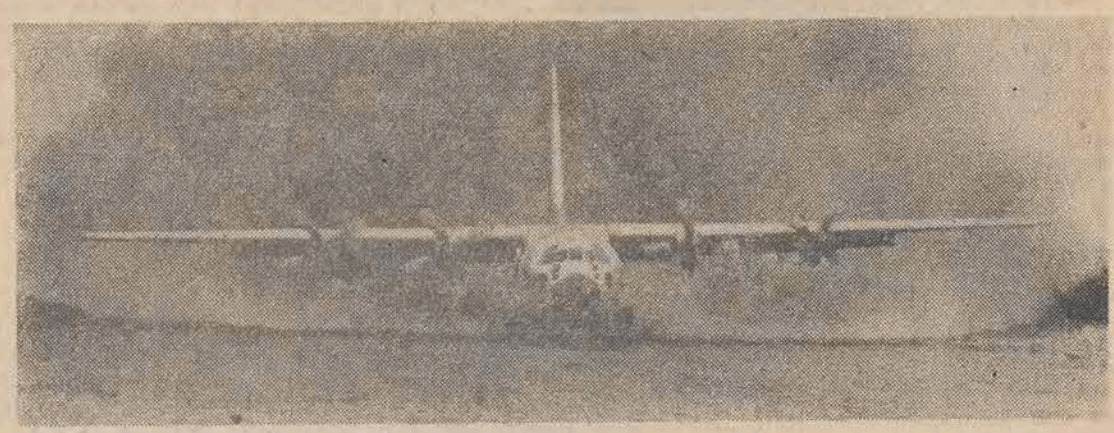
Operacja odbicia dała, cóż za paradoks, jedną natychmiastową korzyść — wywołała nacisk publiczny na podjęcie amerykańskiej akcji wojskowej na dużą skalę przeciwko Iranowi, co pozwoliło na wznowienie naszych wysiłków dyplomatycznych, wzmocnionych sankcjami, zmierzających do uwolnienia naszych ludzi. Osobiście nie miałem nigdy żadnych rozterek politycznych czy moralnych z powodu operacji odbicia. Uważałem, że było naszym obowiązkiem wobec wszystkich zainteresowanych podjęcie próby odbicia naszych ludzi, kiedy była szansa na powodzenie takiej operacji. Moją największą obawą było to, że nie uda nam się zachować tajemnicy i zadziałać przez zaskoczenie. Nie przeszło mi nawet przez myśl, że nasza porażka będzie miała przyczynę techniczną, bowiem w tej dziedzinie Ameryka przoduje. Wiedziałem, że związane jest z tym ryzyko, bowiem było to nieuniknione. Miałem poczucie, tak jak mam je obecnie, że nie podjąć próby, kiedy ma się możliwość jej podjęcia, byłoby rzeczą niegodziwą i niegodną Ameryki.